

**DLACZEGO
WŁAŚCICIELE BANKÓW
SĄ BEZKARNI**

**ZIOBRO CZY KACZYŃSKI?
KTO Z KOGO ZROBI
MIĘKISZONA**

**POLSKIE DZIECI
W SZAMBIĘ HEJTU
I WULGARYZMÓW**

W NUMERZE



15/2023 11-16.04.23 cena 11,90 zł
(w tym 8% VAT) Nr indeksu 36679X

POLSKA

Newsweek

www.newsweek.pl

D 7,50€ B 7,50€ L 7,50€



DANIEL OLBRYCHSKI

STAROŚĆ KMICICA

**GRANIE NIGDY NIE BYŁO NAJWAŻNIEJSZE — LEGENDARNY AKTOR O MARZENIU
O OLIMPIJSKIM ZŁOCIE, NOSZENIU GITARY ZA MARYLĄ RODOWICZ,
WSTYDZIE ROSYJSKICH PRZYJACIÓŁ I NIKCZEMNOŚCI KACZYŃSKIEGO**



Wypożyczalnia



Centrum testowe



Serwis



Diagnostyka silników Bosch



Serwis amortyzatorów



NAJNOWSZA KOLEKCJA ROWERÓW ODZIEŻY I AKCESORIÓW



**KUP SWÓJ
WYMARZONY
ROWER CUBE
JUŻ DZIŚ!**



**10 lub 20
RAT
RRSO 0%**
Bez dodatkowych kosztów



Masz firmę?
Weź rower w leasing
bo możesz!

- Błyskawiczna decyzja
- Minimum formalności
- Ubezpieczenie sprzętu wliczone w ratę



Kupujesz na firmę?
ZAPŁACIMY
za Ciebie!

- Dopasuj ofertę do siebie
- Błyskawiczna decyzja
- Pracujemy dla Ciebie 24h / 7 / 365.

NASZE SKLEPY STACJONARNE SĄ OTWARTE 7 DNI W TYGODNIU

Poniedziałek - Sobota **10:00 - 21:00** | Wszystkie Niedziele **11:00 - 18:00**

WARSZAWA: ul. KOR 36/38 | **WARSZAWA:** ul. Toruńska 107b
POZNAŃ: ul. Bułgarska 117a | **WROCŁAW:** CH Arkady Wrocławskie

KATOWICE - NOWA LOKALIZACJA
ul. Sportowa 20 (200m od CH Silesia)

TEMAT Z OKŁADKI

6 / Daniel Olbrychski
Słynny aktor o filmach, polityce i starości

POLITYKA

12 / Kampania opozycji
Jedna lista opozycji to może być albo nie być wolnej Polski

18 / PiS z Ziobrą czy bez?
Ziobryści odgrażają się samodzielnym startem w wyborach

SPOŁECZEŃSTWO

22 / Ucieczka w prawo
Socjolog prof. Radosław Marzęcki tłumaczy, jak ugrupowanie Mentzena, Korwina i Brauna stało się nadzieją młodych mężczyzn

28 / Szambo wulgaryzmów
Ile razy młody człowiek może bez szwanku na emocjach usłyszeć od kogoś: „Zamknij pi.ę”?

32 / Agata Tuszyńska
Ciągłe zdarzają się sytuacje, które każą się nam ukrywać – mówi pisarka, poetka i reportażystka

36 / Znikające córki
Aż 34 proc. 5-latek świadomie ogranicza jedzenie, a 40 proc. dziewczynek między 5. a 9. rokiem chciałoby wyglądać szczuplej

HISTORIA

40 / Jak Carter przegrał wybory
Czy republikanie opóźnili zwolnienie amerykańskich zakładników w Iranie, by zniszczyć Jimmy'ego Cartera przed wyborami w 1980 r.?

ŚWIAT

44 / Izrael w stanie wrzenia
Premier Benjamin Netanjahu stał się egzystencjalnym zagrożeniem dla kraju

50 / Trump z 34 zarzutami
Bardzo wiele demokracji postawiło w stan oskarżenia swego przywódcę. W dzisiejszym świecie to norma

54 / W fabryce dzieci
Z usług kijowskiej kliniki surogacyjnej Biotexcom korzystają rocznie setki europejskich par



32 **SPOŁECZEŃSTWO**

TOREBKA DELI GOLDSTEIN

Ja, córeczka z niebieskimi oczami, stałam się spadkobierczynią losów narodu wybranego. Nie bardzo wiedziałam, co z tym zrobić – Agata Tuszyńska o strachu przed odkrywaniem swoich korzeni

84 **NAUKA**

DZIEŃ PRZEKLĘTY

Naukowcy mają kilka pomysłów, jak nie dać się poniedziałkowej chandrze

44 **ŚWIAT**

IZRAEL TO NIE POLSKA

My, lud, chcemy utrzymania demokracji. Rząd liczy się z nami, bo wciąż protestujemy – jeśli przestaniemy, to przegramy – słyhać na ulicach Tel Awiwu.

Reportaż Jacka Pawlickiego

60 **BIZNES**

KTO ZA TO ZAPŁACI?

Gdy szef KNF przestrzegał, że od wyroku TSUE w sprawie frankowiczów może zależeć stabilność sektora bankowego w Polsce, jeden z sędziów spytał: czy to oznacza, że cały sektor działał w oparciu o niedozwolone praktyki?

BIZNES

60 / Bogusław Grabowski
Czemu kredytobiorcy walutowi mają ponosić koszty ratowania sektora bankowego? – pyta ekonomista

66 / Co po dymisji ministra?
Polski rynek ma kłopot nie tylko ze zbożem ze Wschodu, ale także z drobiem

70 / Gadżety
Nietypowe roboty

TRENDY PRZYSZŁOŚCI

72 / Elektryzujące elektryki
Wchodzimy ze erę nowej motoryzacji

76 / Dla elektromobilnych
Niezbędne i przydatne gadżety

80 / Marki na prąd
Na kierowców e-aut czeka szereg udogodnień

NAUKA

84 / Polubić poniedziałki
Pomysły na chandrę początku tygodnia

88 / Z bliska
Samica niedźwiedzia polarnego

90 / Mówiące rośliny
Do rozmowy wykorzystują dźwięki, zapachy, a nawet impulsy elektryczne

KULTURA

94 / Krzysztof Globisz
Dziewięć lat po udarze udowadnia, że z afazją można zagrać główną rolę

FELIETONY

4 / Krzysztof Varga
Muzeum Podboju Polski

17 / Dariusz Ćwiklak
Pamiętajmy o żonkilkach

21 / Andrzej Stankiewicz
Prezes zebrał w Trybunale

27 / Dominika Olszyna
Mój tata to Logan

59 / Mikołaj Kunica
Jest interes do zrobienia

97 / Bartosz Węglarczyk
Ta prawdziwa sukcesja

99 / Katarzyna Janowska
Obce ciało





PO PROSTU

Dyskretny urok antysystemowca

Kuszą prostymi rozwiązaniami, cieszącymi uszy hasłami i pryncypialną krytyką zastanego porządku. Ze swoją bezkompromisowością, zapalem i niezgranymi partyjnie twarzami chcą być nową jakością na skostniałej i zabetonowanej scenie politycznej. Jednak w polskich realiach lokowanie nadziei w tzw. antysystemowych politykach kończy się każdorazowo gigantycznym rozczarowaniem tych, którzy im zaufali.

Przyznam, że od lat z ciekawością przyglądam się politykom, którzy albo sami, albo przez media nazywani są antysystemowymi. Zazwyczaj są jak fajerwerki, głośne i kolorowe, ale niewiele po nich zostaje. Na naszych oczach rozgrywa się właśnie dramat dwóch takich hamletowskich postaci. Z jednej strony mamy Szymona Hołownię, który targuje się o miejsca wyborcze z najbardziej kadrową i obrotową partią w Polsce, jaką jest PSL, z drugiej pojawiają się informacje, że Paweł Kukiz będzie jednak startował z list PiS.

Na rodzimej scenie politycznej antysystemowość sprowadza się do negacji mechanizmów, w ramach których toczy się walka polityczna, a nie delegitymizacji całego ustroju państwa. Dlatego też ugrupowania, które w Polsce uchodzą za antysystemowe, są raczej partiami protestu przeciwko „skorumpowanej władzy”, „starym partiom” i dotychczasowemu stylowi polityki, który sprowadza się do koalicyjnych targów i partyjnych układów. Ustawiają się w roli antypartii, chcącej podważyć istniejący duopol polityczny, jakim jest PO-PiS, który paradoksalnie sprawia, że antysystemowcy mogą w ogóle zaistnieć.

Antysystemowiec Kukiz, gdy w 2015 roku wkraczał do dużej polityki, o systemie obowiązującym w Polsce mówił „partiokracja” i stawiał diagnozę, że „problemem podstawowym jest oderwana od Narodu pasożytnicza klasa polityczna. Przez ostatnie 25 lat nasze państwo zostało zawłaszczone przez skorumpowanych i nieudolnych polityków”. Teraz, jak donoszą media, ten sam Paweł Kukiz ma wystartować w wyborach z listy PiS. Na pewno będzie to umiał wytłumaczyć, bo już dwa lata temu po zawarciu politycznego dealu z prezesem Kaczyńskim przekonywał, że cały czas „kontestuje i walczy z obecnym systemem, partyjnym ustrojem”. Jego zdaniem „ustrój można zmieść na dwa sposoby: albo poprzez rewolucję, ale póki jest ciepła woda w kranie, nic takiego się nie stanie, albo drogą Konrada Wallenroda, od środka”. Kukiz postanowił więc się poświęcić dla Narodu, dla Sprawy, by po ostatecznym zwycięstwie zakrzyknąć jak jego literacka inspiracja: „Trafiłem w serce stugłowej poczwary”. Póki co, aby zostać Wallenrodem, musi dostać się do Sejmu. Kiedyś wspierał Platformę, później bratał się z ludowcami, a teraz chadza pod

rączkę z prezesem przewodniej siły narodu i mówi o „modelowych” relacjach z PiS – partią, która jak żadna inna po 1989 roku zawłaszczyła wszystko co państwowe, tworząc sieć powiązanych ze sobą klik żerujących na państwie.

Inny antysystemowiec – Szymon Hołownia – w kampanii prezydenckiej 2020 szedł m.in. z hasłem „dość partyjniactwa”. Jak sam przekonywał, wystartował w wyborach, bo miał dość poczucia bezsilności i „przyglądania się, jak wszystkie partie krok po kroku rozkradają nasze państwo”. Nie miał wątpliwości, że Polskę „niszczą i drenują rosnące z wyborów na wybory apetyty partii, którym nie umieliśmy postawić tamy”. Walcząc o prezydenturę, przekonywał, że „żyjemy w kraju, w którym poczucie niepewności związane ze światem polityki, która uważana jest za strefę brudną, pełną kłamstwa, antywartości, sięga czasami zenitu. I to właśnie trzeba zmienić”. Jednak Hołownia i jego ugrupowanie szybko wpadli w wytyczone przez poprzedników koleiny, którymi zjechali z sondażowej góry w dolinę partyjnych gier i interesików, koalicyjnych targów i sporów o miejsca na listach wyborczych z PSL. Szymon Hołownia nie jest już tak zasadniczy jak trzy lata temu. Teraz dogaduje się z partią, która swego czasu bardzo dosłownie i wielce sprawnie realizowała hasło „rodzina na

Szymon Hołownia nie jest już tak zasadniczy jak trzy lata temu. Dogaduje się z partią, która swego czasu bardzo sprawnie realizowała hasło „rodzina na swoim”, a przeciwnika widzi w Tusku, nie w Kaczyńskim

swoim”. Trudno też oprzeć się wrażeniu, że w swoich partyjnych kalkulacjach Hołownia przeciwnika widzi w Tusku, a nie w Kaczyńskim.

Ktoś może powiedzieć, że w polityce wygrywa pragmatyzm i liczy się tylko skuteczność, więc nieważne z kim i jak, byle do celu. Takie podejście jest jednak zaprzeczeniem tego, z czym na scenę polityczną wkraczali Kukiz i Hołownia. Obaj nie tylko chcieli zmienić oblicze polskiej polityki, ale i zwrócić ją obywatelom. Wzniosłe idee przegrały w zderzeniu z prozą politycznego życia. Parafrazując słowa księdza Twardowskiego, można by rzec: spieszmy się kochać antysystemowców, tak szybko odchodzą. **N**

Newsweek

POLSKA

w pakiecie ● onet premium



Kilkanaście serwisów w jednym pakiecie
i **Onet bez reklam***

Subskrypcja Newsweeka daje Ci:

- Nielimitowany dostęp do serwisu **Newsweek.pl**
- Artykuły z wydań specjalnych i magazynów jak **Newsweek Historia, Newsweek Psychologia** i innych
- Bieżące i archiwalne wydania tygodnika i wybranych magazynów **Newsweeka w formacie PDF**
- Podcasty i artykuły audio dostępne na serwisie oraz w aplikacji **Onet Audio**

Wyjątkowa
cena na trudne
czasy

Zeskanuj
i dowiedz się więcej



Dzięki pakietowi Onet Premium zyskujesz dodatkowo dostęp
do materiałów z poniższych serwisów



Dowiedz się więcej na premium.onet.pl

*Brak reklam dotyczy reklam banerowych, z wyłączeniem autopromocji oraz reklam określonych serwisów. Szczegóły ograniczenia liczby wyświetlanych reklam na stronie premium.onet.pl.

Krzysztof Varga

Muzeum Podboju Polski



Moja namiętność do muzeów jest umiarkowana, ale z rozgorączkowaniem przeczytałem o wynikach konkursu na przygotowanie ekspozycji Muzeum Bitwy Warszawskiej 1920 r. w Ossowie. Tamże przecież, na polach Ossowa, pogoniliśmy bolszewików, ratując naszą niepodległość, a przy okazji całą Europę przed czerwoną zarazą. Sto lat później przesławny architekt Czesław Bielecki, autor nowej siedziby Telewizji Polskiej, najbardziej wstrząsającego budynku stolicy, stworzył projekt muzeum poświęconego temu triumfowi, a teraz pracownia NM Architektki pokazała koncepcję wystawy. Jest to projekt oszałamiający, a nade wszystko inspirujący, bo myślę, że to nieostatnie słowo naszego muzealnictwa.

Dziś nikt nie tworzy muzeów, do jakich chadzaliśmy z wycieczkami szkolnymi i oglądaliśmy obrazy i artefakty z minionych epok, śledzeni czujnym wzrokiem przez przycupnięte na krzeselkach w rogach sal podesele wiekiem westalki tych świątyni sztuki. Dziś wejście do muzeum bywa wkroczeniem w świat wirtualny, gdzie forma może bezwstydnie przewyższyć treść i sens, bo liczą się wrażenia sensoryczne, a nie duchowe, o merytorycznych nie wspominając. Stąd takie wybryki jak immersyjna wystawa Claude'a Moneta, obecnie przyciągająca w Warszawie tłumy wielbicieli impresjonizmu, a prędzej nawet disneylandu. Nie wybieram się na nią, oryginalnych obrazów Moneta widziałem więcej niż sto, jego kolegów po pędzlu w rodzaju Pissarra, Sisleya, Renoira czy Cezanne'a sto kolejnych, zepsuć sobie wrażenie obcowania z prawdziwymi obrazami pokazem slajdów byłoby duchowym samobójstwem. Aczkolwiek rozumiem emocję: reprodukcje często wyglądają ładniej niż oryginały.

Natomiast bezapelacyjnie wybiorę się do Muzeum Bitwy Warszawskiej, o ile dożyję, ma się rozumieć. Muzeum bowiem kolejni pisowscy ministrowie obiecywali oddać na stulecie bitwy, a zanim się obejrzymy, będzie rocznica sto dziesiąta, nim się połapiemy – sto pięćdziesiąta. Nadzieję mam więc marną i póki co napawam się oszałamiającymi wizualizacjami ekspozycji, gdzie mamy ułanów i czołgi, cekaemy i samoloty, mundury, mapy i Marszałka na koniu. Moją uwagę przykuł najbardziej obraz przedstawiający wieżę Eiffla z czerwoną gwiazdą na szczycie oraz unoszącym się nad nią godłem Związku Radzieckiego z sierpem i młotem. Instalacja ta ma dosadnie uświadomić światu, że gdyby nie warszawskie zwycięstwo nad bolszewikami, to do dziś w Paryżu urzędowałyby armia sowiecka, a Francja byłaby kolejną republiką ZSRR.

Dłuższa kontemplacja wieży Eiffla z gwiazdą spowodowała, że w mojej głowie powstał projekt kolejnego muzeum. Tym razem poświęconego dokonaniom Dobrej Zmiany, zwanej także Zjednoczoną Prawicą, która Polskę ratuje przed zagładą, niczym armie generała Rozwadowskiego miażdżące azjatyckie hordy Lenina. Roboczo nową placówkę nazwałem Muzeum Podboju Polski, bo przecież Polska została przez współczesnego Piłsudskiego nie tylko obroniona – zarówno przed bolszewią ze Wschodu, jak i przed zgnilizną i trującymi miazmatami Zachodu – ale i podbita, podporządkowana i wzięta pod okupację.

Muzeum Podboju Polski widziałbym zatem tak: zamiast wieży Eiffla dwie wieże elektrociepłowni Ostrołęka, względnie dwie wieże spółki Srebrna. Na szczycie każdej z tych wież – i tych z Ostrołęki, i tych ze Srebrnej – siedziałyby orły: jeden orzeł z logo PiS, a drugi z logo Orlenu. W głównej sali wyświetlałyby się nadnatural-

Muzeum Podboju Polski widziałbym tak: dwie wieże elektrociepłowni Ostrołęka, względnie wieże spółki Srebrna. Na szczycie każdej siedziałyby orły: jeden z logo PiS, drugi z logo Orlenu

nych rozmiarów Mateusz Morawiecki, a zwiedzający muzeum, naciskając klawiaturę na ekranie dotykowym, programowałyby mu przemówienie pełne dowolnych i skierowanych do konkretnego zwiedzającego obietnic. Każdy posiada marzenia i fantazje, czegoś nieprzepraczone pragnie, czegoś niepowstrzymanie pożąda – Morawiecki odpowie na te potrzeby. Ogromny hologram premiera nie dość, że każdemu zwiedzającemu z osobna obiecywałby wszystko, to także te obietnice wirtualnie spełniałby: nie tylko pieniądze, ale też zdrowie, młodość i miłość, kariera zawodowa, wedle potrzeb i pragnień obywatela.

W moim projekcie jedną z większych atrakcji będzie Sala Sasina. Wirtualny Jacek Sasin spełni wszystkie inwestycyjne marzenia zwiedzającego: nowożeńcom immersyjny Sasin zorganizuje wesele, jakiego świat nie widział, świeżo poznanym – wycieczkę dookoła świata, inwestorom zapewni ulgi podatkowe i napisze sprzyjające przepisy. Słowem wirtualny Sasin sprawy niemożliwe załatwi od ręki. Osobna ekspozycja poświęcona zostanie innowacyjnym dokonaniom polskiego Elona Muska, czyli prezesa Daniela Obajtka, oraz kierowanego przezeń Orlenu jako wiodącej w świecie firmy nafto-

wej, prasowej, spożywczej, naukowej, motoryzacyjnej, rozrywkowej, kosmicznej i jakiej tylko zwiedzający sobie zażyczy. Zwiedzający na wirtualnej stacji Orlenu zatankuje wirtualnie samochód po szokująco niskich cenach za litr benzyny. Przy wyjściu na pożegnanie otrzyma bon zniżkowy na kawę i hot doga do zrealizowania na prawdziwej stacji koncertu.

Skoro jesteśmy przy samochodach – we wszystkich muzeach motoryzacji stoją stare samochody, tak jak we wszystkich muzeach wojennych stoją stare czołgi. W Muzeum Podboju Polski owszem, będą egzemplarze czołgów kupionych przez ministra Błaszczaka, co zawsze stanowi atrakcję dla chłopców, nawet bardzo dużych, ale prawdziwy pasjonat motoryzacji znajdzie coś lepszego: kapsułę do deprywacji sensorycznej w postaci samochodu elektrycznego Izera. Delikwent wsiadzie do takiej kapsuły i doświadczy całkowitego zaniku odczuwania wszystkich zmysłów: świat realny przestanie dla niego istnieć, niczego nie będzie czuł, niczego nie widział, nie słyszał, nie rozumiał, zwoje jego mózgu wyglądają się zbawienne. Kluczowe jest to, żeby za długo w kapsule nie siedzieć, bo może to skutkować halucynacjami i wizjami Polski w ruinie.

W sali Głapińskiego zwiedzający będzie miał do dyspozycji – wirtualną oczywiście – drukarnię pieniędzy i za pomocą interaktywnej klawiatury wydrukuje sobie

dowolną ilość gotówki, ale tylko wedle zapotrzebowań. Cała zabawa polega na tym, żeby zachować umiar; nie chodzi o to, by dla hecy drukować miliony na przepalenie, ale by wirtualnie spłacić rosące raty kredytów i wirtualnie dociągnąć do przysłowiowego pierwszego. W tej samej sali znajdzie się tzw. Maszyna antyinflacyjna: zwiedzający, kręcąc korbą na ekranie dotykowym, cofać będzie inflację, tak że jego pensja z każdym obrotem tejże (sensorycznej, immersyjnej itd.) korby zamiast topnieć, zacznie wzrastać, a jednocześnie ceny produktów spożywczych, prądu, gazu, czynszu i rat kredytów maleć.

A przed samym wejściem do Muzeum Podboju Polski stanie multimedialny pomnik Naczelnika, wskazującego ręką kierunek dobrej zmiany. W zależności od obowiązującej mądrości etapu postać Naczelnika będzie obracała się tak, by ręką wskazywała nowy, jedynie słuszny kierunek. Jednocześnie z wnętrza pomnika w każdą pełną godzinę dobędą się dźwięki pamiętnych przemów Jarosława Kaczyńskiego. Będzie to trzeci co do wysokości pomnik w Polsce – po Chrystusie ze Świebodzina i Janie Pawle II z Częstochowy. W ten sposób pokażemy skromność Ukochanego Przywódcy: świadom swojej wielkości pierwszeństwo jednak oddaje dwóm ważniejszym od siebie ludziom w historii świata: Jezusowi i Wojtyśle. **N**

Krzysztof Varga jest pisarzem, publicystą, a także autorem tekstów piosenek zespołu Dr Mizio

Newsweek

od 2001 roku

Adres redakcji tygodnika: 02-672 Warszawa, ul. Domaniewska 49. Kontakt z Czytelnikami www.newsweek.pl, redakcja@newsweek.pl

Redaktor naczelny: Tomasz Sekielski / Zastępcy redaktora naczelnego: Dariusz Cwiklak, Michał Szadkowski / Redaktor prowadzący: Łukasz Ramlau / Dyrektor artystyczna: Magdalena Mamajek-Mich /

Sekretarz redakcji: Andrzej Olejniczak

Sekretariat redakcji: Małgorzata Kacprzak, Katarzyna Klejnocka / Polska: Dominika Długosz-Gierszewska, Renata Grochal, Aleksandra Pawlika, [Teresa Torańska](mailto:Teresa.Torańska@newsweek.pl) / Dział śledczy: Jakub Korus, Grzegorz Rzeczkowski, Agnieszka Żądło /

Społeczeństwo: Renata Kim, renata.kim@newsweek.pl, Marcin Chłopaś, Karolina Rogaska, Małgorzata Święchowicz, Elżbieta Turlej / Historia: Dariusz Cwiklak, Mateusz Wojtalik /

Świat: Jacek Pawlicki, jacek.pawlicki@newsweek.pl, Maciej Nowicki, Nowy Jork: Piotr Milewski, piotr.milewski@newsweek.pl / Biznes: Konrad Sadurski, konrad.sadurski@newsweek.pl, Radosław Omachel, Miłosz Węglowski /

Nauka: Dorota Romanowska, dorota.romanowska@newsweek.pl, Katarzyna Burda / Kultura: Dawid Karpiuk, Jacek Tomczak, [Piotr Bratkowski](mailto:Piotr.Bratkowski@newsweek.pl) / Felietony: Henryk Sawka, Krzysztof Varga

Newsweek.pl: Beata Minkiewicz (product manager), Emilia Stawikowska (szefowa wydawców) / wydawcy: Karolina Brzezińska, Jakub Korus, Jan Rakoczy, Maciej Sitarz, Mateusz Wojtalik / dziennikarze: Anna Podlaska, Marcin Wieczorkowski /

Grafika: Michał Bieniek / Media społecznościowe: Igor Iwaniuk

Foto: Ewa Falkiewicz, Tomasz Królik, Mikołaj Starzyński, Marek Szczepański / Studio graficzne: Grzegorz Brodowski, Urszula Gardy, Izabela Królikowska, Aleksandra Kuc, Sylwia Niedaszkowska, Michał Peas

Korekta: Ewa Leszczyńska-Al-Khafagi, Iwona Trzaskoma / Asystentka redaktora naczelnego: Kamila Skowron, kamila.skowron@newsweek.pl

Wydawca: RINGIER AXEL SPRINGER POLSKA Sp. z o.o., Członek Izby Wydawców Prasy i Związku Kontroli Dystrybucji Prasy, www.ringieraxelspringer.pl / Adres: ul. Domaniewska 49, 02-672 Warszawa, recepcja główna tel.: (22) 232 00 00, 232 00 01 / Prezes zarządu: Aleksander Kutela / Prezes honorowy: Wiesław Podkarński / Dyrektor generalny: Marcin Biegłuk / Dyrektor finansowy: Krzysztof Stopa / Dyrektor wydawniczy treści premium: Jakub Makulski

Dyrektor ds. rozwoju projektów wydawniczych treści premium: Bernadetta Byrska / Menedżer wydawniczy: Joanna Skolimowska / Dyrektor personalna: Monika Remiszewska / Dyrektor ds. komunikacji korporacyjnej: Karolina Sznajder

Dyrektor marketingu: Olga Korolec / Head of Press Monetization Hub: Anna Dygasiewicz, zespół: Marcin Czyż, Elżbieta Jung, Ryszard Korlak, Aneta Kulesz, Marta Mikiel, Ewelina Milczek, Agnieszka Skiba, press@ringieraxelspringer.pl

Biuro reklamy: Piotr Kupis, tel. 695388021, piotr.kupis@ringieraxelspringer.pl / Marketing: Agata Surmacz-Mocko

Księgowość: Sylwia Skibińska (dyrektor) / Kolportaż: Rafał Kamiński (dyrektor) / Produkcja: Mariusz Gajda (dyrektor), Jarosław Sokotowski / Druk: Quad/Graphics Europe Sp. z o.o.

Prenumerata i zamówienia kolekcji: tel.: 22 336 79 01, 801 000 869, prenumerata.axel@qg.com, www.newsweek.pl / Sprzedaż internetowa wydań archiwalnych, specjalnych i prenumeraty: www.kiosk.redakcja.pl

Reklamacje: tel.: 22 336 79 01, 801 000 869, e-mail: prenumerata.axel@qg.com / Prenumerata krajowa: Poczta Polska oraz Ruch SA na terenie całego kraju / Prenumerata zagraniczna: <http://kiosk.redakcja.pl>

Redakcja nie zwraca materiałów niezamówionych, zastrzega sobie prawo redagowania nadesłanych tekstów. Za treść ogłoszeń redakcja ponosi odpowiedzialność w granicach wskazanych w ust. 2 art. 42 ustawy Prawo prasowe. Zabroniona jest bezumowna sprzedaż czasopisma po cenie niższej od ceny detalicznej ustalonej przez wydawcę.

Sprzedaż numerów aktualnych i archiwalnych po innej cenie jest nielegalna i grozi odpowiedzialnością karną.

Newsweek magazine Published by Newsweek LLC, EDITORIAL STAFF: Editor in chief: Jim Impoco / Deputy Editor: Bob Roe / International Editor: Nicholas Wapshott +

Managing Editor: Kira Bindrim BUSINESS STAFF: Chief Content Officer, IBT Media: Johnathan Davis / Chief Executive Officer, IBT Media: Etienne Uzac



SŁYNNY AKTOR O FILMACH, POLITYCE I STAROŚCI

NAWET NICNIEROBIENIE JEST PASJONUJĄCE

Nigdy nie byłem aktorskim pracocholikiem. Moje życie jest równie ciekawe jak role – mówi **DANIEL OLBRYCHSKI**

ROZMAWIA JACEK TOMCZUK ZDJĘCIA MIKOŁAJ STARZYŃSKI

NEWSWEEK: Myśli pan o starości?

DANIEL OLBRYCHSKI: Nie muszę myśleć, ja już ją czuję i walczę z nią codziennie, opóźniam. Dzień zaczynam od setki brzuszaków. Czesio Lang, wybitny kolarz, poradził mi kiedyś, żebym codziennie robił 10 kilometrów na rowerze, bo to przedłuży mi życie. I tego też się trzymam. Mam w domu siłownię, są tam worki do boksu, wciąż z nich korzystam. A kilka kilometrów stąd stoi mój koń, od wiosny będę tam codziennie.

Jeżeli jakaś choroba mnie nie dopadnie, to jeszcze pożyję.

Starość to wstydlivy temat dla aktora?

– Najgorsze w starości jest to, że już jest bliżej niż dalej, chociaż fizycznie i psychicznie czuję się, jakbym miał 40 lat. Jestem wciąż ciekawy życia, a jednocześnie wiem, że jest go coraz mniej. Ta reszta ucieka coraz szybciej. I to wkurwia najbardziej.

Coś by pan chciał jeszcze zrobić, zagrać?

– Nie mam w sobie żadnej zachłanności, ani w życiu, ani w zawodzie. Lubię swoją pracę, wciąż występuję w czterech sztukach, mam przyjemność z grania, spotkania się z publicznością. To niemal fizjologiczna przyjemność, bo widownia daje dobrą energię, adrenalinę. Ale granie nigdy nie było dla mnie najważniejszą sprawą. Fajnie, że wykonuję ten zawód, mogę z niego żyć na przyzwoitym poziomie, ale nigdy

nie byłem aktorskim pracocholikiem. Moje życie jest równie ciekawe jak role, nawet nicnierobienie jest pasjonujące.

Jerzy Trela mówił mi, że jak nie grał, to nie wiedział, co robić.

– To bym mu współczuł. Nieraz cieszyłem się, że przez kilka tygodni nie mam nic do roboty. Każda wolna chwila, kiedy nie gram, jest fajnym okresem.

Zawsze tak było?

– Tak. Tylko że teraz potrafię to nazwać. Sprawy prywatne zawsze były ważniejsze. Kiedy byłem z Marylą Rodowicz i coś zaczynało się psuć, ona musiała wyjechać na koncerty. Bardzo chciałem być blisko niej, a miałem akurat tydzień spektakli swojego monodramu. Proszę dyrektora Adama Hanuszkiewicza, żeby mnie zwolnił. „Danielu, ale nie mam co dać na afisz. Chyba że poprosisz Irenę Eichlerównę o zastępstwo. Może się zgodzi zagrać swój monodram”.

Eichlerówna była legendą teatru, wydawała się stara, choć miała pewnie wtedy mniej lat niż ja teraz. Dzwonię, tłumacząc, że muszę jechać za narzeczoną, ratować związek, a ona tym swoim śpiewnym akcentem: „Panie Danielu, to takie romantyczne, oczywiście, że wyjdę naprzeciw pana pragnieniom”. A ja pogałem za Rodowicz.

Mielicie szczęście, że wasz związek przypadł na czasy przedinternetowe. Dzisiaj nie schodzilibyście przecież z portali plotkarskich.



– To prawda. Byliśmy jak Brad Pitt i Angelina Jolie czasów PRL. Nie było portali plotkarskich, media nie informowały o naszym życiu prywatnym, nagraliśmy tylko jedną wspólną piosenkę, a wszyscy i tak wiedzieli, że jesteśmy razem i co robimy, że np. jedziemy konno z Drohiczyzna do Warszawy.

W Drohiczyźnie spędził pan dzieciństwo.

– To tam zaczęła się fascynacja sportem. Do dzisiaj pamiętam mistrzostwa Europy w boksie w maju 1953 r. Śledzę w radiu transmisję, nasi zdobywają pięć złotych medali, w tym trzy po zwycięstwie w finałach nad Ruskimi. A to wszystko dwa miesiące po śmierci Stalina. Grane podczas dekoracji Mazurki Dąbrowskiego przostowały Polakom plecy, i mnie również, chociaż miałem wtedy osiem lat. Marzyłem, żeby mi też grali kiedyś hymn, najchętniej w boksie, który wtedy kochałem najbardziej. Po przeprowadzce do Warszawy uprawiałem szermierkę, boks, biegi, zaliczyłem też hokej. Przez lata ruch był dla mnie czymś niezbędnym. Jak mycie zębów. Marzyłem, że będę mistrzem olimpijskim, ale nie wiedziałem, w jakiej dyscyplinie. Zmieniałem je i w żadnej nie zostałem nawet mistrzem Polski.

Debiutował pan w „Rannym w lesie” jako kapral Koral.

Równo 60 lat temu, w 1963 r. Pamięta pan coś z tego planu?

– Janusz Nasfeter wypatrzył mnie w telewizji, występowałem w Młodzieżowym Studiu Poetyckim. Miałem 18 lat, zdałem maturę, egzamin do szkoły teatralnej i w wakacje pojechałem na plan do Augustowa. Grałem młodego partyzanta, który walczy z własnym strachem. Szło mi dość kiepsko, byłem przekonany, że z mojej kariery filmowej nic nie będzie. Podziwiałem mojego starszego partnera Stefana Friedmanna, który mi imponował doświadczeniem i był fantastycznym kumplem. Kiedyś reżyser w hysterii krzyknął: „Stefan, pokaż Danielowi, jak to zagrać”. Gdyby to zrobił, dostałby pewnie ode mnie w zęby. Stefan zachował się wspólnie. Powiedział: „Panie reżyserze, nie potrafię”. Jak zobaczyłem film, załamane się.

Dlaczego?

– Miałem wyobrażenie, jak wyglądam, mówię, ruszam się. A tu zobaczyłem gołą prawdę, ekran był bezlitosny: jestem taki wyblakły, mówię niewyraźnie, przez nos. Strasznie byłem sobą rozczarowany. Obiecałem sobie, że film będę omijał szerokim łukiem.

Aż na pierwszym roku szkoły teatralnej przyszedł

Andrzej Wajda...

– W szkole trochę przywykłem do swojego ciała, wyglądu, głosu. A Wajda był wtedy reżyserem, u którego każdy chciał zagrać. I tak trafiłem na plan „Popiołów”. Musiałem wziąć roczny urlop dziekański. Wajda uczył mnie zawodowstwa, czytania tekstu. Kiedy wróciłem, grzecznie próbowałem chodzić na zajęcia. Po pół roku rektor Jan Kreczmar zaprosił mnie do gabinetu. „Danielu, widzę, że ty się tutaj nudzisz, właściwie już jesteś zawodowcem. Masz jakieś propozycje filmowe?” – zapytał. Miałem i to kilka, ale tłumaczyłem, że mama najpierw kazała mi skończyć szkołę. A on, że mamę bierze na siebie. Za jakiś czas będzie egzamin eksternistyczny, to zdasz, teraz idź swoją drogą.

Szybko pan zdobył gigantyczną popularność i pozycję artystyczną. Zapłacił pan jakąś cenę?

– Nie narzekałem, same pozytywy. Miałem 20 lat i po premierze „Popiołów” byłem atrakcyjnym gościem wielu imprez, rozchwytywanym przez Księstwo Warszawskie, jak Zbyszek Cybulski złośliwie określił warszawskie salony towarzysko-artystyczne. Byłem dzieckiem tego Księstwa: bankiety, kolorowy świat, inny od peerełowskiej szarzyzny. Ale też to był mój uniwersytet, siedziałem przy stoliku z Tadeuszem Konwickim, Staszkiem Dygatem, Marianem Brandysem, Andrzejem Żuławskim... Słuchałem i uczyłem się od nich.

Szybko stał się pan kimś więcej niż aktorem. Kazimierz Kutz mówił panu: „Jesteś, kurwa, kawałkiem flagi narodowej, więc musisz grać role symboliczne”. Jak pan się z tym czuł?

– Kazio powiedział to, kręcąc „Sól ziemi czarnej” w 1969 r. Jak przyjechałem na plan, uprzedził, że rola jest niewielka, ale własnie symboliczna: masz przybyć do powstańców śląskich ze skradzioną armatą, wskoczysz na konia, krzykniesz „ognia” i nim się obejrzyysz, zginiesz, a Ślązaczki będą nad tobą płakały. Tak że możemy dzisiaj spokojnie się napić, bo odpoczniesz jutro w trumnie. Przełom lat 60. i 70. to było w moim życiu szaleństwo. Daj Boże każdemu aktorowi zagrać połowę tego co ja. Miałem szczęście do reżyserów, tematów, filmów.

Najbardziej był pan kojarzony z Wajdą i Hoffmanem.

– Pamiętam początek lat 70. W dzień wysadzałem jako Kmicic u Jerzego Hoffmana kolubrynę, na murach klasztoru broniłem Matki Boskiej Częstochowskiej. A na nocne zdjęcia przywożono mnie do Warszawy do studia i u Andrzeja Wajdy byłem Panem Młodym w „Weselu”. W oczekiwaniu na zdjęcia do moich wąsów szlachcica XVII-wiecznego dolepiano mi młodopolską bródkę i kładłem się zmęczony do łóżka w dekoracji filmu, żeby się przespać. Któregoś razu otwieram oczy i widzę, że obok mnie leży piękna, rozłożysta kobieta. Okazało się, że to filmowa Panna Młoda, czyli Ewa Ziętek, która też przysypiała. Wajda zobaczył moje autentyczne zdziwienie i od razu powiedział: tak mi graj, że budzisz się kompletnie zdumiony, z kim tu jesteś w łóżku.

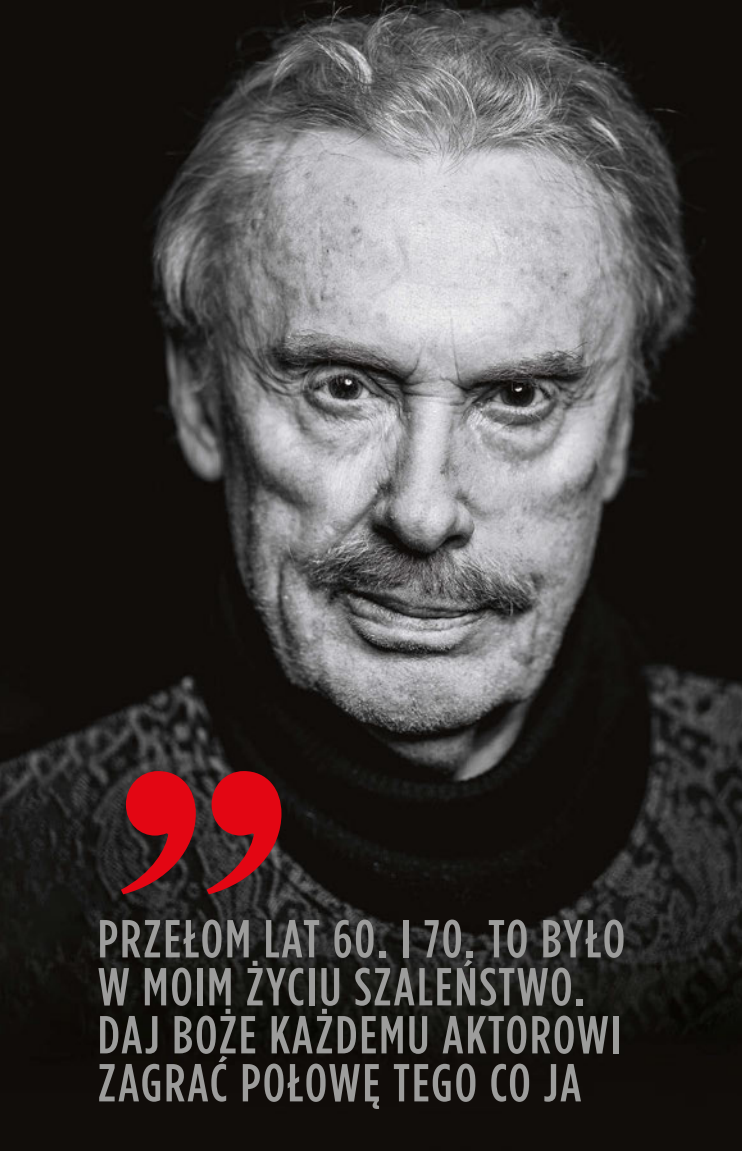
Premiera filmowego „Wesela” odbyła się w Teatrze Słowackiego w Krakowie, potem przyjęcie u Wierzyńka. Ledwo coś przekąsiłem, wypiliśmy toast i biegłem do taksówki, która mnie zawiozła na granicę z socjalistyczną Republiką Ukrainą. Przeszedłem na piechotę granicę, a po drugiej stronie czekał samochód z produkcji „Potopu”, który całą noc wiozł mnie pod Kijów, gdzie od południa siedziałem w siodle i brałem udział w kręceniu wielkiej bitwy.

Co pan zawdzięcza Wajdzie?

– Wszystko. To dzięki niemu zobaczył mnie cały filmowy świat. „Popioły” otwierały festiwal w Cannes. Miałem 20 lat, jak tańczyłem z Sopią Loren. To tam mnie zobaczyli Kirk Douglas czy Nicholas Ray, reżyser „Buntownika bez powodu”, który obiecywał mi rolę w filmie o zmarłym Jamesie Deanie.

Co pan na to?

– Nie byłem gotowy. W Polsce poza narzeczoną czekały na mnie konkretne propozycje na parę lat w przód, a nie obietnice. Zresztą on próbował mnie wyciągnąć z Polski jeszcze kilka lat później. Mieszkalem z ówczesną narzeczoną w mieszkaniu na Mariensztacie po Leopoldzie Tyrmandzie, który właśnie wyemigrował do Londynu. Chodziłem w jego bikiniarskich skarpetkach. Któregoś dnia



PRZEŁOM LAT 60. I 70. TO BYŁO
W MOIM ŻYCIU SZALEŃSTWO.
DAJ BOŻE KAŻDEMU AKTOROWI
ZAGRAĆ POŁOWĘ TEGO CO JA

zadzwoił Ray, mówiąc, że jest w Belinie Zachodnim i jutro wieczorem ma spotkanie z producentem, który chce mnie zobaczyć. Mam wsiadać w auto i przyjechać. Powiedziałem, że najwcześniej za sześć tygodni. Zdziwił się: „Co ty, piechotą będziesz szedł do Berlina?”. Nie mógł zrozumieć, że tyle trwa w PRL wydanie paszportu. Zresztą państwowy Film Polski, który reprezentował mnie na Zachodzie, pilnował, żebym nie zrobił międzynarodowej kariery, bo wtedy stałbym się niezależny. Reżyserom, którzy proponowali mi role, mówiono, że nie mam czasu. Po latach dowiedziałem się od Bernardo Bertolucciego, że chciał mnie do „Wieków XX”, żebym towarzyszył młodemu Robertowi De Niro. W zamian zagrał Gérard Depardieu, a film był jego przepustką do wielkiej kariery. Wracając do Wajdy – to był geniusz. Wie pan, czego aktorowi brakuje na planie filmowym?

Publiczności?

– Tak. Nie wyobrażam sobie, żeby aktor mógł zagrać na najwyższym poziomie przy pustej widowni, to ona go niesie. A na planie jest tylko ekipa. To reżyser musi zastąpić widownię, dać aktorowi poczucie, że jest kochany, wyczekiwany, zrozumiany, oklaskiwany. Wtedy aktor gra najlepiej. Wajda umiał dać to poczucie aktorowi jak nikt inny. Nie wiem, czy to było spontaniczne, czy wyrachowane. Wszystko jedno – działało. Ale potrafił to połączyć z byciem surowym krytykiem aktora, chłodnym obserwatorem. Andrzej był jak rasowy jeździec. Jego końmi byli aktorzy: kochał

nas i wymagał. Był moim mentorem: artystycznym, życiowym, politycznym.

W marcu 1968 r. kręciliście w centrum Warszawy „Wszystko na sprzedaż”, a na Uniwersytecie Warszawskim trwał strajk.

– Nie byłem wtedy studentem, ale już znanym aktorem. Jednak za strajkami stali przecież moi koledzy, jak Adam Michnik, z którym znałem się z Liceum Batorego. Mieliśmy zdjęcia w galerii na ul. Mazowieckiej. Ciągłe biegałem na Krakowskie Przedmieście zobaczyć, co się dzieje, nawet dać się spałować, bo to był wtedy szczyt.

Czuł pan jakiś dyskomfort: robicie artystowski film o micie Cybulskiego, a obok dzieje się prawdziwa historia?

– Oczywiście, powiedziałem Wajdzie, że w tej chwili, jeżeli mam grać siebie, to powinien mnie sfilmować w studenckiej czapce na 30. piętrze Pałacu Kultury i Nauki, wygłaszającego monolog Korodiana z Mont Blanc. Wajda tylko westchnął. Nie było na to szans. Atmosfera była taka, że producentka bała się, że za to, że na planie pojawia się w studenckiej czapce, mogą nam przerwać zdjęcia.

W 1976 r. podpisał pan protest przeciw prześladowaniom robotników w Radomiu.

– Byłem już uświadomiony politycznie. Wysłannikiem do mnie został Andrzej Seweryn, związany z opozycją. Byłem wtedy z Marylą Rodowicz, która też chciała podpisać. Ja byłem za, ale Andrzej mądrze odradzał: „Dla sprawy pani podpis byłby wielką wartością. My, aktorzy, sobie poradzimy, nie zagramy w kinie, to zawsze zostanie nam teatr. Ale jak pani, gwiazdzie piosenki, odetną media, to gdzie pani wystąpi?”. Maryla chciała nam oczy wydrapać, ale Andrzej wykazał się wielkim rozsądkiem.

Mnie wzywano na różne przesłuchania, najgorzej przeżył to ojciec. W nocy esbecy dzwonili i mówili: „Pana syn jutro umrze” i inne potworności. W końcu zostałem wezwany do ministra kultury Józefa Tejchmy, który kulturalnie uświadomił mi, że list, który podpisałem, nie jest zgodny z polską racją stanu. Ja powołałem się na piąte przykazanie Dekalogu i się rozstaliśmy. Poprosiłem tylko, żeby nie dzwoniono do ojca.

Tejchma niedługo potem został wyrzucony z rządu.

– Po latach kręciłem film w Grecji. Podczas lotu do Aten jakiś pasażer agresywnie się zachowywał, uderzył dwie stewardesy, wbiegł do kabiny pilota, było podejrzenie, że to terrorysta. Zadziałem odruchowo, jak człowiek uprawiający sporty walki. Po krótkiej walce znokautowałem go, a samolot zawrócił. Kiedy nad ranem wylądowaliśmy w Atenach, czekały na mnie telewizje kilku krajów, a w hotelu – bukiet kwiatów, butelka szampana i wizytówka: „Jak zwykle można na Pana liczyć. Ambasador Józef Tejchma”. W Polsce broniłem robotników, a tutaj całego samolotu.

Odsunięto pana od filmu za ten list.

– Miałem szlaban w telewizji. Ale tego wtedy za bardzo nie poczułem. Byłem bardziej zajęty noszeniem gitary za Marylą Rodowicz niż pracą.

Przetrwiał pan do stanu wojennego?

– Dla mnie 13 grudnia to data szczególna. Tego dnia po raz pierwszy wystąpiłem w polskiej telewizji i recytowałem „Kwiaty polskie” Tuwima. W 1981 r. przypadała 20. rocznica tego występu, wynająłem restaurację, zaprosiłem przyjaciół z Polski i świata.

Z Paryża miał przylecieć Claude Lelouche, z Niemiec Volker Schlöndorff, z Moskwy Nikita Michałkow... Budzę się w niedzielę, śnieg prószy, łapię za słuchawkę, żeby się dowiedzieć, czy loty nie będą opóźnione, a tu głucha cisza. W telewizji generał ogłasza stan wojenny.

Parę dni później przyszedł Józef Rybicki, były szef Kedywu AK Okręgu Warszawa, działacz KOR, z listem potępiającym stan wojenny. Znowu podpisałem. Moja ówczesna żona, Zuzia Łapicka, złapała się za głowę: teraz to już na pewno nie wypuszczą mnie do Paryża, gdzie miałem zagrać w filmie Josepha Loseya „Pstrąg”. Oczywiście, zostałem wezwany na Rakowiecką, zrobiono mi pranie mózgu ze straszaniem, szantażowaniem i zakazem chodzenia na procesy działaczy Solidarności. A ja już byłem umówiony z Jurkiem Popiełuszką, kapelanem Huty Warszawa, na taki proces. Zjawiam się w sądzie, siadamy z Jurkiem w pierwszym rzędzie, a ja wpatruję się w obfity biust pani prokurator, doprowadzając ją do konsternacji, aż zaczęły się jej plątać kartki oskarżenia i język. A Jurek tylko szepnął: „Bardzo dobrze, już masz moje rozgrzeszenie”.

Ale do Paryża pan poleciał.

– Nie doceniłem Loseya, okazał się wspaiałym facetem – powiedział, że nie zacznie filmu, dopóki mnie nie wyciągną z Polski. Uruchomił polityczne kanały, oparło się o prezydenta Mitterranda i dostałem zaproszenie po paszport i bilet. W przeddzień wylotu jeszcze pognałem na mszę za ojczyznę do kościoła św. Stanisława Kostki. I przy ołtarzu wyrąbałem wiersz Norwida, który zaczynał się słowami: „Ty! Prawd płomienie wzięwszy za sztylety, / Śmiesz jeszcze mniemać, żeś wódz – żeś generał! / O! niewolniku – stój – cofaj bagnety”. Moja żona się rozplakała: jutro cię na pewno nie wypuszczą.

I co?

– Musieli mnie puścić, sprawa była załatwiona na zbyt wysokim szczeblu, ale upokorzono mnie rewizją osobistą. Cały samolot czekał, a ja musiałem rozebrać się do naga, celnik założył teatralnie rękawiczki, krem na palec, który miał mi wepchnąć wiadomo gdzie. Ale nie wepchnął. W Paryżu czekali na mnie Losey, Jeanne Moreau, Isabelle Huppert i przedstawiciel prezydenta.

Pan się ciągle interesuje polityką?

– Oczywiście, byłem pod wrażeniem tekstu Staszka Brejdyganta w „Newsweeku” o Jarosławie Kaczyńskim. Napisałem kilka zdań. Mogę przeczytać?

Oczywiście.

– Ostatnie wypowiedzi Jarosława Kaczyńskiego prowokują pytanie, czy jest on aż tak nikczemny, czy osiągnął wysoki poziom demencji. Jako obywatel mam prawo żądać informacji o stanie umysłu człowieka, który wpływa na los Polaków, wolałbym, żeby nad nim czuwało wiarygodne konsylium psychologów lub psy-

chiatrów. Ostatnie wypowiedzi o Julii Przyłębskiej i jej prawie do zasiadania w fotelu prezesa Trybunału Konstytucyjnego budzą podejrzenie, że prezes PiS nie wie, że Polska to państwo demokratyczne, a on sam stracił poczucie, gdzie jest geograficzny i polityczny Wschód, a gdzie Zachód. Jeszcze parę lat temu kojarzyłem go z Ryszardem III: po trupach idzie do władzy, a potem za wszelką cenę chce uniknąć kary za zbrodnię niespotykane w historii podzielenia naszego narodu. Teraz ta metafora nie sprawdza się, jego nikczemność może tylko usprawiedliwić diagnoza demencji.

Służby radzieckie przez lata wylażyły ze skóry, żeby rozbić polski Kościół. Udało się dopiero w czasach wolności i demokracji ojcu Rydzykowi. Założyciel Radia Maryja nigdy nie ukrywał, że pierwsze częstotliwości przekazali mu funkcjonariusze Armii Czerwonej, którzy opuszczali NRD. Od początku program stacji, polegający na niszczeniu autorytetów, zniechęcaniu Polaków do NATO i UE, pachniał mi ruską dywersją. Przez lata obserwowałem rosyjskie media, slogany z tamtejszych propagandowych gazet były powtarzane w toruńskiej szczekaczce.

Na tę zarazę nie reagowali ani mądrzy politycy, ani polski Kościół, ani Jan Paweł II. A przecież Rydzyk jawnie gwałcił polską rację stanu, a miliony jego zwolenników głosowały potem na prawicę. Żądza władzy była silniejsza od rozumu i moralności. Do Torunia pielgrzymowali pravicowi politycy, których nie podejrzewam o naiwność i niewiedzę, w czym interesie nadaje ta stacja. Kolejnym punktem było przekonanie Polaków, że w Smoleńsku miał miejsce zamach. Niebawem skłócenie narodu polskiego nie udało się ani zaborcom, ani Hitlerowi czy Stalinowi. Skłócenie narodu to podstawowa metoda służb rosyjskich specjalnych od wieków. W Polsce Macierewicz i Kaczyński działali jakby w ich interesie.

Ma pan kontakt ze swoimi przyjaciółmi Rosjanami?

– Dzwoniłem niedawno do Michała Barysznikowa, wybitnego tancerza. Był ogromnie przygnębiony. Nawet nie chciał za długo rozmawiać. Czuję, że jest mu głupio jako Rosjaninowi, chociaż od lat mieszka w Nowym Jorku. Marina Vlady, żona Włodzimierza Wysockiego, nie chciała się ze mną zobaczyć, kiedy byłem ostatnio w Paryżu. Wykręciła się chorobą. Bo ci wielcy Rosjanie, i na emigracji, i w Rosji, po napaści na Ukrainę wstydzą się swojej ojczyzny, władz, ale też narodu, który popiera swojego prezydenta. I mają rację. Bo ten naród jest współwinni tej wojnie.

W zeszłym roku wysłałem krótki list do dwóch moich wybitnych przyjaciół, reżyserów Nikity Michałkova i Andrieja Konczalowskiego. „Cały świat zna waszą wspaniałą twórczość filmową i wartości, które wspieraliście swoim talentem. W tej chwili te wartości brutalnie łamie na oczach całego świata wasz prezy-



CO ZAWDZIĘCZAM
WAJDZIE? WSZYSTKO.
TO DZIĘKI NIEMU
ZOBACZYŁ MNIĘ CAŁY
FILMOWY ŚWIAT

dent. Jako wasz przyjaciel oczekuję od was gwałtownego publicznego protestu przeciwko temu, co wyprawia prezydent Putin. Jeśli w waszym kraju taki protest można potraktować jako bohaterstwo, to uważam, że czas na takie bohaterstwo przeszedł. Wasz polski brat, Daniel Olbrychski”.

Jaka była reakcja?

– Po paru tygodniach zadzwonił Konczałowski, dał mi do zrozumienia, że rozumie moje argumenty. Ale w sytuacji prywatnej, w jakiej się znajduje, nie może pozwolić sobie na żaden protest ani wyjazd. Ma dorosłą córkę w śpiączce. Nikita zatkał sobie uszy, zamknął oczy. Wyparł. Zresztą z Michałkowem sprawa też nie jest taka prosta. Na początku lat 80. spotkałem się z nim w Cannes, gdzie przyjechał z delegacją radziecką. Był przez nią bojkotowany, bo zadawał się ze mną, politycznym emigrantem. Płynęliśmy wpław na przyjęcie do jachtklubu po drugiej stronie zatoki, żeby się trochę otrzeźwić, bo piliśmy do rana. Smokingi jechały taksówką. Mogliśmy rozmawiać szczerze. Przekonywał mnie np., że to Niemcy mordowali w Katyniu. Co nie przeszkadzało mu wpłynąć po latach na Putina, żeby zgodził się pokazać „Katyń” Wajdy w rosyjskiej telewizji państwowej.

Zbliża się pan do osiemdziesiątki. Robi pan podsumowania?

– Nie. Jak się żyje tyle lat, to musi być coś, czego się żałuje, jakichś słów, gestów, roli. Gdybym zagrał obok Roberta De Niro, jak chciał Bertolucci... Ale czy to by zmieniło moje życie? Wątpię.

Spotkałem wielu cennych ludzi, przyjaźniłem się z najciekawszymi żyjącymi twórcami. Za panem stoi zdjęcie Włodzimierza Wysockiego, mojego rosyjskiego brata. A obok pudełeczko po kremie. W środku jest garść ziemi z jego mogiły, bo nie mogłem być na pogrzebie, i kosmyk włosów, który ucięła mu jego żona, Marina Vlady. W garażu wisi siodło kowbojskie, które dostałem od Kirka Douglasa. Tutaj na ścianie dedykacja od Artura Rubinsteina. Tam zdjęcie z Jeanem Paulem Belmondo, a obok z moim przyjacielem Alainem Delonem.

Boi się pan śmierci?

– Raczej choroby, i to bliskich, bo ze swoją dam sobie radę. **N**

jacek.tomczuk@newsweek.pl

DANIEL OLBRYCHSKI (ROCNIAK 1945) BYŁ ULUBIONYM AKTOREM ANDRZEJA WAJDY, KTÓRY OBSADZAŁ GO OD „POPIOŁÓW” (1965), PRZEZ „ZIEMIĘ OBIECANĄ” (1974), AŻ PO „ZEMSTĘ” (2002). GENIALNIE WCIELIŁ SIĘ W KMICICA W „POTOPIE” (1974) I WŁAŚNIE NAGRYWA AUDIOBOOK Z POWIEŚCI SIENKIEWICZA. MIESZKA W PODKOWIE LEŚNEJ

REKLAMA



BLISKA MI OSOBA CIERPI NA DEPRESJĘ Jak ją wesprzeć?

O emocjach, psychice i relacjach czytaj na
wysokieobcasy.pl/zyclepiej







Newsweek POLITYKA

KAMPANIA OPOZYCJI
JAK PO GRUDZIE

KLĄTWA JEDNEJ LISTY

Opozycja musi wreszcie
przestać hamletyzować
i uczciwie odpowiedzieć
swoim wyborcom: chce czy
nie chce jednej listy. To może
być także odpowiedź
na pytanie o być albo nie być
wolnej Polski

TEKST ALEKSANDRA PAWLICKA

Donald Tusk
podczas spotkania
z mieszkańcami
Chełmna,
3 kwietnia 2023 r.

FOT. MIKOŁAJ JURAS/PAP

Zle się dzieje na opozycji, kiedy się nie rozmawia. Apeluję o to, żeby współpracować, bo wróg jest gdzie indziej. Jeżeli Platformie trudno wrócić do rozmów z Hołownią, to może na początek niech usiądzie z lewicą. To będzie sygnał dla kolegi Hołowni i kolegów z PSL: zapraszamy, jesteśmy otwarci, mamy dobre intencje – mówi

Robert Biedroń, jeden z szefów lewicowego trójpaku.

Liderzy opozycji nie rozmawiają z Donaldem Tuskiem od stycznia, mimo że kolejne sondaże nie pozostawiają wątpliwości – prodemokratyczni wyborcy chcą jednej listy. W międzyczasie zmienił się układ sił – Szymon Hołownia stracił szanse na podium, dając się wyprzedzić Konfederacji, co jest złą wiadomością także dla ludowców, którzy uznali Polskę 2050 za czarnego konia tych wyborów. Tle- nu wygranej dramatycznie potrzebuje również lewica, a Koalicja Obywatelska, skazana na start w pojedynkę, ryzykuje piękną katastrofą.

DO TANGA TRZEBA CZWORGĄ

– JAKO OPOZYCJA NIE POWINIŃMY KOPAĆ SIĘ PO KOSTKACH, tylko usiąść do stołu i pokazać, czym jesteśmy jako zbiór. Podpisać pakt sejmowy, który określiłby minimum programowe, deklarację o współzrządzeniu po wygranej i formułę dotyczącą wyborów, ale do tego tanga trzeba czworga – mówi Biedroń w Onecie. Takich rozmów na opozycji jednak nie ma. Dlaczego? Zdaniem Biedronia to „największy powinien się zastanowić, dlaczego tak się dzieje. Ten, który jest w stanie zebrać nas przy jednym stole. Tymczasem z Tuskiem nie ma kontaktu”.

Propozycja paktu sejmowego to analogia do paktu senackiego podpisanego przez opozycję pod koniec lutego po miesiącach przepychanek. Koalicja Obywatelska, Nowa Lewica, Polskie Stronnictwo Ludowe i Polska 2050 zobowiązały się razem prowadzić kampanię i w każdym okręgu wystawić wspólnego kandydata na senatora. Pomysł sprawdził się w wyborach 2019 roku, gdy opozycji udało się zdobyć większość w izbie wyższej parlamentu.

– Podpisywanie kolejnych deklaracji nie ma już sensu. Podpisałyśmy kilka w kluczowych sprawach i mogą stanowić fundament do wspólnego rządzenia. Nikt na opozycji nie ma wątpliwości, że w uzgodnionych kwestiach nie ma między nami różnic – przekonuje rzecznik PO Jan Grabiec i dodaje: – Na-

sza propozycja wspólnej listy w wyborach do Sejmu wynikała z doświadczeń Koalicji Obywatelskiej, w której nie ma urawniłowki, nikt na nikim nie wywiera nacisków, żeby zmienić poglądy, a mimo to udaje się nam tworzyć wspólne listy. Okazało się to jednak trudne do zrozumienia dla Szymona Hołowni, który postanowił wrócić do lansowania siebie jako trzeciej siły politycznej mającej wynieść go na 20-proc. poparcie w wyborach.

W krótkiej historii Polski 2050 był moment (dwa lata temu), gdy przebiła pułap 20 proc. Hołownia budował swoją pozycję na efekcie nowości w polityce, odcinaniu się od PO i kreowaniu na alternatywę wobec duopolu Tusk – Kaczyński. Tyle że w rzeczywistości przejął głównie rozczarowanych wyborców Platformy, kaniibalizując elektorat opozycyjny. – Według badań przeprowadzonych przez Platformę – twierdzi Grabiec – nie ma przepływu elektoratu między PiS i Hołownią, a rozczarowany elektorat Kaczyńskiego odpływa do Konfederacji.

W ostatnich sondażach poparcie dla Polski 2050 stopniało do jednocyfrowego wyniku i Hołownia, balansując na granicy progu wyborczego, odbywa godowy taniec z ludowcami.

– Propozycja paktu sejmowego Biedronia to nic nowego. Od dawna mówimy, żeby zamiast jednej listy robić listę wspólnych spraw, które trzeba jak najszybciej załatwić – mówi szef PSL Władysław Kosiniak-Kamysz. – A co do jednej listy, to uważamy, że jest nieskuteczna. Doświadczenie węgierskie czy nasze z wyborów europejskich oraz wszystkie badania i analizy pokazują, że pełne rozdrobnienie jest bardzo złe, ale wrzucenie wszystkich do jednego worka nie daje ani premii wyborczej, ani gwarancji rządzenia.

– Czyli o wspólnym starcie do Sejmu na wzór paktu senackiego można zapomnieć? – dopytuje.

– W Senacie nie ma wspólnego startu, tylko niewchodzenie sobie w drogę, a to jest zasadnicza różnica. Każdy kandydat

opozycji startuje z własnego komitetu, a pozostałe nie wystawiają własnych. To, co możliwe jest w Senacie, nie jest niestety możliwe w Sejmie – odpowiada szef ludowców. Zapewnia, że doniesienia o przerwanych rozmowach z Polską 2050 to wyborcza gra. Każdy próbuje licytować jak najwyżej (Hołownia chce wszystkich jedynek), ale spotkać trzeba się w pół drogi. – Jesteśmy umówieni po świętach na rozmowy i przed majówką mam nadzieję ogłosimy wspólną inicjatywę wyborczą – mówi Kosiniak-Kamysz.



W SENACIE NIE MA WSPÓLNEGO STARTU, TYLKO NIEWCHODZENIE SOBIE W DROGĘ. KAŻDY KANDYDAT OPOZYCJI STARTUJE Z WŁASNEGO KOMITETU, A POZOSTAŁE NIE WYSTAWIAJĄ WŁASNYCH. W SEJMIE TO NIEMOŻLIWE

WŁADYSŁAW KOSINIAK-KAMYSZ, PSL



SZEF PODJĄŁ DECYZJĘ

DONALD TUSK DEKLARUJE CHĘĆ TWORZENIA JEDNEJ LISTY od momentu powrotu do polskiej polityki, a co najmniej od roku powtarza jak mantrę: „Zjednoczeni możemy wygrać z PiS”. Mniejsze partie obawiają się jednak, że jedna lista stałaby się listą Tuska, co w powyborczym rozdaniu mogłoby oznaczać anihilację koalicjantów, tak jak stało się z Nowoczesną Ryszarda Petru czy Inicjatywą Polską Barbary Nowackiej.

– Dlaczego Tusk nie przekuwa deklaracji o jednej liście w czyn? – pytam Jana Grabca.

– Bo mamy słowa, nie mamy woli.

– Kto nie ma woli?

– Ci, którzy nie zgadzają się na jedną listę.

– Oni twierdzą, że to Tusk z nimi nie rozmawia.

– Nie ma o czym rozmawiać. Rozmowy toczyły się bardzo intensywnie jesienią ubiegłego roku – o tym, co kogo interesuje i jak to spiąć. W styczniu porozumienie zostało wypowiedziane przez Szymona Hołownię nie tylko w głosowaniu w sprawie Sądu Najwyższego. Także na konwencji Polski 2050, gdy usłyszeliśmy uroczystą zapowiedź, że żadnej listy z PO nie będzie. Dziś wszelkie deklaracje o współpracy to pułapka polegająca na tym, że mówią jedno, a robią drugie – odpowiada Grabiec.

– Wierzę w dobrą wolę Tuska, ale jeżeli Hołownia zaprasza na rozmowy i ze strony Platformy nie ma odzewu, to chyba problem jest tam, a nie tu – komentuje Kosiniak-Kamysz. Liderzy Polski 2050 nie zdecydowali się rozmawiać z „Newsweekiem”. Rozmowy o jednej liście przypominają głuchy telefon, w którym każdy przekazuje własną wersję odpowiedzialności za fiasko stworzenia jednej listy.

Temat jednej listy odżył w ostatnich tygodniach za sprawą sondaży obywatelskich. Tusk odniósł się do nich na spotkaniu z wyborcami w Żywcu: „Namawiałem ich do tej jednej listy – od pierwszego dnia, dlatego że wszędzie słyszę to od ludzi. A jeśli jesteś demokratą i chcesz o coś walczyć, to słuchaj ludzi, słuchaj zdrowego rozsądku i nie kłóć się z matematyką. Ci z polityków, którzy nie chcą wspólnej listy, chcą tylko być, tylko wejść do Sejmu. Jeżeli w najbliższym czasie nie zrozumieją, że trzeba zrobić to natychmiast, to przed wyborami znikną w sondażach i dostaną od wyborców baty. A wtedy rzeczywistość zostanie jedna lista”.

– Szef – tłumaczy Grabiec – podjął decyzję, a zarząd partii ją przyjął, że jedziemy w Polskę, prowadzimy kampanię i budujemy własne listy. Nie zamyka to drzwi przed jedną listą, ale my jesteśmy skupieni już na czymś innym. Z Hołownią rozmawialiśmy, gdy miał 14-15 proc. i wtedy ogłoszenie wspólnej listy miało szanse być dużym wydarzeniem. Teraz nie ma już co rozmawiać, trzeba podejmować decyzje i jeśli będą zwlekać zbyt długo, to może się okazać, że w poszerzonym składzie nie będziemy przebijać PiS, a to jest perspektywa dramatyczna.

Według Grabca pomysły typu pakt sejmowy są zasłoną dymną: – Pod presją elektoratu domagającego się wspólnej listy szukają wymówki w tłumaczeniu, że nikt do nich nie dzwoni, nie wysłał SMS-ów i nie zaprasza na rozmowę. Bo trudno stanąć twarzą w twarz z własnymi wyborcami i powiedzieć:

„Wiemy, że chcecie wspólnej listy, ale dla nas będzie lepiej, gdy pójdziemy w innej konfiguracji”.

KURTUAZYJNE ROZMOWY

ARGUMENTEM NIEPODNOŚNYM W PUBLICZNEJ DEBACIE przez partie odrzucające pomysł jednej listy jest kwestia subwencji. Startując samodzielnie, nabywają prawo do finansowania z budżetu, nawet jeśli nie przekroczą progu wyborczego. Wystarczy, że zdobędą 3 proc. głosów jako partia lub 6 proc. jako koalicja. Tymczasem w przypadku jednej listy mniejsi koalicjanci stają się zakładnikiem największego.

Kosiniak powtarza: „Niech Tusk wróci do tego, co mówił w 2007 roku, że jak ktoś nie chce głosować na Platformę, to niech głosuje na PSL, a nie do tego, co mówiła Kopacz w 2015 roku, żeby nie głosować na mniejsze formacje, bo pierwsze skończyło się wygraną, a drugie tym, że mamy rządy PiS”. Szef ludowców nie bierze jednak pod uwagę, że Polska dzisiaj to inny kraj niż ten w 2007 roku. Dwa lata pierwszego rządu Kaczyńskiego podziały wtedy na Polaków jak kubek zimnej wody. 16 lat później w kraju podzielonym katastrofą smoleńską i cyniczną grą Kościoła PiS zachowuje pozycję sondażowego lidera, mimo dwóch kadencji grabieżczej polityki i dewastacji państwa.

REKLAMA



Fundacja[®]
Zbieramy Razem

organizacja
pożytku publicznego
opp

1,5%
PAMIĘTAJ
TWOJE 1,5%
TO NAPRAWDĘ
WIELKA POMOC

KRS: 0000 518 797

NA CO PRZEZNACZYSZ 1,5%
SWOJEGO PODATKU W TYM ROKU ?!

**PRZEKAŻ 1,5% PODATKU
CHORYM DZIECIOM I DOROSŁYM**

www.zbieramyrazem.org



Szymon Hołownia, lider Polski 2050, i Włodzisław Kosiniak-Kamysz, prezes PSL, na konferencji prasowej „#WspólnaListaSpraw” w Warszawie, 1 marca 2023 r.

Kosiniak paktuje więc z Hołownią. Obydwoj spotykają się też z politykami lewicy, a ci prowadzą nieformalne rozmowy z KO. Przypomina to polityczne macanki, które mają zapewnić poczucie trzymania ręki na pulsie, ale nie pozwalają osiągnąć wyborczego kompromisu.

– Z lewicą trwają kurtuazyjne rozmowy w sprawie bieżącej polityki – przyznaje Grabiec. – Jesteśmy po spotkaniach dotyczących różnych opcji i można powiedzieć, że mamy pakt o nieagresji, rozumiemy swoje intencje, wiemy, do czego zmierzamy i jest gotowość podjęcia rozmów, jeśli będzie po temu sposobność. Lewica nie chce tracić lewego skrzydła, które zapowiada, że „z PO to nie ma mowy”.

– Lewe skrzydło, czyli Zandberg? – pytam.

– Część wyborców lewicowych, dwa może trzy procent, jest bardziej antyliberalnych niż antypisowskich – odpowiada Grabiec.

OPERA MYDLANA

ADRIAN ZANDBERG W 2015 ROKU, wchodząc na ostatniej prostej do wyborczej gry z Partią Razem, osłabił wynik lewicy na tyle, że ta znalazła się poza parlamentem, co ułatwiło PiS wygraną i zdobycie większości parlamentarnej. Pytam go dziś, czy akceptuje pomysł Roberta Biedronia dotyczący paktu sejmowego.

– Najwyższy czas, żeby demokratyczne partie opozycyjne usiadły do rozmów o konkretnych sprawach, które trzeba zrobić w przyszłym rządzie, aby uzgodnione rozwiązania były gotowe do wdrażania już na pierwszym czy drugim posiedzeniu nowego Sejmu. To lepsze niż męczenie tematu jednej listy, o której od dawna wiadomo, że nie będzie, a niekończąca się o tym dyskusja demobilizuje opozycyjnych wyborców.

– Dlaczego więc takiego paktu dotąd nie zrobiliście?
– Wychodziliśmy z takimi propozycjami. Oddźwięk od Hołowni był pozytywny, w PO brak entuzjazmu. Mam nadzieję, że to się zmieni. Bo lepiej pracować and konkretnymi, niż się wiecznie w opozycyjnym gronie recenzować.

– A co, jeśli Biedroń i Czarzasty spróbują na ostatniej prostej dogadać się z Tuskiem?

– Mniej więcej od roku jest jasne, jakie będą listy. Potem trwała już tylko gra, kogo obwinic, kto będzie kozłem ofiarnym. Mam poczucie, że strasznie dużo czasu zmarnowano na to puste gadanie, zamiast mobilizować ludzi do pójścia na wybory wokół konkretnych spraw. Na spotkaniach nikt nie pyta mnie o mityczną jedną listę. Niezdecydowani, a to od nich będzie zależał wynik wyborów, pytają, jak chcemy rozwiązać kryzys mieszkaniowy albo jaki mamy pomysł na to, aby ich pensji nie zżerała inflacja. Czas skończyć gadanie o listach, bo byłoby chichotem historii, gdyby przez obsesję polityków rozmawiania o samych sobie została zaprzepaszczone szansa na zmianę polityczną w Polsce.

Biedroń przekonuje, że zaproponowany przez niego pakt senacki to szansa „na zakończenie opery mydlanej, która zrobiła się już groteskowa”, ale w rzeczywistości ten pakt to kolejna wersja kłątwy, jaką

dla opozycji okazała się jedna lista.

Wszyscy są za, a nawet przeciw, tylko że takie hamletyzowanie nawet dla wyborcy zmęczonych rządami PiS jest mało atrakcyjne. **N**

STARTUJĄC
SAMODZIELNIE, PARTIE
NABYWAJĄ PRAWO
DO FINANSOWANIA
Z BUDŻETU, JEŚLI
ZDOBĘDĄ 3 PROC.
GŁOSÓW LUB 6 PROC.
JAKO KOALICJA.
W PRZYPADKU
JEDNEJ LISTY MNIJSI
KOALICJANCI STAJĄ
SIĘ ZAKŁADNIKIEM
NAJWIĘKSZEGO

aleksandra.pawlicka@newsweek.pl

Dariusz Ćwiklak

Pamiętajmy o żonkilach



„**JEST WIOSNA KALENDARZOWA** i łagodne powietrze wskazuje też na nią, ale nic więcej. Wiosna bez kwiatów, bez trawy, bez twarzy rozedrganych radością na zamkniętej murami przestrzeni kilku domów, nie jest wcale wiosną, tylko dalszym ciągiem koszmaru [...]” – te słowa pisała 80 lat temu dziewczyna, którą znamy jedynie z imienia. Po Marylce został tylko dziennik odnaleziony w obozie koncentracyjnym na Majdanku. Powstał w warszawskim getcie, gdzie mieszkała autorka. Jego część Marylka pisała w dusznej piwnicy, gdzie schroniła się po wybuchu powstania w getcie: „W schronie zebrano się już ludzi tyle, że powietrze było jakąś gęstą mieszaniną ludzkich wyziewów (...) powietrze pozabawione tlenu, tak, że zapalka nawet nie chciała się zapalić”. Płonęły za to ruiny na powierzchni. 19 kwietnia 1943 r., w święto Pesach, Niemcy zaczęli zrównywać getto z ziemią. Garstka żydowskich bojowców stawiała opór uzbrojonym po zęby oddziałom. Nietrudno było przewidzieć, jak zakończy się to starcie. Ale to była przede wszystkim walka o godność i miejsce w historii.

PAMIĘĆ O POWSTANIU W GETCIE, pierwszym warszawskim powstaniu, przetrwała, choć przeżyli je nieliczni. Pierwszy, skromny pomnik Bohaterów Getta odsłonięto już w kwietniu 1946 r., pośród morza gruzów. Zaledwie dwa lata później pojawił się w tym miejscu drugi pomnik, ten, który stoi do dziś. To pod nim Marek Edelman, ostatni przywódca powstania w getcie, co roku 19 kwietnia w południe składał bukiet żonkili i siedł na pobliskim Umschlagplatz, skąd odchodziły transporty pociągów z getta do obozów śmierci. Skąd żonkile? W rozmowie z Hanną Krall Edelman opowiadał, że co roku w rocznicę wybuchu powstania dostawał ich bukiet od nieznannej osoby. Z czasem Edelmanowi towarzyszyły w tym rocznicowym rytuale coraz więcej osób. A od ponad dekady, za sprawą Muzeum POLIN, żonkile – te żywe, i papierowe, które dziś znajdziecie w „Newsweeku” – stały się symbolem powstania w getcie. Z sondażu Barometr Warszawski wynika, że aż 90 proc. badanych kojarzy je z tą właśnie rocznicą.

POMNIK BOHATERÓW GETTA W WARSZAWIE ma dwie strony. Od frontu Muzeum POLIN widać żydowskich bojowców. Ta druga, nieco zapomniana strona, przedstawia cywilnych mieszkańców getta, takich jak Marylka. W chwili wybuchu powstania mogło ich być w getcie nawet 50 tys. Wielu ukrywało się w budowanych licz-

nie schronach-piwnicach. Niektórzy spędzili tam wiele miesięcy po likwidacji getta, jak Stella Fidelseid, która ukrywała się w bunkrze przez dziewięć miesięcy i pod ziemią urodziła nawet dziecko. Ścisk, zaduch, brak jedzenia i kompletna cisza, bo życie w bunkrze polegało na ciągłym nasłuchiowaniu dźwięków z góry. Nie sposób dziś oddać tego, co przeżywali wtedy ukryci pod gruzami ludzie, ale część tych doznań próbują odtworzyć autorzy wystawy „Wokół nas morze ognia” w Muzeum POLIN. To opowieść utkana ze wspomnień 12 osób, które przeżyły ten koszmar.

„**ZA CZERWONYM MUREM**, który stanowi linię demarkacyjną, oddzielającą nas – skazanych od nich, którym wolno żyć, jak ludziom, biegnie inny mur, który jest znacznie trudniejszy do przebycia – to gruby mur obojętności i braku zrozumienia” – notowała w swoim dzienniku Marylka. Zbigniew Leszek Grzywaczewski, polski strażak, który wykonał unikatowe zdjęcia w powstańczym getcie, na odbitce jednego z nich napisał: „Nie pomogliśmy im, choć technicznie było to możliwe”. Na fotografii widać żydowską rodzinę przed samobójczym skokiem z płonącej kamienicy. Przed

Nietrudno było przewidzieć, jak zakończy się to starcie. Ale to była przede wszystkim walka o godność i miejsce w historii

obojętnością na krzywdę i dyskryminację kogokolwiek przestrzegaliśmy trzy lata temu redaktor Marian Turski, więzień obozu w Auschwitz. Kiedy autorytarna władza dostrzeże przyzwolenie na zło, nie cofnie się przed niczym. „Auschwitz tuptał, dreptał małymi kroczkami, zbliżał się, aż stało się to, co stało się tutaj” – mówił Turski. Cytował też innego więźnia obozu – Primo Leviego: „To się zdarzyło, więc może się zdarzyć ponownie. I może się zdarzyć wszędzie”. I nie były to słowa na wyrost. Wystarczy spojrzeć na zrównany z ziemią Bachmut, na ludzi ukrywających się w piwnicach tam i w innych ukraińskich miastach. Kryją się dlatego, że autorytarna władza w Rosji dostała od społeczeństwa przyzwolenie na wymazanie z mapy innego narodu.

Obojętność rośnie tam, gdzie zanika pamięć. Dlatego 19 kwietnia nie zapomnijmy o żonkilach. **N**

Prawo i Sprawiedliwość rozda je jedynki na listach, a Solidarna Polska przygotowuje się do samodzielnego startu w wyborach. Zbigniew Ziobro oddaje kompetencje prokuratora generalnego, a minister rolnictwa – stanowisko. Tak wygląda krajobraz w Zjednoczonej Prawicy na pół roku przed wyborami. I chociaż wszyscy są przekonani, że obóz rządzący pójdzie do wyborów na jednej liście, to od dawna nikt nie mówi o jedności. Największa partia nawet już nie udaje, że ma jakichś partnerów. Jej prezes da koalicjantom to, co uzna za stosowne, nie oglądając się na żadne wcześniejsze ustalenia. Na razie PiS prowadzi kampanię tak, jakby do wyborów miało iść samotnie.

PRAWO I SPRAWIEDLIWOŚĆ zaczęło przymerzać swoich polityków do miejsc na listach wyborczych. Jest kilka problemów, które wymagają dłuższego zastanowienia i kilka pewniaków. Oczywiście pewny jest start Jarosława Kaczyńskiego z pierwszego miejsca w stolicy. Tradycyjnie towarzyszyć mu będzie były szef warszawskich struktur PiS Mariusz Kamiński i obecny Jarosław Krajewski. Stołeczne mandaty mają także Małgorzata Gosiewska, Paweł Lisicki i Sebastian Kaleta.

Solidarna Polska bardzo chce, żeby Kaleta wystartował ponownie z Warszawy, gdzie miał doskonały wynik (był tylko za Kaczyńskim i Kamińskim), a w ostatnich czterech latach stał się jeszcze bardziej rozpoznawalny dla wyborcy obozu władzy. – Nie chcemy tego renegecować – mówią politycy Solidarnej Polski.

PiS boi się Warszawy i spodziewa się w stolicy sromotnej porażki. Dlatego zio-bryści przygotowali się do kampanii przeciwko Rafałowi Trzaskowskiemu. To on będzie głównym przeciwnikiem dla partii ministra sprawiedliwości, podczas gdy Donald Tusk jest celem PiS. Powstał nawet plan, który podobno został wstępnie zaakceptowany przez Nowogrodzką, żeby jeszcze przed wyborami wprowadzić do Warszawy rządowego komisarza.



Posiedzenie Sejmu IX kadencji. Od lewej: Zbigniew Ziobro, Norbert Kaczmarczyk, Sebastian Kaleta i Tadeusz Woźniak, Warszawa, 13 stycznia 2023 r.

PIS Z ZIOBRĄ CZY BEZ ZIOBRY?

Zapasy Zbyszka z Jarkiem

PiS wie, że tym razem jesteśmy śmiertelnie poważni – odgrają się zio-bryści, opowiadając o samodzielnym starciu w wyborach. Zaryzykują utratę władzy czy z podkulonym ogonem ugną się przed Kaczyńskim?

TEKST DOMINIKA DŁUGOSZ



Aresztowanie odpowiedzialnego za gospodarkę odpadami sekretarza miasta Włodzimierza Karpińskiego, śledztwo prowadzone w sprawie przetargu na warszawskie tramwaje, cykliczne problemy z oczyszczalnią ścieków Czajka miały być pretekstem do wykorzystania przepisów ustawy o samorządzie, które mówią, że w pewnych warunkach, jeśli władze samorządowe nie wykonują swoich zadań publicznych, premier może wprowadzić do miasta komisarza.

Podobno pomysł Solidarnej Polski bardzo spodobał się na Nowogrodzkiej, ale kiedy PiS zaczęło go analizować, zwyczajnie się przestraszyło, że Kaleta dzięki temu się wzmacni, za to partia Kaczyńskiego z bitwy warszawskiej wyjdzie osłabiona, bo straci dwa mandaty.

Podobnie jest w kilku regionach. PiS musi się liczyć z tym, że wprowadzi do Sejmu mniej ludzi niż cztery lata temu, dlatego prezes chce mieć pewność, że to będą przede wszystkim jego ludzie, a nie koalicjantów. Ryszard Terlecki jest przymerzany do Nowego Sącza, bo w ostatnich wyborach uzyskał w Krakowie tak słaby wynik, że przez dwa dni nie było pewności, czy w ogóle obejmie mandat. W Nowym Sączu Zjednoczona Prawica zdobyła aż osiem mandatów, z czego dwa przypadły koalicjantom. Wejście na listę Terleckiego mogłoby zmienić ten układ sił. Podobnie jest w Białymstoku, gdzie jedynką miał być Jacek Żalek od Republikanów, ale po kłopotach w NCBR i kłótni z Adamem Bielanem raczej nie ma co liczyć na start. Aż trzy mandaty zdobyli tu politycy obecnie związani z mniejszy-

mi koalicjantami, a to dla PiS zdecydowanie za dużo. Lokomotywą wyborczą w stolicy Podlasia ma być Jacek Sasin.

Nie bardzo też wiadomo, co zrobić z premierem, który startował z Katowic, gdzie na pięć zdobytych mandatów aż trzy mają dziś ludzie, których PiS nie jest pewne. Mateusz Morawiecki jest przymerzany do startu z Wrocławia.

OSTATNIA KADENCJA POTWIERDZIŁA NAJGORSZE OBAWY KACZYŃSKIEGO – silny Ziobro to problemy, wieczne negocjacje i niepewność. Nie zamierza powtórzyć błędu z 2019 roku. Co prawda w umowach koalicyjnych – ze wszystkimi partnerami – PiS zobowiązało się do oddania im miejsc biorących na listach wyborczych, ale jak słyszymy z Nowogrodzkiej, że „w ogóle nie należy się do tego przywiązywać”. PiS przestawi pionki na szachownicy tak, żeby zyskać jak najwięcej nie tylko kosztem opozycji, ale przede wszystkim koalicjantów.

W 2015 roku na przykład przeniósł Ziobrę z Krakowa na nieznanie zupełnie wody, do Kielc. Poradził sobie, a cztery lata później podwoił wynik. Teraz koalicjanci spodziewają się, że mogą dostać regiony, które są dla PiS trudne.

– W kilku sytuacja bardzo napięta, będą kontrowersje i musimy być gotowi na trudną rozmowę – mówią „Newsweekowi” politycy Solidarnej Polski.

Partia Ziobry odgraża się, że jest gotowa nie tylko do trudnych negocjacji. – Oczywiście naszym priorytetem jest start z PiS, ale przygotowujemy się także do samodzielnego wystawienia list – mówią jednym głosem nasi rozmówcy z Solidarnej Polski. Objechali regiony i twierdzą, że w całym kraju mają wystarczająco dużo szabel, żeby zaważyć z PiS. „Terlecki mówi, że nas nie chce na listach, to my powiemy, że mamy gotowe listy” – taki komunikat wypuszczają do mediów ziobryści.

Pytanie, czy zadziała, bo jak słyhać z Nowogrodzkiej, prezes stracił cierpliwość. – Gdybyśmy wystartowali sami, to byłaby wojna. My to wiemy i PiS to wie, dlatego na razie się przygotowujemy, ale nie zamierzamy zaatakować – zastrzegają

nasi rozmówcy z Solidarnej Polski. Ale to już było i brzmi jak rytualny wzajemny szantaż.

NIE ZMIENIA TO JEDNAK FAKTU, że PiS ma z ziobrystami realny problem. Nie udało się ich rozbić ani przymilaniem się, ani przekupstwem, ani szantażem. Nic nie zadziało. Za to podobno działa w drugą stronę. Ziobryści twierdzą, że jest przynajmniej kilku posłów PiS, którzy chętnie podjęliby rozmowy z Solidarną Polską, a kilkunastu, którzy potrzebowaliby może niewielkiej zachęty, ale także są gotowi do negocjacji.

– Do następnego Sejmu z naszego obozu wejdzie 30-40 posłów mniej niż ostatnio, a wszyscy przecież chcą być w Sejmie – mówią nam w Solidarnej Polsce. – Dla niektórych sporą zachętą mogą być oddzielne listy, bo na listach PiS dostaną miejsca, z których sobie nie poradzą.

Solidarna Polska przekonuje, że ich sympatyk to „pierwotny” wyborca PiS, szukający tych wartości, od których PiS przez lata odeszło. Ale ten kij ma dwa końce, bo nasi rozmówcy z PiS podkreślają, że ziobryści w żaden sposób nie poszerzają elektoratu Zjednoczonej Prawicy, a generowane przez SP konflikty wewnątrz obozu władzy tylko komplikują sytuację.

– Niczego nie stracimy, jeśli stracimy Solidarną – wzrusza ramionami jeden z naszych informatorów z PiS. – Hipotetycznie oni mają jakiś tam swój elektorat, ale równie hipotetycznie, czy gdybyśmy poszli oddzielnie, to nasi wyborcy zostaliby przy Solidarnej Polsce? Nie. Wybraliby tego, kto wygra, a nie tego, kto załapie się na kilka procent.

Ale dla PiS w obecnej sytuacji każda strata to za dużo. Z wewnętrznych badań Nowogrodzkiej wynika, że SP samodzielnie może liczyć na dwa, maksymalnie trzy punkty procentowe poparcia. Politycy Ziobry uważają, że to cztery, ale zdają sobie sprawę, że dla wyborcy Zjednoczona Prawica równa się PiS i nikt właściwie nie odróżnia, kto jest od Bielana, kto od Ziobry, a kto od Kaczyńskiego. Gdyby doszło do rozłamu, wtedy dopiero okazałoby się naprawdę, kto ile może realnie zgarnąć.

NA RAZIE WSZYSTKO WYGLĄDA TAK, JAKBY PIS I SP SZŁY DO WYBORÓW OSOBNO. W sztabie wyborczym Nowogrodzkiej nie ma nikogo od ziobrystów, strategia nie jest w żaden sposób negocjowana z koalicjantami, ziobryści nie biorą udziału w spotkaniach organizowanych przez PiS, a Solidarna Polska zamierza zorganizować własny kongres programowy na początku maja. Zapewne zaprosi Jarosława Kaczyńskiego, ale już Mateusz Morawiecki nie będzie mile widziany.

– Tym razem nie żartujemy. Jesteśmy śmiertelnie poważni – buńczucznie zapowiadają ziobryści. – Jeśli będzie

Ziobryści twierdzą, że mają czteroprocentowe poparcie, ale wiedzą, że dla wyborcy Zjednoczona Prawica równa się PiS i gdyby doszło do rozłamu, dopiero wybory zweryfikują, jak jest naprawdę

trzeba, to pójdziemy sami, a odbieramy elektorat PiS. Nikomu innemu. Muszą się z nami liczyć, bo z drugiej strony oskrzydla ich Konfederacja.

Ziobro przygotowuje się nawet do tego, że tuż przed wyborami może dojść do przesilenia i będzie musiał odejść z rządu. Świadczy o tym nowy projekt, który trafił do Rządowego Centrum Legislacyjnego. Ziobro chce pozbyć się – mówiąc w bardzo dużym skrócie – kompetencji, które posiada jako prokurator generalny. To nie jest jego nagłe nawrócenie i refleksja, że szefem prokuratorów nie powinien być polityk. Zgodnie z projektem ustawy wszystkie kompetencje prokuratora generalnego dostałby prokurator krajowy. A pełnię tę funkcję Dariusz Barski, który jest

jednym z najbliższych ludzi Ziobry, był świadkiem na jego ślubie. Ziobro, przekazując mu kompetencje, zakłada, że może stracić stanowisko i wcale nie chodzi jedynie o to, że Zjednoczona Prawica straci władzę. Chodzi o to, żeby Barski przypilnował Ziobrze interesu, gdyby wydarzyło się coś nieoczekiwanego i wciąż miał dostęp do dokumentów prokuratorskich. Oczywiście to także zabezpieczenie na czas po wyborach.

POZA TRADYCYJNĄ AGENDĄ ANTYUNIJNĄ I PROWĘGLOWĄ ostatnio ziobryści wsparli protestujących rolników. Wiceminister rolnictwa Janusz Kowalski od paru miesięcy zapowiadał problemy rolników w związku z napływem ukraińskiego zboża, a teraz nawet zaczął nawoływać nominowanego przez PiS unijnego komisarza ds. rolnictwa Janusza Wojciechowskiego do dymisji. Dla PiS to poważny problem. W środku kampanii protesty nigdy nie są dobre dla rządu, a elektorat wiejski jest dla partii rządzącej kluczowy. Dlatego PiS musiało schować Kowalczyka, który podał się do dymisji.

Z Nowogrodzkiej dochodzą pomrukiwania, że Kaczyński miał stracić cierpliwość, ale wszystko w tej chwili zależy od sondaży. Im więcej PiS będzie zyskiwać, tym głośniej będzie mówić o pozbyciu się koalicjantów. W ostatniej chwili Ziobro może dostać propozycję nie do odrzucenia, o której od kiegoś czasu mówi się w otoczeniu prezesa PiS: „Ty zostajesz, ale masz wyciąć swoich największych krzykaczy”. Taką metodę łamania polityków w swoim obozie Jarosław Kaczyński stosował już kilkakrotnie. Miałyby to być test lojalności Ziobry wobec prezesa, ale przede wszystkim wywołanie kryzysu zaufania wobec lidera Solidarnej Polski i rozbić jego partii. Jeśli Ziobro uwierzy, że Kaczyński odda mu nie tylko miejsca na listach, ale też namaści swoim następcą, wtedy może być skłonny takie koszty ponieść. **N**

dominika.dlugosz@newsweek.pl

POLITYCZNE ZŁOTO

Andrzej Stankiewicz

Prezes żebrze w Trybunale



Jak by nie patrzeć, rewolucja Kaczyńskiego polega na samym Kaczyńskim. Wyrzucenie wszelkich instytucji prezes zaczął w 2015 r. od Trybunału Konstytucyjnego, który od góry do dołu obsadził nominatami PiS. Dziś przed sędziami, których tam posłał, musi się upokarzać, bo mają go w głębokim poważaniu.

Prezes ma niełatwy czas. Wciąż nie doszedł do pełni sił po operacji kolana, co wywołuje jego irytację i gniew. W dodatku w kampanii musi się mierzyć z dwoma poważnymi przeciwnikami. Zagraża mu już nie tylko grający na lewicy Tusk, który prowadzi intensywną kampanię w terenie, wzmacniając Platformę jako hegemonia opozycji. Na prawej flance Kaczyńskiego coraz bardziej dociska Konfederacja, która bije sondażowe rekordy.

Co w tej sytuacji robi prezes? Otóż prezes udziela wywiadu rządowej agencji prasowej. Nie, nie narzeka na polską ortopedię, której jest trudnym pacjentem. Nie wyzywa Tuska od Niemców ani nie pomstuje na ruską Konfederację. Otóż prezes prawi o Julii Przyłębskiej. Brzmi groteskowo? I to jak! Ale zanim pochylimy się nad szukaniem sensu w tej grotesce, oddajmy prezesowi głos. „Julia Przyłębska jest prezesem Trybunału Konstytucyjnego i każdy, kto to kwestionuje, kwestionuje obowiązujące prawo” – rzecze prezes. I dodaje, że to nie tylko sytuacja szkodliwa dla państwa, to wręcz kwestia racji stanu.

Skąd te nerwy? Po co od razu tak kategoryczne sądy, pozycjonujące nominatów prezesa w Trybunale gdzieś między niemieckim Tuskiem a ruską Konfederacją? Bo prezesa boli. Utrata władzy go boli. I stąd ten naturalny odruch obolałego pacjenta – pohukiwanie.

Gdy PiS doszło do władzy w 2015 r., pierwszą przejętą i specyfikowaną przez Kaczyńskiego instytucją był właśnie Trybunał Konstytucyjny. Obsadzając go figurantami, tak naprawdę mógł wyłączyć konstytucję – od tego momentu to on decydował, co jest zgodne z prawem, a co nie. Jego namiestniczką w Trybunale była właśnie Julia Przyłębska, oddana prezesowi i partii w sposób głęboko żenujący.

Jednak pod koniec minionego roku w Trybunale niespodziewanie wybuchł bunt. Aż 7 z 15 sędziów uznało, że w grudniu skończyła się kadencja Przyłębskiej na fotelu szefowej TK. Powiedzmy to sobie wprost, niemal połowa sędziów Trybunału pochodzących z nadania prezesa się po prostu na prezesa wypięła.

Z jednej strony Przyłębska ma wciąż większość. Ale z drugiej nie jest w stanie prowadzić kluczowych spraw, do których potrzeba składu 11 sędziów. A buntownicy zwolywane przez nią rozprawy lekceważą. Jeśli Kaczyński

szybko nie opanuje sytuacji, to Trybunał stanie się pierwszym dowodem na to, że prezes traci kontrolę nad systemem, który sam zbudował – siecią instytucji oplecionych ludźmi PiS, związanych partyjną lojalnością i podporządkowanych jemu osobiście. Bez kontroli nad Trybunałem Kaczyński nie może już decydować, co jest zgodne z konstytucją, a co nie – co jest fundamentem tego systemu. A to znaczy, że bez kontroli nad Trybunałem cały system Kaczyńskiego prędzej czy później się zawali. Właśnie dlatego obolały prezes udziela nagłego wywiadu o Przyłębskiej, a nie o Tusku czy Konfederacji.

Chyba nikt ze współpracowników nie powiedział Kaczyńskiemu, że tym wywiadem tylko się pograża. Pokazuje, że zbuntowani sędziowie całkowicie go ignorują, dlatego musi do nich mówić przez rządową agencję prasową. Składa w ten sposób nawet konkretną ofertę przekupstwa, absolutnie w tym stylu prezesa, do którego nas przyzwyczaili od 2015 r. Mówi tak: „To są wyłącznie kwestie związane z ambicjami niektórych osób, którym się bardzo spieszy. Oczywiście mogą być kandydatami na prezesa, ale wtedy,

Skąd te nerwy? Bo prezesa boli. Utrata władzy go boli. I stąd ten naturalny odruch obolałego pacjenta – pohukiwanie

kiedy minie kadencja pani prezes Julii Przyłębskiej, a to będzie w grudniu przyszłego roku”.

To jednoznaczny sygnał wobec byłego prokuratora krajowego Bogdana Święczkowskiego, człowieka Ziobry, który jest w TK od ponad roku. Święczkowski jest jednym z liderów buntu przeciw Przyłębskiej, którą chce wysadzić z fotela, by zająć jej miejsce.

Sytuacja w Trybunale robi się dla Kaczyńskiego o tyle niebezpieczna, że przez bunt sędziów opóźnia się wypłata unijnych pieniędzy z Krajowego Planu Odbudowy. Chodzi o to, że uzgodniona z Brukselą ustawa o Sądzie Najwyższym, która cofa sądowe fikołki Ziobry, nie spodobała się prezydentowi Andrzejowi Dudzie, który wysłał ją właśnie do Trybunału. Kaczyński naciska na szybką rozprawę i klepnięcie ustawy. Na razie jest to niemożliwe właśnie dlatego, że do przeprowadzenia rozprawy potrzebna jest jedenastka sędziów. Z bólem serca trzeba przyznać, że prezes stracił kontrolę nad Trybunałem. Dziś nie jest nawet w stanie wydzwonić zbuntowanych sędziów i nakazać im posłuszeństwo, bo go zwyczajnie nie słuchają.

Cóż za upadek Wszechmocnego Prezesa. **N**



DLACZEGO KONFEDERACJI ROŚNIE POPARCIE

MŁODY POLAK UCIEKA W PRAWO

FOT. JOANNA SKŁADANEK/FORUM

Nie oddaliby głosu na Kaczyńskiego, bo to partia dziadków. Konfederacja jest do przyjęcia, bo to dla nich „PiS light” – politolog i socjolog **PROF. RADOSŁAW MARZEŃKI** tłumaczy, jak ugrupowanie Mentzena, Korwina i Brauna stało się nadzieją młodych mężczyzn

ROZMAWIA MAŁGORZATA ŚWIĘCHOWICZ

PROF. RADOSŁAW MARZEŃKI: Często słyszę: „Nie zazdroszczę młodym kobietom”.

NEWSWEEK: One po lewej stronie, rówieśnicy po prawej. Robert Biedroń podpowiada, żeby mówiły: „Głosujesz na Konfederację, nie idę z tobą do łóżka”. Tylko czy w ogóle będzie okazja coś do siebie powiedzieć? O czym ma rozmawiać kobieta, która brała udział w czarnych protestach, z mężczyzną, który maszeruje z narodowcami?

– Stoją na dwóch biegunach. To pokolenie rozwarstwione, spolaryzowane. Kobiety są wyraźnie na lewo w kwestii rozdziału państwa od Kościoła, aborcji, in vitro, związków partnerskich. Gdy niedawno robiłem badanie wśród studiujących, największe różnice między kobietami a mężczyznami były w takich kwestiach jak definicja małżeństwa, rola kobiet w polityce, używanie feminatywów. Kobietom zależy na artykułowaniu własnej niezależności i podmiotowości. W wielu kwestiach – społecznych, kulturowych i gospodarczych – są bardziej progresywne. Oczywiście nie wszyscy mężczyźni są zachowawczy i konserwatywni, jednak prawdopodobieństwo, że młoda kobieta, która ma orientację lewicową, spotka młodego mężczyznę, który myśli podobnie jak ona, jest mniejsze niż to, że spotka zwolennika prawicy.

I to skrajnej. Z sondażu Ipsos dla OKO.press i TOK FM wynika, że wśród mężczyzn w wieku 18-39 lat aż 37 proc. popiera Konfederację.

– Wszystkich szokuje tak wysokie poparcie wśród młodych mężczyzn, a przecież Konfederacja zawsze bazowała właśnie na nich. Gdy spojrzeć na strukturę jej wyborców, to aż połowę stanowią osoby do 30. roku życia. Gdy zapytałem moich studentów, dlaczego popierają Konfederację, jedni podkreślali, że pociąga ich styl narracji Sławomira Mentzena – obserwują go na TikToku, słuchają tego, co mówi na tematy ekonomiczne. Inni tłumaczyli, że mimo konserwatywnych poglądów nie oddaliby głosu na PiS, bo to – jak twierdzą – partia dobra dla ich rodziców i dziadków, nie dla nich. Natomiast

Konwencja polityczna Konfederacji w Warszawie. Na spotkanie zaproszono do pierwszych rządów kobiety, by zmienić wizerunek Konfederacji jako ugrupowania wyłącznie dla mężczyzn. Na zdjęciu przemawia Sławomir Mentzen, luty 2023 r.



Konfederacja jest do przyjęcia, mówią, że to PiS dla młodych, „PiS light”.

Light? Co oni wiedzą o Konfederacji?

– Wyborca często – może nawet częściej, niż nam się wydaje – myśli tak, jak mu dyktuje własny interes. W strukturze elektoratu tego ugrupowania – poza uczniami i studentami – jest wielu przedsiębiorców, kadra kierownicza, są specjaliści, technicy, robotnicy wykwalifikowani, często pracujący na własny rachunek. Część wcześniej popierała PiS, część Platformę, ale widząc, że te partie ściągają się na obietnice socjalne i zapowiadają transfery do kolejnych grup, nie oferując nic takim jak oni, w geście rozczarowania czy złości mogą zmieniać preferencje wyborcze. Elektorat liberalnoekonomiczny ma prawo czuć się rozczarowany, nie chce finansować kolejnych kosztownych projektów socjalnych. Wybiera ugrupowanie, które obiecuje stanąć po stronie przedsiębiorczych, mówi, że zadba o ich interes. Konfederacja składa im dość prostą ofertę: znieśliśmy transfery socjalne, obniżymy podatki. Gdy Mentzen mówi, żeby zamiast 500+ radykalnie podnieść wysokość ulg podatkowych dla osób z dziećmi, to im się podoba. Uważają tę ofertę za wartą przedyskutowania.

Wcześniej nie mówił o obniżeniu podatków, tylko o likwidacji.

– Tradycyjnie na początku każdego roku na Twitterze życzy wszystkim likwidacji PIT, CIT, VAT, ZUS, PiS, PO i TVP.

Na TikToku dowodził, że lepiej wydawać na tanie piwo, niż płacić składki do ZUS – można później sprzedać puste butelki po 35 groszy za jedną i coś z tego mieć. Albo z pustych butelek ułożyć piramidę, co będzie przyjemniejsze niż uczestniczenie w piramidzie finansowej organizowanej przez ZUS. Ponadto został przyłapany na manipulowaniu wskaźnikami, więc może nie jest tak dobrym ekonomistą, za jakiego chce uchodzić?

– To, że dopuścił się manipulacji, coś przekreślił – z punktu widzenia tych, którzy go obserwują na TikToku – nie ma wielkiego znaczenia. Dla nich ważniejsze jest to, że w końcu ktoś mówi ich językiem i do nich. Młodzi orientują się na tych, którzy się nimi interesują w jakikolwiek sposób. Dotąd czuli się ignorowani. Mają zarzut wobec rządzących i w ogóle dużych partii, bo proponują politykę w zasadzie ageistowską, dyskryminującą ze względu na wiek. To – ich zdaniem – polityka stawiająca w centrum starszych. Ciągłe słyśzą o trzynastych, czternastych emeryturach, a o sobie nic. Po drugiej stronie, w stylu Mentzena, a dodatkowo regularnie, nikt z nimi nie dyskutuje. Nie chodzi o to, że wsparcie socjalne jest zasadniczo złe, ale o to, że porzucono myślenie o polityce w perspektywie interesu przyszłych pokoleń. Wyobraźmy sobie Polskę

DO KONFEDERACJI PRZECHODZĄ NIE TYLKO CI, KTÓRYM DOTĄD BYŁO BLIŻEJ DO PIS, ALE TEŻ WYBORCY KOALICJI OBYWATELSKIEJ, A JESZCZE BARDZIEJ POLSKI 2050, ROZCZAROWANI, ŻE TE PARTIE NIE UJMĄ SIĘ ZA TAKIMI JAK ONI

PROF. RADOSŁAW MARŻĘCKI



że partie, na które dotąd stawiali, nie ujmują się za takimi jak oni. Nie stają dość wyraźnie po stronie młodych, ignorują klasę średnią, za to kolejnym grupom składają kolejne propozycje socjalne. I nawet gdy politycy opozycji rozmawiają z młodymi, bo oni przychodzą na ich spotkania, to na ogół nie mają im do zaproponowania nic szczególnego. Młodzi już to wszystko, co ich czeka, znają: drogie mieszkania, niestabilny rynek pracy, umowy czasowe. Nie odbierają żadnego sygnału, który byłby dla nich dowodem, że coś się zmieni. Koalicja Obywatelska i wszystkie partie po antypisowskiej stronie nie są w oczach znacznej części młodych wiarygodną obietnicą na lepsze. To rosnące rozczarowanie długo nie przekładało się na odpływ wyborców, ponieważ nie mieli dokąd odpłynąć. Konfederacja – nawet osobom o konserwatywnych poglądach – wydawała się formacją zbyt skrajną, ale gdy taktycznie schowała najbardziej kontrowersyjne osoby i treści, stała się opcją do zaakceptowania, naturalną drogą ucieczki.

Ideologicznie jest na prawo od PiS, za nią już tylko ściana. A jednak jakoś udało jej się wcisnąć między PiS a opozycję. I ściąga teraz do siebie, jak magnes, młodych mężczyzn?

– Próbuje przyciągnąć także kobiety. Liderzy robią wszystko, by zmienić wizerunek Konfederacji jako ugrupowania wyłącznie dla mężczyzn. Używają różnych sposobów i zachęt. Kobiety zaczęły

za 20-30 lat, przewidując wszystkie najbardziej oczywiste ryzyka, które w tym czasie się pojawiają, i spróbujemy uczciwie im przeciwdziałać dzisiaj. Byłby to wyraz pewnej solidarności międzypokoleniowej. Myśląc tylko o tu i teraz, zaciągamy ogromne długi, nie tylko finansowe, których spłatą obarczamy przyszłe pokolenia.

I tu nagle Nowa Nadzieja Mentzena?

Jak z czwartej części „Gwiazdnych wojen”.

Młody Luke Skywalker pomaga

Rebeliantom obalić Imperium.

– Taka kalka może śmieszyć, ale przemawia do młodych. Myślę, że to dobrze przeemyślana nazwa i pod względem struktury elektoratu Konfederacji, i pomysłów na to, jak go poszerzać, krok po kroku. Gdy wchodzi się na stronę internetową Konfederacji, od razu rzuca się w oczy hasło: „Jedyny antysystemowy wybór spoza układu okrągłego stołu (PiS, PO, SLD, PSL)”. Wpisują się w nurt antyestablishmentowy, a równocześnie chcą uchodzić za ugrupowanie merytoryczne, więc teraz wypowiedzi są tonowane. Wyłączyli kontrowersyjne treści, schowali kontrowersyjne osoby – zniknęli Grzegorz Braun, Janusz Korwin-Mikke. I to dało efekt: od jesieni ugrupowanie notuje stały wzrost poparcia. Do Konfederacji przechodzą nie tylko ci, którym dotąd było bliżej do PiS, ale też wyborcy Koalicji Obywatelskiej, a jeszcze bardziej Polski 2050. Rozczarowani tym,

się pojawiać w przekazach marketingowych i reklamach Konfederacji, choć te zachęty stoją w sprzeczności z tym, co ugrupowanie ma do zaproponowania kobietom.

Za aborcję od roku do 10 lat więzienia. Zakaz przerywania ciąży nawet wtedy, gdy jest skutkiem gwałtu, bo – jak mówi Mentzen – gwałt „to jest megalofajna rzecz, ale nie można zabijać niewinnych ludzi”. Ci, których Konfederacja tak w ostatnim czasie zauroczyła, zdają sobie sprawę z tego, za czym się opowiadają? To nie tylko koniec transferów socjalnych do emerytów, ale też: „nie chcemy Żydów, gejów, aborcji, podatków i UE.”

– Przeciętny wyborca ma krótką pamięć, więc część, nawet jeżeli wcześniej słyszała te hasła, to zapomniała. Część uzna: interesują mnie tylko niskie podatki, a reszta to już nie moja sprawa. Teraz mamy to, co w socjologii nazywamy sondażowym efektem rozpędu: z sondaży na sondaż Konfederacja ma coraz wyższe poparcie. W tym momencie nie są to jeszcze duże wzrosty, średnio 2 punkty procentowe, ale mogą być początkiem tendencji. Jak działa efekt rozpędu, widzieliśmy już w 2011 roku, gdy ugrupowanie Palikota w ciągu dwóch miesięcy z poparciem sięgającym zaledwie 3 proc. skoczyło na 10. Ludzie, widząc rosnące słupki poparcia, nabierali przekonania, że warto się przyłączyć: skoro

już tyle osób zaufało, to i ja zaufam. Z Konfederacją dzieje się teraz to, co działo się z Palikotem, później Kukizem, także Nowoczesną, a w 2020 roku, w wyborach prezydenckich, z Szymonem Hołownią. Jednak Hołownia dość szybko zaprzepaścił swój antyestablishmentowy potencjał, zaczął zachowywać się jak polityk – tu wyłamał się z jakiegoś uzgodnienia, tam kluczył. Poza tym utracił już efekt nowości, opatrzył się.

A Konfederacja nie? Naprawdę wystarczyło taktycznie schować najbardziej kontrowersyjne twarze i poglądy, żeby wyglądać na nową ofertę?

– To się teraz okaże. Mentzen, który przewodzi Nowej Nadziei i stał się twarzą Konfederacji, zyskał popularność dalece większą niż ta, którą miał dotąd, pokazując się na TikToku. Wzbudza ciekawość mainstreamowych mediów, pokazują go duże stacje telewizyjne i portale. To z jednej strony może wzmacniać sondażowy efekt rozpędu, ale z drugiej Mentzen musi mierzyć się z pytaniami dziennikarzy. I od tego, jak sobie z nimi poradzi, zależy, jak Konfederacja będzie postrzegana. Gdy dziennikarze cytują to, co jeszcze niedawno głosili liderzy Konfederacji, Mentzen narzeka, że to uprawianie archeologii, grzebanie w prehistorii. Tymczasem wystarczy przecież spojrzeć, kto tworzy Konfederację: poza Nową Nadzieją Mentzena są tam i Grzegorz Braun, i Ruch

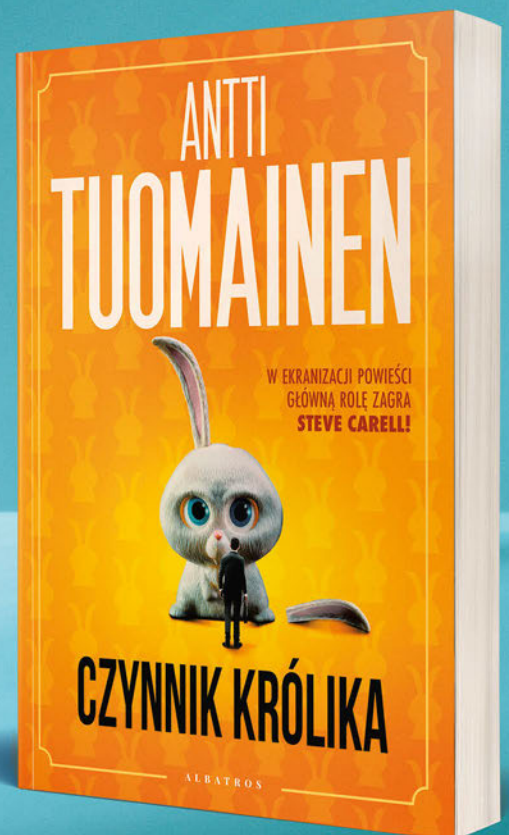
REKLAMA

NAJZABAWNIEJSZA KOMEDIA KRYMINALNA TEJ WIOSNY!

TYLKO JEDEN ARKUSZ KALKULACYJNY DZIELI NAS OD CHAOSU...



Starannie uporządkowane życie matematyka staje na głowie, gdy niespodziewanie traci pracę i dostaje kłopotliwy spadek.



Narodowy. A jak wejdziemy na stronę Ruchu Narodowego, widzimy hasło: polexit. Doprowadzenie do wyjścia Polski z Unii zostało zapisane w dokumencie programowym z roku 2019. Skoro dokument wciąż wisi, to jak rozumiem, obowiązuje. Wisi też dokument z 2016, w którym proponują „przywrócenie dyscypliny w szkole”, włącznie z możliwością ukarania ucznia nakazem pozostawania po lekcjach, pracami społecznymi, nakładaniem kar finansowych, a nawet wydaniem wilczego biletu na bezpłatną edukację wyższą.

Nauczyciele mieliby kończyć kursy z zakresu pedagogiki chrześcijańskiej. A z innych założeń jest tam: zakaz finansowania „gender”, powołanie szkoły kadr politycznych, militaryzacja, przywrócenie kary śmierci. Młodzi mężczyźni tego chcą? Czy nie wiedzą, co zamierzają?

– Konfederacja ma elektorat hybrydowy – z jednej strony narodowy, z drugiej liberalny. To było widać już w czasie wyborów prezydenckich w 2020 roku – ci, którzy w pierwszej turze byli za Krzysztofem Bosakiem, w drugiej podzielili się na pół – część liberalna zagłosowała na Rafała Trzaskowskiego, a narodowa na Andrzeja Dudę. Zobaczymy, co będzie teraz: najpierw Konfederacja, próbując zmodyfikować przekaz, wyeksponowała elementy liberalne, a schowała skrajnie prawicowe i zyskała dobry wynik. Tak dobry, że wszyscy zaczęli się jej przyglądać, wyciągać na światło dzienne faktyczne poglądy i propozycje programowe. Najbliższe tygodnie pokażą, jak to się skończy. Na razie jest wciąż jeszcze pompowanie tego balonika.

Nawet jak pięknie, to Konfederacja przecież nie zniknie.

– Duża część zwolenników to osoby o silnie konserwatywnych poglądach, uprzedzone, zamknięte, nietolerancyjne wobec mniejszości. I one nagle się nie zmieniają, nie będą szukać innego ugrupowania.

Dlaczego młodzi mężczyźni tak trzymają się prawej strony, podczas gdy kobiety są na lewej?

– Wpływa na to wiele czynników, ale także rodzina. Starsze pokolenie jest bardziej konserwatywne niż młodsze, mężczyźni bardziej niż kobiety, ojcowie mają większy wpływ na poglądy polityczne synów niż córek, natomiast córki częściej również wpływają na poglądy swoich matek. Nie bez znaczenia może być to, że chłopcy dojrzewają emocjonalnie i społecznie trochę wolniej niż dziewczynki, później się usamodzielniają. W Polsce mężczyźni opuszczają dom rodzinny, mając 30 lat. Kobiety średnio o 2,5 roku wcześniej. W krajach skandynawskich nie dość, że to się odbywa dużo szybciej, to jeszcze różnice między kobietami a mężczyznami sięgają tylko jednego roku. To, że mężczyźni tak długo żyją z rodzicami, daje do myślenia i być może także przekłada się na poglądy polityczne.

Dużo jest uzalania się nad mężczyznami, że wyobcowani, samotni, niepewni, żyją w lęku przed światem.

A przecież ten świat zorganizowali im mężczyźni.

– Politycy starszego pokolenia mają swoje wizje polityki edukacyjnej, mieszkaniowej, zdrowotnej, podatkowej. Młodzi ludzie, przynajmniej przez ostatnie 30 lat, byli na marginesie debat politycznych i programów. Niewielu ich było w strukturach partyjnych czy parlamentarnych. I teraz widzimy efekt.

Młode kobiety dopuszcza się do głosu jeszcze rządziej.

– Być może lepiej sobie radzą z marginalizowaniem, a równocześnie oczekiwaniemi otoczenia, presją kulturową. Mężczyźni – jeżeli nie uda im się odnieść sukcesu ekonomicznego, szybko zdobyć dobrej pracy, kupić samochodu, mieszkania – czują się przegrani. To ciekawe, że młodzi mężczyźni częściej niż kobiety twierdzą, że warunkiem udanego związku są posiadanie mieszkania i dobre zarobki. Jest oczekiwanie, że odniosą sukces, w taki sposób są wychowywani. Im trudniejsze są warunki, tym trudniej im zrealizować to, czego wszyscy się po nich spodziewają i tym większe poczucie porażki. Na prawicy, obok narracji ekonomicznej, która wydaje im się kusząca, jest jeszcze ta ideologiczna, nierównościowa, ale właśnie przez to dająca im poczucie, że są rozgrywanymi, chcą sympatyzować z tą wizją świata, która przedstawia ich jako ważnych, dominujących, mających wpływ, mogących decydować. Poza tym choć dużo się mówi o zmianie tradycyjnych ról, to trudno nagle wykasować kody kulturowe i wszystko napisać od nowa. Kiedyś ze studentami analizowaliśmy role społeczne kobiet i mężczyzn w kreskówkach dla dzieci – nawet tam mężczyźni odgrywają

ważne role, a kobiety są w tle. W reklamach podobnie: mężczyźni są ekspertami, kobiety tymi, które gotują obiad i czekają, aż mąż i dzieci powiedzą, że im smakowało. I choć dzięki buntowi kobiet jesteśmy bliżej równości płci niż 10 czy 20 lat temu, to wciąż jednak żyjemy w kulturze patriarchalnej. I nagle wszyscy się z niej nie wyrwą. Może zamiast utyskiwać na to, że Konfederacja powiększa elektorat, inne partie powinny się zastanowić, co robią nie tak? Jest wśród młodych osób duża grupa niezdecydowanych, niepewnych, do których nigdy nie dotarła poważna oferta polityczna, z którymi nikt nie rozmawia. Warto zacząć, zanim relacje z nimi zbuduje Konfederacja. **N**

malgorzata.swiechowicz@newsweek.pl

DR HAB. RADOSŁAW MARZĘCKI JEST PROFESOREM UNIwersytetu PEDAGOGICZNEGO W KRAKOWIE, POLITOLOGEM I SOCJOLOGIEM. PROWADZI BADANIA NAD POSTAWAMI POLITYCZNYMI MŁODYCH LUDZI. AUTOR KSIĄŻKI „PIERWSZE POKOLENIA WOLNOŚCI”



**JEST WŚRÓD MŁODYCH
DUŻA GRUPA
NIEZDECYDOWANYCH,
DO KTÓRYCH NIGDY NIE
DOTARŁA POWAŻNA
OFERTA POLITYCZNA,
Z KTÓRYMI NIKT NIE
ROZMAWIA. WARTO
ZACZĄĆ, ZANIM RELACJE
Z NIMI ZBUDUJE
KONFEDERACJA**

ZA GROSZ KULTURY

Dominika Olszyna

Mój tata to Logan



Powiedział Logan Roy w czwartym sezonie serialu „Sukcesja” do swoich dzieci. Postać grana przez Briana Coxa jest analizowana i komentowana od kilku lat. Emocje wzbudzają nie tylko jego sposoby zarządzania firmą, ale i metody wychowawcze. Prawdopodobnie postać Logana wzorowana jest na Rupercie Murdochu, biznesmenie, który stworzył medialne imperium w dużej mierze oparte na tabloidach. I choć mało kto na świecie ma taki majątek, takich ojców jest znacznie więcej.

Oglądając serial, lubię po każdym nowym odcinku szukać reakcji w sieci. Jednym z takich miejsc jest serwis Reddit, gdzie każdy może założyć wątek do dyskusji. Jest tam wątek dotyczący „Sukcesji” zatytułowany „Mój tata to w zasadzie Logan Roy z mniejszym kapitałem”. Pod nim wiele podobnych refleksji na temat figury ojca, który jak Logan jest dla nas dorosłych wyzwaniem. Nie tylko na poziomie rodzinnej codzienności, ale także psychologicznym. Bo jakkolwiek by na to spojrzeć, to ojciec jak z koszmaru, który zapewni ci wikt i opierunek, ale zniszczy całą resztę.

Zacznijmy jednak od początku. Gdybym miała najkrócej streścić, o czym jest serial „Sukcesja”, zaczęłabym od tego, że to historia wpływowej i bogatej rodziny. Na jej czele stoi ojciec, który ogromnego majątku w mediach dorobił się ciężką pracą. W tle są fuzje, machlojki, ale także skandale związane z prowadzonym biznesem. Ojciec się starzeje, więc trzeba wyłonić osobę, która stanie na czele imperium. Sytuacja jest trudna, bo o fotelu marzy czwórka dzieci Logana. Connor, Kendall, Roman, Siobhan niby walczą o władzę i wpływy, ale przede wszystkim biorą udział w konkursie, kogo tatuś bardziej kocha. To, że ta rodzina żywi się dysfunkcjonalnymi schematami, złapiemy już w pierwszym odcinku. Kolejnym ważnym bohaterem są media, który wkroczyły w gigantyczny kryzys. Tradycyjnie nie zawsze potrafią odnaleźć się w nowej rzeczywistości, nowe dzisiaj trudno stworzyć. W erze „wizjonerów”, którzy tworzą start-upy, Logan to człowiek, który wszystko załatwił pod stołem, łapówkami i politycznymi wpływami. Swoje dzieci wychował w dobrobycie, pokazując im ciągle marchewkę, którą mogą dostać, czyli władzę. Niestety, ku jego utra-

pieniu oni sami nie potrafią nic osiągnąć. Pomimo dobrych szkół, znajomości czy zawodowych prób nie widać efektów ich działań. Nie potrafią także odnaleźć się w życiu prywatnym.

Serial często promują zdjęcia pokazujące całą rodzinę przy stole. To moment, gdy Logan chce mieć wszystkich obok siebie. A oni przy bogato zastawionym stole uprawiają rodzinny hazard. Zawsze ktoś zostanie wyśmiany lub upokorzony. Nigdy nie padną miłe słowa, jest wyczuwalne napięcie. I wieczne poczucie, że nie jesteśmy wystarczająco dobrzy. Mnie wtedy ściska w gardle. Takie sceny rozgrywają się także w prawdziwych domach.

Spełnianie oczekiwań rodziców to jedna z największych bolączek współczesnego świata. Odczuwa je każde pokolenie bez względu na kontekst historyczny czy społeczny. Ten temat łączy nowoczesne społeczeństwa z tymi tradycyjnymi. Patriarchalny porządek świata ustawił ojca jako tego, który utrzymuje, ale wymaga. Nagradza i karze, ale nie rozmawia np. o miłości. Nie chwali, wygłasza tyrady i stawia kolejne poprzeczki. Nie wysłucha, ale

Logan Roy to ojciec jak z koszmaru, który zapewni ci wikt i opierunek, ale zniszczy całą resztę

z problemem, którego nie da się rozwiązać pragmatyczną radą, wyśle „do matki”. Logan Roy oczywiście nie jest standardowym ojcem, ale wpisuje się w schemat. Rozdaje karty w swojej tradycyjnej rodzinie. Taki typ ojca odrzuciliśmy kilka lat temu. Ale teraz patrzymy na to łagodniej, bo wiemy, że jego też nikt nie nauczył. Nie podrzucił książek Jespera Juula o wychowywaniu dzieci. Nie okazywał mu uczuć. Nie rozmawiał. Jak pokazują najnowsze badania, taka figura zaczyna wzbudzać szacunek, a nie tylko niechęć. Kojarzy się ze stabilnością. W końcu to ten, który potrafił zapewnić np. stabilizację finansową. W czasach kryzysu i inflacji ktoś taki jest na wagę złota. I choć nie wesprze psychicznie, to zapewni komfort na innym poziomie. Aby znaleźć to pierwsze, już wiemy, że mamy u specjalistów wygodne kozetki. **N**

Dominika Olszyna jest redaktorką naczelną Onet Lifestyle i Onet Kultura

SZAMBO WULGARYZMÓW

Przecież tak się tylko mówi

Ile razy młody człowiek może bez szwanku na emocjach usłyszeć od kogoś: „Zamknij pi..ę”? Albo że jest „je...ą ku..ą?”

TEKST ALEKSANDRA PEZDA ILUSTRACJA MICHAŁ DZIEKAN

Tuż po lekcjach przed podstawówką obok mojego bloku stanęło kilka uczennic. Siódma lub ósma klasa. Długie blond włosy, delikatny makijaż, niekrzykliwy strój. Aniołeczki. Nagle jedna krzyknęła na cały głos do oddalającej się koleżanki: „Hej, Ewka! Zrobię ci loda!”. Druga: „No, chodź tu, pizdo niewyruchana!”, a trze-

cia dorzuciła: „Wyruchamy ciebie i twoją matkę!”. I wszystkie głośno się z tego śmiały.

9 LAT, TRZECIA KLASA:
„ŻEBYŚ ZDECHŁ!”

BARBARA, MAMA TRZECIOKLASISTKI ZE ŚLĄSKA: – Córka zaprzyjaźniła się ze starszymi o rok dziewczynkami z bloku. Spędzały razem sporo czasu po lekcjach.





Jęździły rowerami, tańczyły razem, nagrywały filmiki, jak to dzieci. Chciały te filmiki publikować w sieci, córka prosiła, żebym jej pozwoliła uruchomić konto na YouTube lub TikToku, ale uznałam, że to stanowczo za wcześnie. Przyjeżdżał do nich rowerem kolega. Raz się pokłócili i on którąś z dziewcząt niegroźnie pchnął. Zwykła sprzeczka między dziećmi. Następnego dnia zupełnie przez przypadek usłyszałam, jak dziewczynki temu chłopcu chcą coś wysłać na WhatsApp. Zapytałam, o co chodzi. I córka puściła mi to nagranie. Mówiły m.in.: „Życzymy ci, żebyś zdechł”, „żryj trawę od spodu”, „będziesz gnił, a my się będziemy śmiały”. Musiałam wyjść z domu, żeby się uspokoić. Po powrocie rozmawiałymy. Córka powiedziała, że to w sumie jej koleżanki zrobiły, ona się tylko przyglądała, ale nie widziała w tym nagraniu nic złego. Zapytałam, czy pomyślała, jak się będzie czuł ten chłopiec. Odpowiedziała: „Przecież tak się tylko mówi”.

WYSTAWIENI, ZNIECZULENI

DLACZEGO DZIECI UŻYWAJĄ TAK BRUTALNEGO JĘZYKA? Pytam pedagoga Jacka Pyżalskiego, profesora na Wydziale Studiów Edukacyjnych UAM w Poznaniu, który specjalizuje się w profilaktyce przemocy rówieśniczej.

– Nie można języka dzieci i młodzieży analizować w oderwaniu od języka, jakim mówią dorośli – przestrzega Pyżalski. – Przecież politycy od lat nie mówią już dyplomatycznie. Taki język, jakiego dzisiaj używają, dwadzieścia lat temu wywołałby skandal i pozbawił ich stanowisk. Dziś jest normą, a nawet w każdej partii politycznej są aktywiści przypisani do ostrzejszych wypowiedzi. Mamy też popkulturę z reality show, najczęściej opartych na wulgarnych zachowaniach. Dawniej to się nie mieściło w głowie ani w programach telewizyjnym, dziś jest najchętniej oglądane.

Do tego internet, gdzie młodzi ludzie spotykają się z treściami o bardzo różnym charakterze: np. z celowo dezinformującymi albo z wulgaryzmami. No i w tych warunkach my, „kulturalni” do-

rośli, zastanawiamy się, co z tymi dziećmi jest nie tak – mówi prof. Pyżalski.

Non stop wystawione na wulgarne, brutalne treści dzieci najpierw je chłoną i przyswajają dla swoich potrzeb. W końcu się na nie znieczulają. Nie w taki sposób, że przestają to postrzegać jako atrakcję, ale coraz łatwiej jest im kogoś zranić, łatwiej zadać ból, wyśmiać albo – w końcu – prześladować.

– Powinniśmy to uznać za normę?

– Słaba ta norma. Namawiałbym raczej do pracy nad tym, żeby pokazać dzieciom inne wzorce – mówi prof. Pyżalski. Dziewięciolatek nie do końca zdaje sobie sprawę z tego, jaka jest waga słów, po które sięgnął. – W internecie młodzi ludzie są w sytuacji podobnej jak bohaterowie słynnej powieści „Władca much”, którzy na wyspie zostali odcięci od normatywnej kontroli. Młodzież w internecie komunikuje się głównie w zamkniętych grupach, do których dorośli nie mają dostępu. Nie ma więc nikogo, kto by ostrzegł dzieci przed przekroczeniem normy i wskazał lepszy wzorzec – mówi prof. Pyżalski.

10 LAT, CZWARTA KLASA:

„NO I GÓWNO, ŚMIECIU!”

KAROLINA, WYCHOWAWCZYNI CZWARTEJ KLASY PODSTAWÓWKI w małej miejscowości nieopodal Warszawy, pokazuje mi screeny konwersacji uczniów z Instagrama.

10-letnie dzieci pokłóciły się o zadanie domowe. Dyskusję zakończyły tak:

On: Zamknij pizdę!

Ona: Ssij kulę!

On: Zaraz ci wyjębię!

Ona: No i gówno, śmieciu!

– Od września rozmawiam z nimi o szacunku, empatii i trosce o drugiego człowieka. Staram się zbudować w klasie współpracę. Żadnego, nawet drobnego przejawu nie pozostawiam bez reakcji. A oni i tak sobie cisną na komunikatorach! – mówi przerażona nauczycielka. Jej czwartoklasiści, kiedy chcą obrazić rówieśników, mówią np.: „Mieszkasz pod mostem” albo „Twój ojciec to gej”.

– Pytam ich, czy tata kolegi sobie na to zasłużył. Czy wiesz, co to znaczy gej? Nie przyjmują do wiadomości. Zapyta-

łam w końcu, dlaczego się tak źle do siebie odnoszą.

– Przecież to jest normalne! – odpowiedzieli.

– A chcielibyście, żebym ja tak do was mówiła?

– No, nie...

Karolina wysłała rodzicom w Librusie fragment przepisów o demoralizacji – można za to dostać kuratora, starsze dzieci mogą trafić nawet do poprawczaka. A jednym z przejawów demoralizacji jest wulgarne słownictwo. Po tym liście na chwilę przycichło.

WYLUZOWANI I AGRESYWNI

– POPKULTURA JEST TAK SPORNOGRAFIZOWANA, że już do mainstreamu przedostały się stamtąd sformułowania i są sprzedawane jako norma. Używanie ich ma być wyrazem wolności, świadczyć o tym, że wypowiadający te słowa jest cool, wyluzowany – mówi Małgorzata Michel, profesor pedagogiki na Uniwersytecie Jagiellońskim, specjalistka od resocjalizacji, która pracuje z dziećmi ze środowisk defaworyzowanych. Problem polega na tym, że dla coraz młodszych dzieci, już w wieku 9-11 lat, język wulgarny stał się językiem codziennej komunikacji. A kiedy używają tego języka świadomie, problem tylko narasta. – To język pełen pogardy dla drugiego człowieka. Odhumanizowany i agresywny. Nie pozostanie bez wpływu na rozwój osobowości i relacje tych dzieci – mówi Michel. – My to sobie lekceważymy, mówimy: ach, to dzieci, one z tego wyrosną. Nie zdajemy sobie sprawy, jak ogromne szkody to może przynieść. Ile razy młody człowiek może bez szwanku na emocjach usłyszeć od kogoś: „Zamknij pizdę”? Albo że jest „jebaną kurwą?”. Zaraz zacnie uprawiać seks i na to się nałoży cały ten szlam, całe to szambo wulgaryzmów.

A MOŻE NIE REAGOWAĆ?

JEST TAKI ETAP ROZWOJOWY – W WIEKU 3-5 LAT – KIEDY DZIECKO ZACZYNA UŻYWAĆ SŁÓW związanych z wydalaniem lub organami płciowymi. Chętnie rysuje kupę, upaja się takimi słowami jak „dupa” czy „pierdy”. Z przedszkola przy-

nosi nowinki typu „siusiak” i tym się ekscytuje. Na tym etapie rzeczywiście lepiej odwrócić uwagę dziecka i nie reagować. Inaczej będzie się coraz bardziej domagało naszej uwagi i używało tych słów celowo. Ten etap powinien minąć około szóstego roku życia. Co innego jednak starsze dzieci

– Jeżeli nastolatka grozi koledze, że go zajebie, to musimy jednak przyjąć, że naprawdę chciały mu coś zrobić. W takim wypadku powinniśmy reagować – mówi prof. Michel.

Gordon Allport, amerykański socjolog, który wyjaśniał, jak powstawały i działały XX-wieczne totalitaryzmy: nazizm, faszyzm i komunizm oraz jaki mechanizm doprowadził do ludobójstwa, u podstawy swojej słynnej piramidy nienawiści umieścił język.

– Język nienawiści ma źródło w tym, jak myślimy o innych ludziach. Jeśli uważamy, że są gorsi, używamy wobec nich pełnego wulgaryzmów języka. Często określenia neutralne przejmują tę funkcję. Dlaczego obrażamy innych określeniami neutralnymi typu: gej albo baba? – robimy to wtedy, gdy uważamy, że gej czy baba to gorszy rodzaj człowieka. Jak nazywamy mężczyznę, któremu chcemy okazać pogardę? Ciota, pedał, gej. Mówimy: „Mażesz się jak baba”. Albo: „Kopiesz piłkę jak pizda”. Poniżamy, bo kobiecość traktujemy jak coś gorszego. Dlatego „ty szmato” jest tak bardzo obraźliwe. A teraz tego uczą się dzieci od siebie nawzajem – przypomina prof. Michel. – Widzimy, że to idzie jak domino – w ostatnich sytuacjach na polskich ulicach dochodzi do samosądów w wykonaniu nastolatków. Chłopiec w Zamościu zginał, młoda dziewczyna się temu tylko przyglądała. To się nie bierze z niczego.

12 LAT, PIĄTA KLASA: „WYLIŻ MI!”

JULITA, SZKOLNA PSYCHOLOG W DUŻYM MIEŚCIE NA PÓŁNOCY POLSKI, przyjmuje w gabinecie zrozpaczonych rodziców czwartoklasistki. Dziewczynka jest drobnutka, ma jeszcze dziecięcy głosik, wydaje się delikatna. Bardzo elokwentna, ma duży zasób słownictwa, w szkole radzi sobie świetnie, a według nauczycielskich kategorii jest grzeczna.

W domu stawia się na edukację, ale bez wygórowanych oczekiwań – przeciętna, inteligentna rodzina, żadnych zaniedbań, zero patologii. Tylko że w notesie tej dziewczynki matka odkryła niedawno dziwne opowiadanie.

Fabula została oparta na motywie porwania. Dziewczynka opisała precyzyjnie, jak wraz z koleżanką uprowadzają kolegów z klasy. Wiążą ich łańcuchami, u nóg i rąk, w pustym pokoju. Następnie zrywają z nich po kolei ubrania wierzchnie, wreszcie bieliznę. Potem przypalają ich torsy papierosami i wielokrotnie gwałcą. Na końcu wszystkich mordują.

– To tekst z najostrzejszego porno. Padały w nim słowa, których nie spodziewała-

” Często słyszę od uczniów: „Muszę się tak zachowywać, bo inni pomyślą, że jestem słaby”. A ten, kto przeklina, jest silny

ANNA DZIEWULSKA, PSYCHOŁOŻKA

bym się usłyszeć od dzieci, jak np. „anal”, „stanął mu” czy „wyliz mi” – opowiada wstrząśnięta psycholożka. Dziewczynka nie umie wytłumaczyć, skąd pomysł na tak drastyczną historię. – Tak jakoś nam wyszło – mówi.

17 LAT, TECHNIKUM: „SAMA SIĘ RUCHAJ!”

– **DLA DOROSŁYCH** PRZEKLINANIE JEST SPOSOBEM NA REGULACJĘ EMOCJI. Coś cię wkurzy albo zabol, rzucisz słowem na „k” i trochę pary uleci – mówi Anna Dziewulska, psycholożka pracująca w nurcie rodzicielstwa bliskości. – Dziecko potrzebuje jeszcze silniejszych strategii, bo odczuwa znacznie więcej napięcia niż ukształtowany dorosły człowiek. Jak

ma to napięcie wyładować? Wyobrażam sobie, że nieprzeklinanie musi być bardzo trudnym wyjściem dla młodych ludzi – mówi.

– „Chuj” i „kurwa” nie są już przekleństwami. „Szmato” mówią teraz dziewczęta do siebie i to jest na porządku dziennym, „pizdeczko” uważają za czuły zwrot – mówi Bożena, nauczycielka w technikum medycznym na Śląsku. Z jedną z klas już drugi rok intensywnie pracują wychowawczo z pomocą szkolnego psychologa. Jest tam silny podział na dwa obozy i rywalizacja. – Jedną grupę skupiła wokół siebie instagramek bez zahamowań. Używają głównie wulgaryzmów, wypaczających intymność. Agresji i dominacji jest między nimi tak dużo, że podczas zajęć mam ścianę milczenia. Nawet się nie uśmiechają, tak się boją, że zostaną za to obsmarowane w sieci. Narzędziem przemocy jest słowo. Normalnej konwersacji brak, jedynie wylewanie pomyj. Jak wchodzę do nich na lekcje, wątpię, że mam za sobą kilkanaście lat nauczycielskiej pracy. Psycholożka za każdym razem wychodzi podłamana. Zazwyczaj proszę uczniów o feedback, w tej klasie zapytałam m.in., czy odpowiada im program zajęć. W odpowiedziach przeczytałam potem: „No chyba, kurwa, że nie odpowiada”. A na pytanie: „Jakie polecasz rozwiązania dla urozmaicenia lekcji?”. Odpowiedź: „Pejczy i bicze”. W korespondencji między nimi znalazłam takie sformułowania: „ty zjebana pizdo”, „sama się ruchaj”, „ciebie to nawet X (najbrzydszy uczeń) by nie wyruchał”. Pytam ich, dlaczego tak się do siebie odnoszą? Udadają zdziwienie: „Ale o co pani chodzi?”.

– Często słyszę od uczniów: „Muszę się tak zachowywać, bo inni pomyślą, że jestem słaby”. A ten, kto przeklina, jest silny – mówi Dziewulska. – Jesteśmy społeczeństwem, które kultywuje model silnej jednostki. Wychowujemy dzieci w przekonaniu: musisz być silny, musisz być agresorem, żeby sobie poradzić. Nie premiuje współpracy. A potem dziwimy się, jak dzieci próbują się dopasować. **N**

aleksandra.pezda @newsweek.pl



”*Żyłam
ze świadomością,
że sekret istnieje, a ja
go nie mogę nikomu
wyjawić. Dlatego że to
jest jakaś hańba,
piętno, naznaczenie*

ROZMOWA Z AGATĄ TUSZYŃSKĄ

Przed losem nie można uciec

Ciągle zdarzają się sytuacje, które każą się nam ukrywać. I ja się coraz mniej luję, że w tym kraju wielu podałoby mi rękę, gdybym tego naprawdę potrzebowała – mówi **Agata Tuszyńska**.
Właśnie wyszła jej najnowsza książka – „Czarna torebka”

ROZMAWIA RENATA KIM

NEWSWEEK: Pamięta pani dzień, w którym mama dała pani torebkę babki Deli?

AGATA TUSZYŃSKA: Nie pamiętam. I bardzo się tego wstydzę. Miałam 19 lat, kiedy mama mi powiedziała, że jest Żydówką, pochodzi z żydowskiej rodziny z Łęczycy. I dała mi torebkę, czarną kopertówkę. Powiedziała, że to wszystko, co ma po swojej mamie, Deli Goldstein.

Mało.

– Nic innego nie było. U moich kolegów był jakiś stary fotel albo stary obraz, na ścianach wisiały fotografie dziadków, pradziadków, kuzynów, były jakieś sztuczne zabytkowe z przedwojennego życia. A u nas nic.

I żadnych rozmów o przeszłości.

A jednak w końcu mama zaczęła mówić.

– To nie było tak, że od tej pory zaczęła opowiadać o swojej mamie, o wojnie lub o dawnej Łęczycy, skąd pochodziła. Dała mi torebkę babki Deli, bo uznała, że jestem już dorosła, będę umiała to udźwignąć. A potem wróciła do milczenia. To zresztą ciekawe, jak działa pamięć. To było jedno z ważniejszych wydarzeń w moim życiu, zmieniające je kompletnie, a ja go nie pamiętam. Tak je wyparłam z pamięci, jak moja mama wyparła wszystko, co się działo w getcie i za murami. Całą wojnę. Było to dla niej tak bolesne, że postanowiła to zakleić pieczęcią milczenia. Ja zrobiłam podobnie.

Wie pani już dlaczego?

– To proste: mama wybrała dla mnie, swojej wymarzonej jasnej dziewczynki z niebieskimi oczami, los polski. A to znaczy, że miała jakiś ważny powód. Chęć ochrony mnie, stworzenia mi poczucia bezpieczeństwa. Ale pod spodem był właśnie strach. A skoro ona się bała, to ja też.

Czego?

– Nie wiem, przez lata starałam się tego dowiedzieć. Żyłam ze świadomością, że ta torebka jest, sekret istnieje, a ja go nie mogę nikomu wyjawić. Dlatego że to niebezpieczne, że to jest jakaś hańba, piętno, naznaczenie.

Co się stało z torebką?

– To pamiętam bardzo dobrze. Mama wzięła ją z komody, pokazała mi, a potem znowu ją schowała na dnie szuflady, pod papierami. A przecież to był najcenniejszy dokument rodziny i tak naprawdę jedyny poza kilkoma zdjęciami, z których żadne nie jest sprzed wojny. Wyciągnęłam torebkę z ukrycia, dopiero pisząc „Rodziną historię lęku”. I chyba wtedy wzięłam ją do siebie, gdzie zamieszkała w moim przepastnym biurku. Znowu została schowana. Głęboko.

Co w niej było?

– Aryjskie papiery babki na nazwisko Zofii Zmiałowskiej. Metryka chrztu, inne dokumenty, święty obrazek, przepisy na desery. Nic, co mogłoby babkę Delę zdradzić. Potem dowiedziałam się, że torebkę

oddano jej mężowi, dziadkowi Szymonowi, w kancelarii cmentarza w Otwocku, kiedy wrócił z oflagu. To było w styczniu 1945 r. Minęli się o włos, babka Dela zginęła od zbłąkanego odłamka jesienią 1944. Nie znałam jej. Wiedziałam, że nie żyje, bo jeździliśmy z mamą i dziadkiem na katolicki cmentarz w Otwocku, gdzie leżała. Staliśmy nad jej grobem, a na krzyżu była tabliczka: Zofia Zmiałowska (1902-1944). Ja wtedy myślałam tylko, że babcia była strasznie stara. Nie wiedziałam, że była Żydówką. Ani mama, ani dziadek nigdy o niej nie mówili. Nie opowiadali, jakie miała włosy, jakie oczy, czy lubiła jabłka, czy nosiła kapelusz i jak patrzyła na świat. Nie trudzili się przywoływaniem wspomnień.

Nie pytała pani?

– Nie. Teraz tego w ogóle nie rozumiem, przecież dzieci zawsze pytają. A dlaczego, a co, a jak? Ja nie pytałam, bo zrozumiiałam, że taki jest układ, nie zadaje się pytań. Owszem, z mamą rozmawiałam się o Broniewskim, o Tuwimie, o Brzechwie, o teatrze i literaturze. Z ojcem w ogóle się nie rozmawiało, bo on – znany komentator sportowy – był albo na Wyścigu Pokoju, albo na olimpiadzie, na stadionie lub w studiu. Zawsze w pracy, którą uwielbiał. Potem rodzice się rozstali, zostaliśmy w naszym domu same. Byłam dzieckiem nieśmiałym i mało mównym, dla którego świat książek był ważniejszy niż rzeczywisty.

Kochałam mamy moich koleżanek, które robiły placki i konfitury, piekły i szyły, umiały stworzyć dom. Taki, w którym jest dużo ludzi, w którym się wspólnie je posiłki, w którym są jakieś rytuały. Moja mama tego nie potrafiła, nikt jej nie nauczył. Kiedy zamieszkali z ojcem po wojnie, miała 14 lat. On wymagał, żeby prowadziła gospodarstwo, a ona nie wiedziała, jak się to robi. Kiedy chciał rosół, ugotowała mu całą kure, ze wszystkim, co w środku. I potem kazał jej to jeść. Dziadek był człowiekiem oschłym, surowym, zasadniczym. I też nigdy nie dotykał przeszłości. Nie opowiadał o Łęczycy, o domu na Przedryнку, o ukochanej matce, która zawsze miała dla niego szklankę mleka, ani o ojcu, radnym łączyckim, który nosił polskie wąsy, śpiewał arie operowe i prowadził skład win i wódek oraz drukarnię.

Żydowskiej tożsamości zaczęła pani szukać wiele lat później, już jako dorosła osoba.

– Ja, córeczka z niebieskimi oczami, stałam się spadkobierczynią losów narodu wybranego. Nie bardzo wiedziałam, co z tym zrobić. Zaczęłam się tego żydowskiego świata uczyć. Chodziłam śladami Isaaca Bashevisa Singera, żeby się dowiedzieć, co to znaczy żydowska tradycja, religia, język. W jego książkach odnajdywałam historię moich przodków. Nie potrafiłam pisać o swoim sekrecie, o swojej świeżo odkrytej tożsamości, więc napisałam biografię autora „Sztukmistrza z Lublina”. Potem uczyłam się żydostwa od Ireny Krzywickiej, która była zasymlowaną Żydówką. Nie poszła do getta, mimo że wszyscy Żydzi mieli się tam stawić. Jedenaście lat po biografii Singera napisałam „Rodzinną historię lęku”. Mama bardzo się tej książki obawiała.

Dlaczego?

– Ciągle nie chciała być postrzegana w Polsce jako Żydówka. A to był 2005 r. Bardzo był przeciwny pisaniu tej książki wujek Oleś. Ten, który uratował Dełę i Halinkę, Bronkę i Marysia i jeszcze kilka osób. Miał przepustkę do getta, chodził tam i namawiał do ucieczki: „Trzeba się ratować, przechodźcie na aryjską stronę, ja wam pomogę”. Otóż wujek Oleś uważał, że mogę tę książkę napisać, ale na pewno nie powinnam jej wydawać w Pol-

sce. Powiedział tak: „Jeśli żyjesz w kraju, w którym wszyscy są biali, a masz dziecko, które z jednej strony jest białe, z drugiej czarne, to odwróć je białą stroną, żeby się nie wyróżniało. To jest taki kraj. Myśl, że antysemityzm się skończył, jest z gruntu fałszywa”, mówił wujek Oleś, nasz bohater, to dzięki niemu żyjemy. Ale ja uważałam, że muszę napisać historię naszej rodziny.

I książka powstała.

– Bardzo ważna była w tym rola mojego męża, Henryka, który widział, jak się męczę z tym sekretem. W pewnym momencie już nie mogłam o nim nie mówić, a potem nie wiedziałam, komu powiedziałam. W Ameryce, gdzie wtedy

”*Ja, córeczka z niebieskimi oczami, stałam się spadkobierczynią losów narodu wybranego. Nie bardzo wiedziałam, co z tym zrobić*

spędzałam sporo czasu, to się wydawało łatwe: jestem Żydówką. Fantastycznie. Mnie było łatwiej mówić o tym po angielsku, bo to było kolejne przebranie. Nawet miałam przez chwilę myśl, żeby „Rodzinną historię lęku” wydać w Ameryce, ale stwierdziłam, że przecież to jest moja rozmowa z Polską, nie z Amerykanami. A książka w końcu wyszła i nic strasznego się nie stało, wręcz przeciwnie.

Wręcz przeciwnie?

– Zwracali się do mnie ludzie z podobnymi historiami, nie tylko żydowskimi, ale także romskimi, niemieckimi, pisali przedstawiciele mniejszości seksualnych. Wszystkie sekrety rodzinne do mnie przychodziły. I to był znak, że to ważna książka. Natomiast fakt, że mamie nikt nie wybił okna kamieniem, sprawił, że ona też przesta-

ła się ukrywać. Ale jeszcze kilka lat temu, kiedy głośno było o ustawie o IPN i sporze z Izraelem, mama pytała, czy w kryjówce, w której pewnie znowu będzie musiała się schować, znajdzie się miejsce dla naszego psa. Więc niby się przestała bać i uważała, że jest równoprawną obywatelką tego kraju, tej ojczyzny, Polski, a jednak cały czas był w niej strach. A ja zawsze bałam się dwóch rzeczy...

Jakich?

– Tego, że mama odejdzie i że odejdzie mój ukochany jamnik. On odszedł kilkanaście dni temu, po 17 wspólnych latach. Teraz tylko mama może za nim pójść i już nie będzie się czego bać.

Czy mama zaczęła w końcu rozmawiać o przeszłości?

– Nie, nigdy. Teraz już niewiele pamięta. Czasem Henryk zadawał jej pytania i wtedy opowiadała jakieś rodzinne anegdoty. Kiedy przyjeżdżał z Ameryki jej najbliższy kuzyn Maryś, zmarły przed chwilą Marian Marzyński, to czasem rozmawiali. O Przedryнку, dworze w Kucharach, drukarni, pięknych włosach babci Jeci i niebieskich oczach sióstr Przedborskich. Marian bardzo mi pomagał w odzyskiwaniu pamięci. Sam dużo pamiętał i zadawał pytania. Był od mojej mamy młodszy, rocznik 1937 i nigdy się tej żydowskiej historii nie bał i nie wstydził. Zawsze o tym mówił, długo ku mojej rozpaczce.

Czasem rozmawiam z przyjaciółkami mamy ze szkoły. Opowiadają, że miała bardzo kręcone czarne włosy, czarne oczy. Nigdy nikt nie zadał jej pytania, jak przeżyła wojnę. I nigdy nikomu tego nie powiedziała. Rozumiała, że tylko w ten sposób jest w stanie ocaleć. Mam wrażenie, że jedynym miejscem, gdzie czuła się dobrze, był dom ciotki Bronki na Jazdowie. To była ukochana siostra mojego dziadka. To u niej było rodzinne ciepło, sernik i szarlotka, rogaliki z rodzynkami, ryba po żydowsku. Pachniało czosnkiem i domem. Tam mogła być sobą, ale już za drzwiami należało być Polką. Tak to w sobie ułożyła. Żeby nikt nie pomyślał, że jest obca, inna. Że może nie przynależać. A przecież wystarczyło na nią spojrzeć, żeby wiedzieć.

Udało się pani uzupełnić braki w wiedzy o żydowskiej rodzinie?

– Tak. I mogłam odbudować tę rodzinę w sobie. Ja mam wrażenie, że bez tego nie istnieję. Nie dość, że nie mam domu rodzinnego, mebli, książek, obrazów, sztuców, setek pamiątek, to przez brak wiedzy zostałam pozbawiona tego, co nas kształtuje. Pamięci i przeszłości. Wszystko było budowane od momentu moich urodzin. Nowymi meblami, nowymi obrazami. Moja mama robiła to bardzo pięknie i nowocześnie, ale ja nie czułam, co jest pod spodem. Myślę, że stąd moja wielka słabość do starych ludzi. Irena Krzywicka, która mi opowiadała o latach 20. i 30. w Warszawie, była na wagę złota. Poglębiała moją pamięć, pozwalała ją sztukować. Trzymając ją za rękę, uczestniczyłam w życiu przeszłym, którego nie dane mi było doświadczyć. Poznawałam tę glebę, z której przecież jestem.

Z jakimi uczuciami siedała pani do pisania „Czarnej torebki”?

– Chciałam dać życie babce Deli Goldstein, nauczycielce, która w żydowskiej szkole uczyła po polsku. I chciałam to zrobić w jakimś sensie dla mojej mamy, aczkolwiek ona tego już nie potrafi docenić, od siedmiu lat jest bardzo chora. Jestem pewna, że byłaby inną osobą, gdyby jej mama przeżyła, gdyby mogły iść w ten osierocony powojenny świat razem. Tymczasem była z tym samotna i wszystko chowała w sobie.

Odzyskała pani babkę? W książce wyczuwalny jest żal, że tak mało o niej wiadomo.

– Cieszę się, że ta książka powstała. Myślę, że to jest absolutnie niezwykle świadectwo, jedyny w swoim rodzaju dokument. Bo tak naprawdę to jest próba znalezienia Deli Goldstein pomiędzy dwoma nieistniejącymi postaciami. Jednej, która była jej Aryjką, Zofią Zmiałowską. I tej prawdziwej, na którą nie ma żadnego dowodu. Tylko tych kilka opowieści i akt zgonu, który znalazłam dopiero pół roku temu w archiwum diecezjalnym na Pradze. Próba zbudowania z kilku dokumentów i śladów żywego człowieka jest szalenie trudna, ale myślę, że zrobiłam wszystko, co mogłam. Mam wrażenie, że świadomość własnej tożsamości jest kluczowa. A także to, czy dalej w tym świecie będą nam potrzebne aryjskie papiery lub inne



Agata Tuszyńska
Czarna torebka
Osnowa

falszywe dokumenty. Czy wreszcie będziemy żyć w miejscu, gdzie nie trzeba się ukrywać? Nie jestem pewna, czy bez torebki „na aryjskich papierach” można w tym kraju żyć.

Mówi pani poważnie?

– Jak najbardziej. I niekoniecznie mówię teraz o żydostwie, ale też o inności płciowej czy jakiegokolwiek innej. Już nie geje zajęli miejsce Żydów, teraz są dzieci niebinarne, młodzież, która szuka swojej tożsamości. Czy oni wszyscy są traktowani, jak powinni? Śmiem wątpić. Więc może łatwiej jest mieć papiery chłopca, kiedy czujesz się dziewczynką, bo wtedy cię przynajmniej nie pobiją. Ciągłe zdarzają się sytuacje, które każą się nam ukrywać. I ja się coraz mniej luję, że w tym kraju wielu podałyby mi rękę, gdybym tego naprawdę potrzebowała. „Czarna torebka” ukazuje się w 80. rocznicę powstania w warszawskim getcie.

– To dla mnie bardzo ważne. Kwiecień od lat jest miesiącem żonkili, miesiącem pamięci o powstaniu w getcie, o buncie, o chęci walki. We mnie getto jest stale obecne, czuję bliźnię jego muru w moim mieście. I w sobie. W rocznicę powstania zawsze mam, niestety, to samo bolesne uczucie, że tak naprawdę nasz los innych nie obchodzi. Jesteśmy tam pod pomnikiem, kilkaset osób z żonkilami, my, którzy pamiętamy, my, dla których ci ludzie byli ważni. Ale im dalej, tym większa obojętność. Za każdym razem to czuję, wracając do domu, oddalając się od pomnika Bohaterów Getta. Na Marszałkowskiej, Krakowskim Przedmieściu, Nowym Świecie warszawiacy siedzą w kawiarniach, jedzą lody, ciastka i żyją swoim życiem. Czuję, że tych ludzi getto nic nie

obchodzi. Wojna, ofiary, cudzy los. I jest mi potwornie żal.

Rozumie pani, skąd ta obojętność?

– Trudno jest utożsamiać się z nieszczęściem innych. Ja nawet nie mam do tych ludzi pretensji, jak miałabym wymagać, żeby ich obchodziło? To nie ich rodzina, znajomi i przyjaciele, to nie ich życie. Dlaczego mają uprawiać cudzą pamięć? Kazimierz Brandys, z którym się przyjaźniłam, zawsze mówił, że największą winą Polaków było to, że Żydów nie oplakali. Ale kiedy on mieszkał w Warszawie, ci Żydzi tu byli. Co trzeci mieszkaniec Warszawy był Żydem. A teraz? Dlaczego 25-latek ma chodzić pod pomnik Bohaterów Getta? Coraz mniej jest ludzi, których to dotyczy i obchodzi. I również dlatego ta książka jest dla mnie ważna, że jeszcze zdążyłam zachować pamięć o tamtych. Babka Dela nie była wojowniczką getta, ale to był jej świat.

Czy kiedykolwiek żałowała pani, że dowiedziała się o istnieniu jej torebki?

– Nie. Żałuję, że się dowiedziałam tak późno. Przed losem nie można uciec. **N**

renata.kim@newsweek.pl

AGATA TUSZYŃSKA JEST PISARKĄ, POETKĄ, REPORTAŻYSTKĄ. AUTORKĄ BIOGRAFII ISAACA BASHEVISA SINGERA, IRENY KRZYWICKIEJ ORAZ WIERY GRAN, A TAKŻE „RODZINNEJ HISTORII LĘKU” I „ĆWICZENIE Z UTRATY”

Newsweek POLECA



Wydanie „Newsweek Historia Ekstra” w sprzedaży od 13 kwietnia



DUŻY PROBLEM ZNIKAJĄCYCH CÓREK

Migdałowe matki

Gdy znalazła papierki po batonach, wpadła w szał. Tyle wysiłku włożyła, żeby córki były chude, a one mają to za nic

TEKST KAROLINA ROGASKA

Sara miała 10 lat, kiedy zaczęła znikać. Wstawiała o 5 rano, żeby ćwiczyć, drobiazgowo sprawdzała wszystko, co jadła, żeby nie przekroczyć 500 kalorii dziennie. Im mniej jej było, tym większą dumę dostrzegała w oczach matki. – Widzisz, jaką ona ma silną wolę? Jak się chce, to można – mówiła matka, wskazując na Sarę, do jej starszej o osiem lat siostry.

Siostra z powodów zaburzeń hormonalnych mierzyła się z lekką nadwagą. Dla matki to był cios – jeśli córki mają coś znaczyć w świecie, muszą być szczupłe. Sama też wiecznie walczyła o wygląd. Nie mogła się pogodzić z tym, że jej ciało zmieniło się po dwóch ciążach. Odkąd tylko Sara pamięta, mama się odchudzała. Przeszła przez post Dąbrowskiej, detoksy sokowe, dietę Ducana. Wymuszała na córkach, by towarzyszyły jej w tej drodze. Szczególnie na starszej, bo to jej wygląd pozostawiał „najwięcej” do życzenia.

Sara pamięta, jak mama, sprzątając w pokoju siostry, znalazła papierki po batonach. Wpadła w szał, przez kilka godzin krzyczała o braku szacunku, ignorancji, egoizmie. To tylko utwierdziło Sarę w przekonaniu, że odchudzanie to jedyna słuszna droga. Nie chciała, by mama była na nią kiedykolwiek tak zła.

– Miałam 13 lat, gdy trafiłam do szpitala, bo wątroba i trzustka przestały działać jak należy. Byłam skrajnie

niedożywiona. Wtedy dowiedziałam się, że nie tylko sekretne podjadanie słodczy potrafi rozwścieczyć mamę. Obraziła się na mnie, bo według niej powinnam umieć tak tym wszystkim sterować, żeby być maksymalnie chuda, ale jednocześnie nie doprowadzić się do stanu wymagającego leczenia – opowiada 24-letnia dziś Sara.

DOSKONAŁE ROZWIĄZANIE

PO WYJŚCIU ZE SZPITALA RODZICE ZABRALI JĄ DO PSYCHOTERAPEUTKI. Kiedy jednak ta zwróciła uwagę, że zaburzenia odżywiania mogą wynikać ze złej relacji z rodzicami i słabego kontaktu z ojcem, opuścili gabinet. I nigdy więcej nie wrócili. Matka przez kilka dni pilnowała, żeby Sara jadła. Zdawała się nie zauważać, że ta wyrzuca posiłki albo je zwraca. – Widziała to, co chciała zobaczyć. Szybko uznała, że skoro czuję się nieco lepiej, problemu już nie ma – wyjaśnia dziewczyna.

Niedługo po szpitalu zachorowała na bulimię. Uznała, że to doskonałe rozwiązanie – może jeść, co chce i ile chce, jednocześnie nie tyjąc, bo przecież i tak wszystko zwymiotuje. Mama nie zauważała i tego. Liczyły się tylko cyfry na wadze.

Że coś jest nie w porządku, Sara zorientowała się, kiedy miała 18 lat i zdiagnozowano u niej nowotwór ślinianki – choroby, która zazwyczaj dotyczy palaczy po 60. roku życia. Ledwo

uwolniła się od mamy i już musiała wrócić. Z rodzinnego domu było bliżej do szpitala. Leczenie ją wykończyło, jeszcze bardziej schudła. Lekarze podkreślali, że powinna teraz jeść dużo pełnowartościowych posiłków, żeby organizm doszedł do siebie. Matka miała na ten temat inne zdanie.

– Naoglądała się filmów o diecie witańskiej, czyli składającej się tylko z surowych warzyw i owoców. To miało być remedium na wszelkie bóle – opowiada Sara. – Byłam głodna, zmęczona i śpiąca, zupełnie mi to nie służyło. Ale trzymałam się tego, bo wierzyłam, że każde kolejne jabłko i sok z kurkumą przybliżają mnie do wyzdrowienia. Z drugiej strony pojawił się lęk, że kawałek nabitą lub mięsa spowoduje nawrót choroby. Kiedy z nieuwagi zjadłam coś spoza listy produktów rekomendowanych przez mamę, przez kolejne dni żyłam w panice, że rak rozwija się w moim ciele.

Chociaż choroba jest od kilku lat w remisji, natarcywe myśli wciąż wracają. – Osiem miesięcy temu miałam ostatni napad bulimii, więc jestem w wychodzeniu z zaburzeń jeszcze początkująca. Ale i tak czuję dumę. Niektórzy całe życie spędzają, próbując się dostosować do wiecznie niezadowolonej matki, więc i tak szybko się z tego wyrwałam – podsumowuje dziewczyna.

OSZUKAĆ GŁÓD

O MATKACH TAKICH JAK SARY ZACZEŁO SIĘ MÓWIĆ GŁOŚNO wraz z rozwojem mediów społecznościowych, gdzie co i rusz pojawiają się świadectwa skrzywdzonych córek. Swoje rodzicielki nazywają „almond moms” (z ang. migdałowe mamy). Określenie powstało w związku z wypowiedziami Yolandy Hadid – matki dwóch supermodelek, Gigi i Belli.

Yolanda, sama z obsesją na punkcie swojego wyglądu, przeniosła ją na swoje córki. Do internetu trafiło nagranie, na którym nastoletnia wówczas Gigi skarży się, że jej słabo, bo przez cały dzień jadła ledwie pół migdała. Matka doradza jej, by spożyła jeszcze kilka, ale żuła je bardzo powoli. Tak oszuka mózg i zaspokoi głód, a jednocześnie uchroni się przed najgorszym: przytyciem.

Skutki takiego podejścia odbijają się na coraz młodszych dzieciach. Przede wszystkim dziewczynkach. Jak wynika z książki „Obsesja piękna” dr Renee Engeln, aż 34 proc. pięciolatek świadomie ogranicza ilość jedzenia, a 40 proc. dziewczynek między 5. a 9. rokiem życia twierdzi, że chciałoby wyglądać szczuplej.

Dr Engeln nie ma wątpliwości, że wpływ na to mają wykreowane przez popkulturę standardy piękna, które często są przekazywane dzieciom przez rodziców. Ci albo niewystarczająco chronią przed tym córki, albo wprost wtłaczają im toksyczne przekonania – jak migdałowe mamy.

Aż 34 proc. pięciolatek świadomie ogranicza jedzenie, a 40 proc. dziewczynek między 5. a 9. rokiem życia twierdzi, że chciałoby wyglądać szczuplej

Psycholożka Zuzanna Butryn opowiada, że znaczna część jej pacjentek z zaburzeniami odżywiania doświadczyła restrykcji w dzieciństwie. – Jedna z nich opowiadała, że matka wysłała ją na obóz odchudzający. Pomijając, czy takie obozy to w ogóle dobry pomysł, ta dziewczyna nie miała nawet nadwagi – podkreśla.

I zaznacza, że obraz siebie i schematy wpojone przez matkę są szczególnie trudne do zmiany. To ona jest zazwyczaj pierwszym autorytetem i to, co mówi, przyjmujemy jako wyznacznik, zakładając jednocześnie dobre intencje.

– Komunikat, jaki dostaje w takiej sytuacji dziecko, brzmi: bez odpowiedniej sylwetki jesteś nikim. Łatwo go zinternalizować i podświadomie działać z nim w zgodzie. Moje pacjentki często nie potrafią na początku rozpoznać, skąd w nich ta nienawiść do swojego ciała. Trzeba to źródło znaleźć, by móc pójść dalej i zmienić swoją postawę na zdrową – podkreśla Butryn.

Krytykowanie ciała i ciągłe odchudzanie poza konsekwencjami psychicznymi może też nieść drastyczne konsekwencje fizyczne. Od niedożywienia, przez problemy hormonalne, po – w skrajnych przypadkach – śmierć.

Dietetyczka Anna Trojanowska twierdzi, że pomysł odchudzania przed ukończeniem 18. roku życia jest absurdalny. – Organizm ciągle się jeszcze rozwija. Dieta powinna być w tym czasie różnorodna, bogata w wartości odżywcze. Jeśli wprowadzamy eliminacje i restrykcje, ciało to zapamiętuje. A to z kolei wpływa i na zdrowie, i na rozchwianie metabolizmu. Badania pokazują, że powrót do równowagi zajmuje potem kilka lat – podkreśla.

SEKRETNE PODJADANIE

27-LETNIA ANIA UWOLNIŁA SIĘ OD RESTRYKCJI, GDY WYJECHAŁA NA STUDIA, ale choć minęło już dziewięć lat, nie udało jej się złapać balansu. Pracuje nad tym na terapii, jednak do tej pory zdarza się, że zjedzenie fast foodu musi zrównoważyć dwoma dniami głodzenia się, a po słodyczach dobijają ją wyrzuty sumienia.

Mimo to cieszy się, że w końcu jest wolna, chociaż żałuje, że musiała się znaleźć 600 km od domu, by tę wolność poczuć. Jej mama od dziecka podkreślała, że chce, by córka osiągnęła sukces. Ania wzięła to sobie do serca i z zapałem zapisywała się na kolejne dodatkowe zajęcia: taniec, śpiew, teatr. W podstawówce doszła do tego jeszcze szkoła muzyczna.

Dziś widzi, że rodzice powinni pomóc jej to uregulować. – Wychodziłam z domu rano i wracałam około 21. Wtedy miałam do wyboru: albo coś zjem, albo odrobię lekcje, bo na obie te czynności nie starczyło mi siły – opowiada.

Wolała wybrać lekcje, bo odpuszczając jedzenie, mogła przy okazji zyskać szczupłą sylwetkę. A na to mama kładła szczególny nacisk. Odkąd Ania skończyła 13 lat, cała rodzina musiała się codziennie ważyć. Wyniki były komentowane.

– Kiedy u mamy i ojca waga spadała, a u mnie się nie zmieniała lub przybyło pół czy jeden kilo, pojawiały się niby niewinne żarty i sugestie, że może coś podjadłam i teraz nie chcę się przyznać – wspomina Ania. To ją przerażało, bo

rzeczywiście – czasem podjadała. Jednak nigdy w domu. Żeby zjeść coś zakazanego, batona czy słodką bułkę, wychodziła na spacer albo robiła to między zajęciami.

MILIMETRY DO DOSKONAŁOŚCI

NAJTRUDNIEJ BYŁO PORADZIĆ SOBIE, GDY SŁODKOŚCI POJAWIAŁY SIĘ W DOMU. A tak się zdarzało, bo restrykcje obowiązywały wszystkich poza jej młodszym bratem. Chłopcy – według matki – nie muszą się tak przejmować figurą.

Kiedyś mama zauważyła, że mimo że brata nie było, zniknął jeden z czterech kupionych dla niego pączków. Przed awanturą z tego powodu uratował Anię tata. – Wydaje ci się, kupowaliśmy trzy pączki – rzucił. Chociaż dobrze wiedział, jaka była prawda. – Ojciec wykonywał drobne gesty solidarności ze mną, ale nigdy nie sprzeciwił się matce. Wolał się podporządkować – wyjaśnia Ania.

Na jej postrzeganie diety i ciała wpłynęło też to, jak matka mówiła o sobie. Dziewczyna cały czas słyszała, jak skarży się, że jest za gruba. Obserwowała, jak mama stoi przed lustrem i podszczypuje uda, biodra, z niesmakiem kręcąc głową, gdy dostrzegła nawet milimetry niepotrzebnego według niej tłuszczu. A dostrzegła je właściwie zawsze.

– Przez to sama też byłam i dalej bywam wobec siebie wymagająca. Szczególnie że pracuję jako muzyk – wymogi dotyczące wyglądu w tym zawodzie są szczególnie wyśrubowane. „Ciała w kanonie” są częściej zapraszane do współpracy, chociaż powinny się liczyć umiejętności. Przecież nie każdy ma wpływ na to, jak wygląda. Rozmiar osoby na scenie nie powinien podlegać ocenie – podkreśla kobieta.

I dodaje: – Dzięki temu, że widzę coraz więcej „większych” artystek, jest mi trochę łatwiej. Pomaga też chłopak, który

uczy mnie jeść intuicyjnie, słuchać swojego ciała, a nie tego krytycznego głosu, który zaszczepliła w mojej głowie mama.

BYĆ WZOREM

ANIA POGODZIŁA SIĘ Z TYM, ŻE PODEJŚCIA MATKI NIE ZMIENI, ale może zadbać o siebie. Niedawno po raz pierwszy udało jej się głośno powiedzieć w domu rodzinnym, że nie życzy sobie komentowania jej ciała.

Wybaczyła rodzicom. Wie, że podejście mamy nie wzięło się znikąd. Pojawienie się w latach 90. modelek jak Cindy Crawford zaszczepliło w niej przekonanie, że szczupłość oznacza sukces. Ania uważa: – Ja ten stereotyp łamię. Potrzebowałam takiego przykładu, kiedy byłam dzieckiem, i będę szczęśliwa, jeśli sama się nim dla kogoś stanę. **N**

karolina.rogaska@newsweek.pl

REKLAMA

Newsweek[®] POLSKA

Czytaj nasz tygodnik również w wygodnej aplikacji Newsweek Polska

Sięgnij w łatwy sposób po aktualne i archiwalne wydania tygodnika oraz magazynów specjalnych. Nie przegap najważniejszych wiadomości z Polski i ze świata z działów polityki, społeczeństwa, biznesu, zdrowia, nauki, kultury i psychologii. Słuchaj naszych autorskich podcastów, oglądaj wideo i analizuj najnowsze opinie. Bądź na bieżąco!



Demonstracja
antyirańska
w Los Angeles,
USA, 1980 r.

PISS ON IRAN

FUCK IRAN

Newsweek HISTORIA

NIEWYJAŚNIONA NIESPODZIANKA
Z 1980 ROKU

W MĘTNEJ WODZIE

Czy republikanie opóźnili zwolnienie
amerykańskich zakładników w Iranie,
*by zniszczyć Jimmy'ego Cartera
przed wyborami w 1980 roku?*

Nowe fakty zdają się potwierdzać tezę uznawaną
dotychczas za teorię spiskową

TEKST PIOTR MILEWSKI, NOWY JORK

FOT. BROMBERG/HOOVER PHOTOGRAPHY/GETTY IMAGES



Większość Amerykanów spyta-
na o tzw. kryzys zakładników,
opowie mityczną wersję zda-
rzeń: nieudolny Jimmy Carter
dopuścił do ataku na ambasadę
Stanów Zjednoczonych, przez
półtora roku nie potrafił uwol-
nić rodaków, lecz przyszedł dzielny Ronald Reagan i przera-
żeni ajatollahowie natychmiast ich wypuścili. Prawda była
zupełnie inna. Carter stanął na wysokości zadania, ale cia-
ła dały siły specjalne armii. Jeńcy odzyskali wolność kilka
minut po złożeniu przez Reagana prezydenckiej przysięgi,
więc z sukcesem nie mógł mieć nic wspólnego. Co więcej,
według opublikowanej niedawno przez „New York Timesa”
relacji prominentnego teksańskiego polityka Bena Barnes’a
republikanie sabotowali działania rządu.

I nie jest wykluczone, że dzięki tym zakulisowym, sprzecz-
nym z interesami kraju machinacjom Reagan zamieszkał
w Białym Domu.

DOKOŁA **BLISKIEGO WSCHODU**

POGŁOSKI, ŻE LUDZIE REAGANA USIŁOWALI opóźnić
zwolnienie zakładników, pojawiły się wkrótce po jego
zwycięstwie. Dziennikarz śledczy Robert Dreyfuss,
cytuując oficerów brytyjskiego wywiadu, twierdził, że
rokowania prowadził z reżimem Chomeiniego sam
Henry Kissinger. Kiedy wybuchła afera Iran-Contras,
William Safire pisał na łamach „New York Timesa”:
„Robert McFarlane (późniejszy doradca prezydenta
ds. bezpieczeństwa narodowego, architekt
„Gwiezdnych wojen”) latem 1980 roku nawiązał
kontakty z przedstawicielami Teheranu, którzy
oferowali przekazanie jeńców nowej administracji”.
Nie mniej słynny reporter „Washington Post” Bob
Woodward donosił, że doradcy republikanina już
podczas kampanii wyborczej zamierzali nielegalnie
dostarczyć ajatollahom broń, przy czym wówczas
stawką miało być właśnie wypuszczenie Amerykanów
dopiero, gdy Carter przegra.



Prezydent Jimmy Carter podpisuje dokument, w którym domaga się uwolnienia Amerykanów przetrzymywanych jako zakładników w Teheranie, Waszyngton, 1980 r.

Najwięcej szumu narobiła wydana pod koniec 1991 r. książka „Październikowa niespodzianka” Gary’ego Sicka – emerytowanego kapitana marynarki, który zasiadał w radzie bezpieczeństwa narodowego u Forda, Cartera i Reagana. Zdaniem autora interesu dobił z Irańczykami – w tytułowym październiku 1980 r. – późniejszy dyrektor CIA William Casey. „Sprawa jest tak zawikłana i mętna, że prawdopodobnie nigdy nie da się jej ostatecznie wyjaśnić” – zastrzegł Sick. Nie zrobili tego m.in. specjalne komisje śledcze obu izb Kongresu. Ich członkowie orzekli w styczniu 1993 r., że „brak wiarygodnych dowodów jakoby członkowie sztabu wyborczego Reagana bądź osoby z nim powiązane usiłowały wstrzymać uwolnienie Amerykanów”.

Wątpliwości jednak nie wygasły, a trzy tygodnie temu podsylił je „New York Times”, publikując 18 marca wspomnienia rzeczowego Barnesa. Latem 1980 r. był on wicegubernatorem Teksasu i towarzyszył swojemu szefowi – republikańskiemu gubernatorowi Johnowi Connally’emu w podróży po Bliskim Wschodzie. Wyjątkowo długiej jak na obyczaje stanowych notabli. Obaj panowie opuścili Houston 18 lipca, a wrócili 11 sierpnia. Odwiedzili stolicę Jordanii, Syrii, Libanu, Arabii Saudyjskiej, Egiptu oraz Izraela. Connally tłumaczył ponoć przedstawicielom tamtejszych rządów, że podtrzymanie kryzysu do chwili wyborów przyniesie korzyści zarówno im samym, jak Teheranowi. Reagan bowiem będzie prowadził politykę korzystniejszą dla arabskich sojuszników USA i nie zapomni przysługi. Gospodarze powinni zatem przekazać odpowiednie sygnały Chomeiniemu. Według Barnesa gubernator kontaktował się w trakcie podróży ze sztabem republikańców, a jak wrócił, przez trzy godziny zdawał relację Caseyowi, który owym sztabem kierował.

Rozmówca „New York Timesa” ma 85 lat. Twierdzi, że sumienie nie dawało mu spokoju i zdecydował się ujawnić prawdę, zanim umrze. Bezpośredni bodziec do zwierzeń stanowiła informacja, że 98-letni Carter zrezygnował z aktywnego leczenia licznych schorzeń i zdał się na opiekę paliatywną. Barnes nie przedstawił żadnych pisemnych dowodów, które potwierdzałyby cel podró-

ży sprzed ponad czterech dekad. Wskazał jednak godne zaufania osoby, którym wyjawiał prawdę znacznie wcześniej. Wszystkie potwierdziły, że tak było. Pikanterii sprawie dodaje fakt, że wicegubernator przez całe życie był członkiem Partii Demokratycznej. Ponoć dlatego dotychczas milczał. Mówi, że gdyby wyszedł na jaw jego udział w machinacjach, które być może pogrzyżyły Cartera, zostałyby uznane za zdradę.

ORLI SZPON

NA KRZYŻYS ZAKŁADNIKÓW – czy szerzej: islamską rewolucję w Iranie – Amerykanie sami solidnie zapracowali. W 1953 r. CIA obaliła demokratycznie wybrany rząd premiera Mohammada Mossadegha, ponieważ znacjonalizował irański przemysł naftowy podlegający Anglo-Persian Oil Company (dziś BP). Zainstalowany w Teheranie szach Reza Pahlawi blokował wprowadzenie rozprze-strzenia się komunizmu na Bliskim Wschodzie, ale z czasem jego władza coraz bardziej opierała się na terrorze tajnej policji SAWAK. Do kierowania irańskimi przedsiębiorstwami sprowadził 150 tys. zachodnich specjalistów, zamiast kształcić własnych. Mieszkańcy wsi masowo przenosili się do miast, które pękały w szwach. Skorumpowana elita gromadziła baśniowe fortuny, biedacy umierali z głodu.

Pod koniec 1978 roku odbyła się demonstracja pięciu milionów obywateli żądających ustąpienia szacha i proklamowania republiki. 16 stycznia Pahlawi uciekł z kraju, a za nim amerykańscy oraz brytyjscy specjaliści. Do Teheranu wrócił z przymusowej emigracji radykalny duchowny Ruhollah Chomeini. W kwietniu ustanowiono Islamską Republikę Iranu, która z czasem stała się największym sponsorem terroryzmu na świecie. Szyccy imamowie, studenci i działacze młodzieżowi zajęli ambasadę USA 4 listopada 1979 r. Ogłosili, że nie zwolnią zakładników, póki Waszyngton nie wyda Pahlawiego okarzonego przez nowe władze o zdradę stanu.

Akcję przeprowadzili bez wiedzy liderów rewolucji, lecz Chomeini szybko zorientował się, że wojna z Ameryką mu nie grozi, zaś

okupacja ambasady przynosi korzyści. Zademonstrował miłosierdzie, nakazując zwolnić 13 osób – kobiety i czarnych. Tajne papiery znalezione w sejfach wykorzystał przeciw liberalnym politykom, którym marzyła się demokracja parlamentarna. I dzięki temu wygrał referendum dotyczące ustroju Iranu – naród powierzył władzę duchowieństwu. Pozostałych 52 jeńców spędziło w niewoli 444 dni. Amerykanie odmówili wydania szacha, naciski dyplomatyczne i sankcje gospodarcze nie przynosiły rezultatu.

Ostatecznie prezydent Carter zatwierdził tajną operację Orli Szpon. Plan elitarniej jednostki Delta Force był niezmiernie skomplikowany. Przewidywał lądowanie na pustyni śmigłowców oraz ogromnych samolotów transportowych typu Hercules z paliwem i komandosami. Następnie helikoptery miały lecieć w góry otaczające stolicę i się przyczaić. Dopiero następnej nocy komandosów zabrałyby do centrum Teheranu ciężarówkami, a po akcji bojowej udaliby się na trzeciej z kolei lądowisko – stadion Amjadieh, gdzie przybyłyby śmigłowce z gór i stamtąd poleciały na lotnisko wojskowe niepodal stolicy, by przekazać uwolnionych zakładników personelowi transportowców przerzuconych z pustyni. Sprawa mogła się rypnąć na każdym etapie, ale wystarczył pierwszy.

Wieczorem 24 kwietnia 1980 r. wybuchła burza piaskowa. Dwaj piloci zabłądzili, trzy z ośmiu helikopterów się zepsuły, czwarty uderzył w samolot transportowy. Bez jednego wystrzału ze strony Irańczyków zginęło ośmiu amerykańskich żołnierzy, pięciu odniosło rany. Salwujący się ucieczką komandosi zostawili cały sprzęt. Dwa helikoptery weszły później do wyposażenia irańskich sił powietrznych. Sekretarz stanu Cyrus Vance złożył rezygnację, choć od początku nie wierzył w powodzenie misji, rozwiązanie siłowe lansował Zbigniew Brzeziński. Wojskowi stratedzy wykonywali kolejny plan, ale wymagał on użycia ponad 50 jednostek latających, m.in. niewielkich samolotów STOL i herculesów z dodatkowymi silnikami odrzutowymi, oddziału o liczebności batalionu (500-600 ludzi) tudzież 12-tonowego buldożera. Carter zwątpił. Tymczasem po śmierci Pahlawiego bojówkarze przekazali więźniów irańskiej policji. Chomeini obiecał ich wypuścić w zamian za odblokowanie wkładów w amerykańskich bankach. Negocjacje zakończyły się sukcesem 19 stycznia 1981 r. – 2,5 miesiąca po zwycięstwie Reagana.

SPRAWA MĘTNA I ZAWIKŁANA

PAŹDZIERNIKOWA NIESPODZIANKA OZNACZA WYDARZENIE, które krótko przed wyborami zmienia układ sił. Termin funkcjonuje w politycznym żargonie USA od 1840 r., gdy okazało się, że Partia Wigów płaciła dwa lata wcześniej mieszkańcom Pensylwanii za nielegalne głosowanie na terenie stanu Nowy Jork. Skandal nie pomógł wprawdzie prezydentowi Martinowi van Burenowi utrzymać stanowiska, wygrał wig William Henry Harrison, ale mniejszą przewagą głosów, niż oczekiwano. W roku 1972 Nixo-

nowi pomógł Henry Kissinger, ogłaszając – ni stąd, ni zowąd – że „pokój jest w zasięgu ręki”. Ludzie uwierzyli.

Tuż przed rozstrzygnięciem zmagają Busha seniora i Billa Clintona prokuratura oskarżyła ekssekretarza obrony Caspara Weinbergera o nielegalną sprzedaż Teheranowi pocisków rakietowych. Bush został pośrednio włączony w aferę Iran-Contras i przegrał. Najbardziej przykre zaskoczenie spotkało Hillary Clinton, kiedy dyrektor FBI ujawnił, że prowadzi kolejne śledztwo w sprawie łamania przez nią procedur ochrony tajemnic państwowych. Notowania demokratki spadły i już się nie podniosły, wygrał Donald Trump. Natomiast w trakcie pojedynku Cartera z Reaganem niespodzianki bał się ten drugi. Spowodowany zwolnieniem Amerykanów wybuch patriotycznego entuzjazmu – umiejętnie podsycanego

przez Białą Dom – mógł przesłonić wyborcom fatalny stan gospodarki.

Czy rzeczywiście? Ekspertcy są podzieleni. Lata 70. XX w. to okres degeneracji idei, które przyświecały buntownikom poprzedniej dekady. Epoka disco upływała pod znakiem coraz brutalniejszych wyczynów terrorystów wszelkiej maści, a także zamachów stanu, wojen domowych, gwałtownej dekolonizacji Afryki, eksplozji demograficznej Trzeciego Świata, stagflacji, bezrobocia, dwóch potężnych kryzysów paliwowych. Światowy zastój gospodarczy boleśnie odczuł nawet Edward Gierek, a co dopiero mówić o przywódcach wybieranych demokratycznie. W Wielkiej Brytanii wygrała uznająca ekonomiczny neoliberalizm za lek na wszelkie bolączki kraju ortodoksyjna monetarystka Margaret Thatcher. Reagan był jej amerykańską bratnią duszą.

Krótko mówiąc, globalne makrotrendy nie sprzyjały demokracji, choć z drugiej strony dawny aktor nie cieszył się w trakcie kampanii oszałamiającą popularnością. Większość obywateli USA – nawet umiarkowanych republi-

kanów – raził zwłaszcza ultrakonserwatywny program społeczny Reagana. Według profesora historii na Harvardzie Carla M. Brauera „analiza sondaży przeprowadzanych przed wyborami i bezpośrednio po nich dowodzi, że stanowiły one plebiscyt popularności Cartera, który prezydent sromotnie przegrał”. Głównie wskutek niewolnienia zakładników.

Demokraci już wówczas podejrzewali prawicę o zakulisowe knowania. Rewelacje Barnesa dowodzą, że mieli rację. Pytanie brzmi, czy oferty składane bliskowschodnim przywódcom przez Connally’ego faktycznie przełożyły się na decyzje podejmowane w Teheranie. Trudno orzec. Nie żyje żaden spośród polityków, który rozmawiał z gubernatorem Teksasu. Tylko dwaj przed śmiercią przyznali, że tego typu propozycje padały: premier Izraela Icchak Szamir oraz przewodniczący OWP Jasir Arafat. Wygląda na to, że rację miał Gary Sick: mętnej i zawikłanej sprawy nigdy nie da się ostatecznie wyjaśnić. **N**

ANALIZA SONDAŻY
PRZED WYBORAMI
I TUŻ PO NICH
DOWODZI,
ŻE PLEBISCYT
POPULARNOŚCI
CARTER
SROMOTNIE
PRZEGRĄŁ
GŁÓWNIEM WSKUTEK
NIEWOLNIENIA
ZAKŁADNIKÓW

IZRAEL W STANIE WRZENIA

DEMOKRACJA ALBO REBELIA

To be or not to Bibi? Ten transparent, który widzę na demonstracji w Tel Awiwie, najlepiej oddaje to, co dzieje się w Izraelu. Bibi, czyli premier Netanjahu, stał się egzystencjalnym zagrożeniem dla kraju

TEKST I ZDJĘCIA JACEK PAWLICKI, TEL AWIW

Demonstracja w Tel Awiwie to skrzyżowanie protestu z futbolową fiestą i karnawałem demokracji. To roztańczone, głośne i kolorowe widowisko, które tworzą wirujące flagi, strzelające w niebo race, pochodnie, tam-tamy i wuwuzele, 1 kwietnia 2023 r.



Trzynasta z rządu wielka demonstracja obrońców demokracji ma się zacząć za dwie godziny. Jest sobota, dochodzi piąta po południu. Słońce jeszcze mocno grzeje, więc w piaskownicy na środku placu Habima w Tel Awiwie dzieci stawiają babki. Rodzice maluchów popijają latte. Pachną bajgle z pobliskiej Babka Bakery. Z głośników wbudowanych w ławki sączy się muzyka klasyczna – w końcu plac Habima to kulturalne centrum Tel Awiwu. A od trzech miesięcy także centrum masowych demonstracji w obronie demokracji.

DEMOKRACJA W PIASKOWNICY

IZRAELCZYCY ZACZĘLI WYCHODZIĆ NA ULICE W STYCZNIU, kiedy prawicowo-religijna koalicja ogłosiła projekty ustaw zmierzających do zwiększenia kontroli rządu nad Sądem Najwyższym. Największe demonstracje odbywają się w sobotnie wieczory. Ale dziś, niedługo przed kolejnym protestem, atmosfera na placu jest idylliczna. Patrząc, jak trzyletni na oko chłopiec usypuje kopczyk z piasku za pomocą kawałka tekturowego transparentu. Tak, widziałem ten poster trzy dni wcześniej w czasie demonstracji, było na nim hasło: „Demokracja albo rebelia”.

Wtedy kilkaset osób w różnym wieku przyszło pod Teatr Narodowy głównie po to, by wyrazić swój sprzeciw wobec planów powołania Gwardii Narodowej, która podlegałaby Itamarowi Ben-Gewirowi, ministrowi bezpieczeństwa narodowego. Powiewali izraelskimi i tęczowymi flagami. Tańczyli w rytm muzyki techno odtwarzanej z ogromnych głośników, krzycząc: „Lo, lo, lo, hafaszizm lo jawo!” (Nie, nie, nie, fašyzm nie przejdzie!). Jakaś młoda dziewczyna przyniosła palestyńską flagę. Inna trzymała transparent: „Kryminaliści nie będą wybierać sędziów”. Była to aluzja do tego, że przywódcy dwóch mniejszych koalicyjnych partii byli w przeszłości zatrzymywani przez policję m.in. za akty terrorystyczne. Nad tłumem górował plakat ze znakiem drogowym „Dead end”. Wielu Izraelczyków ma poczucie, że ich ojczyzna znalazła się w ślepych zaułku.

Zgoda na gwardię Ben-Gewira, która jeszcze bardziej wścieczyła ludzi, była ceną, jaką Netanjahu musiał zapłacić liderowi skrajnie prawicowej partii Żydowska Siła, by ten nie wycofał się z koalicji po wstrzymaniu prac nad reformą sądownictwa. Ben-Gewir i drugi współkoalicjant Netanjahu, Becael Smotricz, lider ugrupowania Religijny Syjonizm i minister finansów, dążą do przejęcia kontroli nad Sądem Najwyższym, bo uznają go za bastion liberałów. Rozpad koalicji oznaczałby szóste wybory w ciągu trzech lat. Netanjahu straciłby nie tylko fotel premiera, ale i szansę na uniknięcie więzienia za korupcję i nadużycia władzy, o co został oskarżony kilka lat temu. Przejęcie kontroli nad sądownictwem pomogłoby mu wymigać się od zarzutów.

W poniedziałek 27 marca Bibi wstrzymał prace nad reformą. Zmusiły go do tego tygodnie protestów i strajk generalny ogłoszony przez Histadrut, największą izraelską federację związków zawodowych. Na kilkanaście godzin stanął dosłownie cały kraj, nie pracowały fabryki, w szkołach nie było lekcji, z lotniska Ben Guriona nie startowały samoloty. Dwa dni wcześniej miały miejsce największe demonstracje w historii Izraela – w kilkudziesięciu miastach na ulice wyszło ponad 600 tys. ludzi. Kroplą, które przelała czarę goryczy, było zdymisjonowanie przez premiera ministra obrony Joawa Galanta z Likudu (partia Netanjahu). Galant widząc, że konflikt wywołany forsowaniem zmian w sądownictwie zaczął być widoczny wśród wojskowych, wezwał rząd do wycofania się z reformy.

IZRAEL TO NIE POLSKA

KIEDY KILKANAŚCIE GODZIN PO TYCH WYDARZENIACH lądowałem w Tel Awiwie, wydawało mi się, że przeciwnicy Netanjahu wezmą decyzję o wstrzymaniu prac nad reformą za dobrą monetę.

Pamiętałem, jak skończyły się polskie protesty w obronie niezależności sądownictwa, i myślałem, że w Izraelu będzie tak samo: zmęczenie weźmie górę nad determinacją i ludzie przestaną wychodzić na ulice. Pierwszy mężczyzna z izraelską flagą napotkany niemal w samo południe na ruchliwej ulicy HaYarkon przekonał mnie, jak bardzo się myliłem. – Nie odpuszczymy. Będziemy protestowali tak długo, aż uznamy, że udało się uratować izraelską demokrację. Nie głosowałem na Netanjahu, ale w tym wszystkim nie chodzi o to, by pozbawić go władzy. Stanęliśmy w obronie naszych praw, które są zagrożone – odpowiedział na pytanie, czy to już koniec protestów.

Dan Dimenberg szedł właśnie oddać przyjacielowi flagę, którą pożyczył na sobotni marsz. Jest amerykańskim Żydem, ale mieszka teraz w Izraelu. Uczestniczy w protestach od wielu tygodni, bo – jak tłumaczy – rząd, osłabiając wpływy niezależnego sądownictwa, chce zyskać władzę niemal absolutną. – Oni mówią wprost, czego chcą: religijnej autokracji! Uważają, że mogą narzucać wszystkim swoją wolę, a przecież Izrael to wciąż demokratyczne, liberalne i pluralistyczne społeczeństwo – przekonuje.

Jak wielu przeciwników reformy boi się, że jeśli rząd zyska wpływ na wybór sędziów do Sądu Najwyższego, zaś Kneset prawo do odrzucania zwykłą większością jego orzeczeń, to religijna prawica zacznie likwidować podstawowe prawa i wolności, np. poszanowanie mniejszości seksualnych czy wolność słowa i zgromadzeń, które nie zostały zapisane w żadnej z ustaw. W Izraelu nie ma pisanej konstytucji, jej rolę pełnią quasi-konstytucyjne ustawy. Sąd Najwyższy ma dużo większe uprawnienia niż np. polski Trybunał Konstytucyjny, stoi nie tylko na straży prawa, ale i wolności obywatelskich.

”

TO NETANJAHU
JEST NAJWIĘKSZYM
ZAGROŻENIEM DLA
IZRAELA. JESTEŚMY
BLISKO WOJNY DOMOWEJ

YOSSI MELMAN, WETERAN
IZRAELSKIEGO DZIENNIKARSTWA



Uczestniczący w protestach Izraelczycy wykazują się niezwykłą inwencją w tworzeniu haseł. Szekspirowskie „być albo nie być” w wersji izraelskiej to mistrzostwo świata. Premier Netanjahu to „Dick-tator”

Słyszając, że przyjechałem z Polski, Dan szeroko się uśmiecha. – Widzieliśmy, co się stało w Polsce i na Węgrzech. Widzimy, co dzieje się w Turcji czy Meksyku. Rządy tych krajów korzystają z jednego podręcznika autorytaryzmu. Netanjahu i jego ministrowie chcieli zrobić to samo w Izraelu, myśleli, że nie dostrzeżemy śmiertelnego niebezpieczeństwa. Sądziłem, że wcisną nam kit, że taką jest wola większości. Przeliczyli się, bo Izraelczycy nie są głupi. Rządowa większość nie może decydować np. o tym, kto jest, a kto nie jest Żydem, albo czym jest prawdziwa rodzina. Jeśli im się uda, będą mogli wykluczyć z żydowskiej wspólnoty moje dzieci, a kiedyś i wnuki tylko dlatego, że nie będą dość ortodoksyjne.

Dimendberga podobnie jak większości demonstrujących nie zadowala wstrzymanie prac nad zmianami w sądownictwie, zwłaszcza że ceną za to jest umożliwienie Ben-Gewirowi stworzenie prywatnej siły militarnej. – W demokracjach nie tworzy się armii w armii. Gwardia Ben-Gewira wcześniej czy później zostanie użyta przeciwko nam. Oni tego nawet nie ukrywają – mówi.

Nieprzejednany jest też Amir Bengoren, osiemnastolatek, którego spotykam na zorganizowanym w środok tygodnia protestie w Tel Awiwie. – To dobrze, że głosowanie nad zmianami w sądownictwie zostało przełożone, ale w każdej chwili mogą do tego wrócić. Netanjahu twierdzi, że będzie negocjował szczegóły reformy z opozycją, ale to gra na czas. My, lud, chcemy utrzymania demokracji, chcemy, aby wartości, które stoją u podstaw Izraela, zostały nienaruszone. Rząd liczy się z nami, bo wciąż protestujemy – jeśli przestaniemy, to przegramy – przekonuje.

Na demonstracje ściągają osoby w różnym wieku – od kilkuletnich dzieci w towarzystwie rodziców po osoby starsze czy niepełnosprawne. Przeważają jednak ludzie w średnim wieku i młodzież. 16-letni Yoav Graff zjawił się w sobotę pod Teatrem Narodowym, by – jak mówi ze śmiertelną powagą – „walczyć

o kraj i demokrację”. Co dla niego znaczy demokracja? – To wolność i możliwość życia w taki sposób, w jaki się chce. Gwarancja, że nikt nie będzie musiał się bać, bo myśli inaczej, niż chcieliby rządzący. Ta wolność jest zagrożona, wolność nas wszystkich. Odłożenie zmian w sądownictwie to żadne rozwiązanie. Domagamy się rezygnacji z reformy. W Polsce było podobnie – zaczęło się od zmian w sądownictwie, a skończyło dyktaturą. Nie chcę, by Izrael był jak Polska – podkreśla chłopak.

Abigail, rówieśniczka Yoava, jest pierwszy raz na demonstracji w Tel Awiwie, ale wcześniej brała udział w proteście w zamieszkałej przez ortodoksów Beer Szewie. Ta piękna dziewczyna o migdałowych oczach ma dodatkową motywację – nie chce, żeby Bibi był premierem. – Nie podoba mi się, że większość ministrów w jego rządzie to faceci, w tym wielu fanatyków religijnych. Netanjahu próbuje naruszyć równowagę pomiędzy władzami, a to przecież śmierć demokracji. Pragnę żyć w wolnym i demokratycznym kraju, w którym szanuje się prawa kobiet i mniejszości – tłumaczy. – Chcę mieć pewność, że nie będziemy dyktaturą – dodaje Abigail.

O tym, że przykład Polski stał się dla Izraela przestroga, słyszę niemal od każdego rozmówcy. – Na demonstracjach ludzie krzyczą: „Jariw Lewin, kan ze lo Polin” (Panie Lewin, to nie Polska). Lewin to minister sprawiedliwości, który firmuje reformę sądownictwa – mówi mi Michał Handelzalc, tłumacz, krytyk literacki, który przed laty kierował dodatkiem literackim tygodnika „Haarec”. Twierdzi, że to, co robi izraelski rząd, to niebezpieczna prywatyzacja państwa, ale ludzie zachowują się z klasą. – Ludzie są zawzięci, ale nie ma w nich złości. Obawiam się jednak, że im dłużej będą trwały protesty, tym więcej będzie nerwowości. Zwolennicy prawicy zostali wezwani do boju, więc nie wiadomo, co będzie dalej. Być może Żydzi są narodem wybranym, ale nawet w narodzie wybranym trafiają się wredni ludzie – mówi.

MOJŻESZ Z ROSJI

SOBOTA 1 KWIEŃNIA, DOCHODZI 19.00. Na placu Habima zaczyna się robić gęsto. Ludzie są wyluzowani i uśmiechnięci, jakby szli na party. Wielu ma transparenty z oryginalnymi hasłami, np. „Dick-tator”, „Begin, End”, a pod tym portrety Menachema Begina, pierwszego prawnicowego premiera Izraela, i Netanjahu. Po placu spaceruje małżeństwo z małym dzieckiem w wózku, do którego przytwierdzona jest izraelska flaga. Flagi sprzedaje Arab, wokół niego tłoczy się tłumek chętnych. Z powodu nagłego wzrostu popytu na narodowe barwy w ciągu ostatnich trzech miesięcy w Izraelu wyprodukowano pół miliona flag. Jeszcze do niedawna wystarczał ich import z Chin.

Sobotnie demonstracje mają wiele z karnawału. Dużo osób ma teatralne kostiumy, maski. Widzę kogoś przebranego za Mojżesza. Macha do przechodniów i rozdaje macę. – Mojżeszu, zjawiłeś się w Tel Awiwie, by ocalić naród Izraela? – ironizuję. – Ratuję izraelską demokrację. Zbliża się Pesach, a to święto wolności. Upamiętnia wyjście Żydów z Egiptu, gdzie byli niewolnikami faraona. Netanjahu chce stać się nowym faraonem. Wiem, co dzieje się z państwem, w którym długo rządzi jakiś faraon. Straciłem już jeden kraj, nie chcę stracić drugiego – odpowiada. – Nazywam się Michail Rychlin, w październiku przyjechałem z Rosji.

Plac wypełnia się ludźmi. Tłum faluje, rozświetlają go czerwone pochodnie. W uszach pulsuje rytmiczny dźwięk bębnow. – Demokracja, demokracja, demokracja – krzyczą demonstranci. Dwie kilkuletnie dziewczynki próbują przekrzyczeć tłum, ich rówieśnik stojący obok ma lepszy sposób na zwrócenie na siebie uwagi – skanduje „de-mo-kra-cja”, waląc drewnianą łyżką w patelnię.

START-UP DEMOKRACJI

BYŁEM W TEL AWIWIE NA TRZECH RÓŻNYCH DEMONSTRACJACH. Nie mają jednego lidera, marsze w całym kraju organizuje 150 różnych organizacji społecznych. W specjalnej aplikacji można sprawdzić, gdzie akurat trwają protesty. – Te demonstracje to wielki społeczny start-up – mówi mi Sever Plocker, publicysta „Jedi’ot Acharonot”, jednego z największych dzienników w kraju. Przyznaje, że jako nieuleczalny optymistą uważa, że demonstranci wygrali tę rundę. – To nie był może nokaut, ale wygrana na punkty – tłumaczy.

Straszenie dyktaturą Plocker uznaje za mocno przesadzone. – Dyktatura nie rodzi się sama z siebie. Izrael nigdy nie miał dyktatorskiej przeszłości. Żydzi cenią wolność, młodzi wiedzą, że nie ma prosperity bez liberalnej demokracji. Netanjahu nie jest typem dyktatora, więc cofnął się pod naciskiem ulicy. Teraz wije się jak piskorz, bo chce zachować władzę – tłumaczy. – Gdyby w Polsce były takie demonstracje jak u nas, pozostalibyście demokracją – dodaje.

Yossi Melman, weteran izraelskiego dziennikarstwa, autor kilku książek o Mosadzie, nie jest aż takim optymistą. Uważa, że Izrael znalazł się w punkcie zwrotnym – albo prawnicowy rząd wycofa się z reformy osłabiającej Sąd Najwyższy, albo kraj pogrzeże się w chaosie. – To Netanjahu jest największym zagrożeniem dla Izraela. Jesteśmy blisko wojny domowej – mówi. Tłumaczy, że społeczeństwo jest głęboko podzielone, a policja, armia, służby specjalne rozdarte pomiędzy lojalnością wobec rządu i Sądu Najwyższego.

Oriel Zarecki, rabin mieszkający 40 km od Tel Awiwu, przekonuje mnie, że do rozlewu krwi nie dojdzie, bo obu stronom zależy na dobru kraju, choć zupełnie inaczej to dobro pojmują. – Zwolennicy lewicy i prawicy przynoszą na demonstracje te same flagi. Premier Netanjahu ma 76 lat i chce przejść do historii jako mąż stanu. Nasi wrogowie cieszą się z tych podziałów. Wierzę jednak, że dojdzie do kompromisu – mówi. Dlaczego jest

za reformą sądownictwa? – Lewica kontroluje Sąd Najwyższy, to jej ostatni bastion. Nie jest dobrze, że sędziowie, którzy wybierają samych siebie, mogą odrzucać ustawy przyjęte przez wybrany demokratycznie Kneset – mówi.

Rabin Joe Lowinger, którego zagaduję w samolocie do Tel Awiwu, jest bardziej radykalny. – Sąd Najwyższy to liberalna dyktatura. Wybory wygrała prawica, ma więc społeczny mandat, by dokonać zmian w sądownictwie. Protesty organizuje wojująca lewica. Opowieści o wojnie domowej to fake newsy – mówi dziwną mieszaniną angielskiego i jidysz.

INNY KRAJ

IZRAELCZYCY POWIADAJĄ, ŻE TEL AWIW SIĘ BAWI, HAJFA PRACUJE, A JERUZOLIMA SIĘ MODLI. Jeruzolimę, szczególnie tę starą, od Tel Awiwu dzielą lata świetlne. Ortodoksyjni Żydzi odwiedzający najświętsze miejsce

judaizmu nie chcą rozmawiać o protestach. Arabowie i Palestynczycy traktują moje pytania z jeszcze większą podejrzliwością. Jedyne Mohamed, właściciel sklepika z mydłem i powidłem przy Bramie Damasceńskiej, mówi: – Słyszałem o protestach, ale one nas zupełnie nie obchodzą. Padamy ofiarą przemocy bez względu na to, kto rządzi.

Chodząc po wąskich uliczkach Jeruzolimy, miałem wrażenie, jakbym znalazł się po drugiej stronie lustra. Zrozumiałem, co miała na myśli ocalała z Holocaustu pisarka Mira Krum-Ledowska, kiedy tłumaczyła mi, że Izrael to tygiel religii, kultur i epok. – Nie da się stworzyć jednego narodu izraelskiego. Jest ich co najmniej kilka – mówiła. Protesty zmobilizowały i zjednoczyły Izrael nowoczesny, liberalny, który wyszedł z cienia innego Izraela, zapatrzony w przeszłość. **N**



MY, LUD, CHCEMY
UTRZYMANIA
DEMOKRACJI. RZĄD LICZY
SIĘ Z NAMI, BO WCIĄŻ
PROTESTUJEMY
– JEŚLI PRZESTANIEMY,
TO PRZEGRAMY

AMIR BENGOREN, OSIEMNASTOLETNI UCZESTNIK
PROTESTÓW W TEL AWIWIE




wydanie specjalne

Newsweek HISTORIA

80. rocznica powstania w getcie warszawskim

W numerze m.in.:

- **Historia getta**, powstańczego zrywu oraz jego przywódców
- Niezwykłe odkrycie – **klisze z getta** znalezione na strychu po 80. latach
- Pierwsza tajna organizacja polskich lekarzy, którzy pomagali Żydom ukrywać się po „aryjskiej” stronie
- **Premierowa wystawa** „Wokół nas morze ognia” to istny podziemny świat kryjówek w getcie

Od 13 kwietnia szukaj w salonach prasowych, na Litera.pl i czytaj w subskrypcji  **onet premium**

Historia do potęgi

Newsweek



Włoci w Rzymie. Włoci protestowali przeciwko premierowi Silvio Berlusconiemu, 5 grudnia 2009 r.



Były prezydent Brazylii (2003-2011) Luiz Inácio Lula da Silva niesiony na rękach po tym, jak wyszedł z więzienia po półtorarocznym pobycie za korupcję, São Paulo, 9 listopada 2019 r.

DONALD TRUMP Z 34 ZARZUTAMI

Aresztować prezydenta

Bardzo wiele demokracji postawiło w stan oskarżenia swego przywódcę. **W dzisiejszym świecie to norma**

TEKST MACIEJ NOWICKI

Zapowiadając swoje aresztowanie, Donald Trump napisał w poście na portalu Truth Social: „Tak się dzieje w krajach Trzeciego Świata, którymi niestety USA szybko się stają!”. Następnego dnia już o tym przesądził: „USA są teraz krajem Trzeciego Świata”.

Osoby z najbliższego otoczenia ujmowały to podobnie, przedstawiając zarzuty wobec byłego prezydenta jako dowód politycznej degradacji państwa. Rzeczniczka Trumpa Liz Harrington porównała Amerykę Bidena do republiki bananowej. Jego syn Donald Trump junior oświadczył, że oskarżenie to „komunistyczny poziom gów...a. Czegoś podobnego wstydziliby się Mao, Stalin, Pol Pot”.

Ale nie tylko zwolennicy Trumpa mieli poczucie, że stało się coś wyjątkowego. „Amerykanie obudzą się w innym kraju. Przed dzisiejszym wieczorem prezydenci w tym kraju byli królami. Teraz już nie są” – napisał historyk amerykańskiej prezydentury Michael Beschloss. Z jednej strony było jasne, że prezydent USA musi respektować prawo. Z drugiej strony postawienie go przed sądem wydawało się czymś całkowicie nienaturalnym. To właśnie dlatego Gerald Ford ułaskawił w 1974 roku swojego poprzednika Richarda Nixona pomimo wyraźnych dowodów na popełnienie przestępstwa w aferze Watergate.

W AMERYCIE TABU, NA ŚWIECIE NORMA ALE TO, CO AMERYKANIE UWAŻAJĄ ZA TABU, W INNYCH CZĘŚCIACH ŚWIATA JEST CORAZ CZĘSTSZE. „To zawsze wielka sprawa, gdy były prezydent lub premier zostaje oskarżony. Ale w większości demokracji jest to normalne, gdy są wiarygodnie oskarżeni o poważne przestępstwa. Systemy polityczne muszą sobie z tym radzić” – podkreśla Steven Levitsky, profesor teorii rządu na Harvardzie. Według amerykańskiego portalu Axios Research od początku XXI wieku co najmniej 76 krajów uwięziło lub oskarżyło swoich byłych przywódców. Wiele z nich to demokracje o ugruntowanej pozycji – jak Brazylia, Izrael, Francja czy Korea Południowa. I niektóre z tych państw na skali praw politycznych i swobód obywatelskich plasują się w niezależnych rankingach wyżej niż USA.

Według amerykańskiego portalu Axios Research od początku XXI wieku co najmniej 76 krajów uwięziło lub oskarżyło swoich byłych przywódców

Były premier Islandii Geir Haarde został nawet skazany za zaniechania w trakcie kryzysu finansowego w 2008 roku. Innymi słowy, stanął przed sądem nie za przekupstwo, ale (jako jedyny w demokratycznym świecie) za to, że źle wykonywał swoją pracę.

Nicolas Sarkozy to drugi współczesny prezydent Francji, który został uznany za winnego korupcji – po Jacques’u Chiracu dziesięć lat wcześniej za łapówki i próbę przekupienia sędziego. Niektórzy obserwatorzy uważali, że kara trzech lat więzienia dla Sarkozy’ego była zbyt surowa oraz umotywowana politycznie. Ale działania podjęte przez sądy zostały zaakceptowane. „Wiele osób zgadza się z decyzją sędziego” – tłumaczył Arnaud Mercier, profesor na Amerykańskim Uniwersytecie w Paryżu. „Nawet spora część prawicowego elektoratu Francji obojętnie zareagowała na wyrok”.

Kluczem była reputacja francuskiego sądownictwa. Sędziowie są tam urzędnikami państwowymi całkowicie niezależnymi od władz politycznych. To oni decydują, które sprawy zasługują na zbadanie, to oni nadzorują dochodzenia i zbieranie dowodów, a także orzekają. Mają wielką władzę i używają jej we właściwy sposób.

NIKT NIE STOI PONAD PRAWEM?

„**OBAWY, ŻE POLITYKA DANEGO KRAJU ZOSTANIE PODPORZĄDKOWANA**

KONTROWERSJOM związanym z oskarżeniem byłego przywódcy lub że procesy spowodują erozję norm demokratycznych, są często przesadzone” – podkreśla analityk Joshua Keating.

W Brazylii Luiz Inácio Lula da Silva, prezydent z największej partii politycznej, został aresztowany po odejściu z urzędu. Był najpopularniejszym przywódcą w historii kraju, ze wskaźnikami poparcia na poziomie 80 proc. W kwietniu 2015 roku wszczęto śledztwo w sprawie korupcji i wykazano, że Lula brał łapówki, które finansowały jego partię oraz kampanię prezydencką. „Nie ma wątpliwości, że złamał pewne zasady, ale niemal wszyscy brazylijscy politycy robili to samo, a inni prawdopodobnie jeszcze gorsze rzeczy” – podkreśla politolog Justin Vaïsse. Lula został skazany na 9 i pół roku więzienia. A potem nastąpił wyraźny zwrot akcji: w 2021 r. unieważniono wyrok, gdy Sąd Najwyższy wykazał, że sędzia był stronniczy. W październiku 2022 r. Lula ponownie został wybrany na prezydenta.

Oskarżenia wobec Luli były częścią trwającego od lat antykorupcyjnego śledztwa, w wyniku którego uwięziono dziesiątki polityków. Dziś nawet główny prokurator tego śledztwa jest oskarżony o korupcję.

„W zależności od perspektywy kryzys korupcyjno-sądowy w Brazylii pokazuje, że nikt nie stoi ponad prawem lub że rząd jest zawsze skorumpowany. Albo jedno i drugie” – zauważa nieco cynicznie politolog James Long. Ameryka Łacińska jest regionem, w którym od początku XXI wieku najwięcej krajów uwięziło lub oskarżyło byłych przywódców. W Peru tylko jeden prezydent w latach 1985-2018 nie został aresztowany lub oskarżony.

W Korei Południowej zarzuty korupcyjne ciążyły nad prezydenturą przez dekady. W końcu – w wyniku rozległego skandalu korupcyjnego w połowie poprzedniej dekady – setki tysięcy obywateli wyszły na ulice, wzywając do odwołania ówczesnej prezydent Park Geun-hye. W 2017 roku została pozbawiona urzędu i skazana na 24 lata więzienia za korupcję i nadużycie władzy. A w kilka lat później na długoletnie wię-

zienie skazano jej poprzednika pod zarzutem łapówkarstwa i defraudacji.

„Południowi Koreańczycy są absolutnie nietolerancyjni wobec korupcji” – tłumaczy Laura Thornton z German Marshall Fund. „Mają niewiarygodnie zmobilizowane społeczeństwo obywatelskie. A jednocześnie zaufanie do sądów i innych instytucji jest bardzo wysokie”.

W Korei Południowej śledztwa w sprawie byłych prezydentów wzmocniły rządy prawa. Ale nie zawsze tak to działa. Tam, gdzie wiara w sędziów jest znacznie słabsza, wiele osób na wstępie założy, że prezydent i premier jest ścigany z powodów politycznych. Zwłaszcza gdy oskarżony w kółko powtarza, że wszystko jest wynikiem politycznej intrygi.

Oskarżenie Trumpa dało mu politycznego kopa. Gdyby wybory prezydenckie odbyły się dzisiaj, zdobyłby 41 proc. głosów. Joe Biden 42 proc.

Tak było choćby z Silvio Berlusconi. Był premierem Włoch trzykrotnie. W ciągu niemal całej swojej kariery w biznesie i polityce odpierał naprawdę zawrotną liczbę zarzutów kryminalnych – łącznie 35. Ostatnio w lutym został zwolniony z zarzutu przekupywania świadków we własnym procesie w sprawie prostytucji nieletnich. I tylko raz został skazany: za oszustwa podatkowe na rok prac społecznych w domu spokojnej starości. W wieku 86 lat nadal pozostaje ważnym graczem we włoskiej polityce w ramach koalicji rządzącej.

Czy to oznacza, że lepiej było od razu zostawić go w spokoju? „Patrząc na przypadek Berlusconiego, nadal twierdzę, że należało go ścigać, nawet jeśli przedłużyło to jego życie polityczne” – twierdzi włoska politolog Nathalie Tocci.



A JEŚLI TO POMOŻE TRUMPOWI?

IZRAEL UWIĘZIŁ BYŁEGO PREMIERA EHUDA OLMERTA ZA OSZUSTWA i byłego prezydenta Mosze Kacawa za gwałt. Nie nastąpiło żadne trzęsienie ziemi, podkreślano wręcz, że jedynie wzmocniło to izraelskie instytucje. A potem zaczęła się sprawa Benjamina Netanjahu. W 2016 r. postanowiono sprawdzić doniesienia, że premier miał w zwyczaju wyświadczenie przysług bogatym biznesmenom w zamian za prezenty – zarówno materialne, jak i niematerialne. Doniesienia sprawdziły się, postanowiono postawić mu zarzuty. Tuż przed tym Netanjahu zwrócił się do narodu na żywo w telewizji, tłumacząc, dlaczego nie zamierza składać dymisji: „Czuję głęboki obowiązek dalszego przewodzenia Izraelowi. Wiecie, że robię wszystko, mając na uwadze tylko jedną rzecz – dobro kraju. Nic mnie nie skłoni do rezygnacji z tej świętej misji”.



Nicolas Sarkozy, były prezydent Francji, opuszcza sąd po ostatnim dniu procesu o korupcję i handel wpływami, Paryż, 10 grudnia 2020 r.

Wielu uznało, że decyzja Netanjahu, żeby trzymać się władzy (w przeciwieństwie do Kacawa i Olmerta, którzy od razu podali się do dymisji po postawieniu zarzutów), to znak narodowej hańby. Ale Netanjahu utrzymywał, że jest niewinny, a cała sprawa to „polowanie na czarownicę”, wymierzone w niego i całą izraelską prawicę. Mimo że to on sam wyznaczył szefa izraelskiej policji i prokuratora generalnego odpowiedzialnego za śledztwo.

Sprawa podzieliła jeszcze bardziej i jeszcze bardziej zradycalizowała izraelskie społeczeństwo. Połowa Izraelczyków zgadza się z Netanjahu, uważając, że padł on ofiarą spisku. Połowa deklaruje nawet, że nienawidzi sędziów i całego systemu prawnego. Sam Netanjahu pod koniec zeszłego roku powrócił do władzy. I w ostatnich tygodniach jego nowa koalicja postanowiła dokonać reformy

systemu prawnego, w brutalny sposób naruszając jego niezależność. Jednym z domyślnych skutków reformy (która wywołała największe demonstracje w historii Izraela) byłoby zastopowanie procesu przeciwko Netanjahu.

To wszystko spowodowało, że niektórzy analitycy doszli do wniosku, że Izrael miałby się lepiej, gdyby zrezygnowano z prowadzenia sprawy przeciwko Netanjahu, bo nie doszłoby do tak wielkiego kryzysu. Inni uważają, że jest dokładnie odwrotnie – jeśli system prawny odwraca oczy od podobnych spraw, koniec będzie taki jak w Polsce czy na Węgrzech: demokracja w Izraelu zostanie znacznie osłabiona.

Ataki Netanjahu na system sądowny, policję i media przebiegały według tego samego schematu co podobne ataki Trumpa. I podobnie jak Izrael, Stany Zjednoczone są krajem niezwykle po-

dzielonym, gdzie każda ze stron wierzy w zupełnie inną prawdę. Tuż po wygranej Joe Bidena w wyborach prezydenckich Eric Posner, jeden z najwybitniejszych amerykańskich prawników, tłumaczył, że oskarżenie Trumpa jest bardzo złym pomysłem: „Śledztwo, potencjalne oskarżenie i proces dałyby cyrkowi Trumpa centralne miejsce w amerykańskiej polityce na następne kilka lat, zasilając politycznie roszczenia do męczeństwa”. I taki jest na razie pierwszy efekt oskarżenia Trumpa – dało mu ono politycznego kopa, którego tak potrzebuje przed hipotetycznym pojedynkiem z Bidenem w roku 2024. Jego przewaga nad Ronem DeSantisem w walce o republikańską nominację prezydencką jest większa niż kiedykolwiek. Nie ulega wątpliwości, że Trump znowu powróci. I możliwe, że nie tylko jako republikański kandydat. Gdyby wybory odbyły się dzisiaj, Trump zdobyłby 41 proc., a Biden 42 proc. głosów.

Dlatego prawnicy Trumpa będą przeciągać sprawę w nieskończoność i nie jest pewne, czy zostanie kiedykolwiek skazany. Ciężar na nim 34 zarzuty kwalifikowane jako wykroczenie. I prokurator Alvin L. Bragg musi udowodnić, że „zamiar oszukania” służył innemu poważniejszemu przestępstwu: oszustwu podatkowemu lub próbie wpływu na wynik wyborów. Jedni prawnicy twierdzą, że powinno być to stosunkowo łatwe, inni twierdzą coś zupełnie odwrotnego.

Nie wiadomo też, jakie skutki będzie miał proces Trumpa dla samej Ameryki. Sprawi, że demokracja stanie się silniejsza? Bo Amerykanie raz na zawsze przyjmą do wiadomości, że ich prezydent nie może stać ponad prawem. Czy raczej – jak twierdzi konserwatywny dziennikarz Jonathan V. Last – doprowadzi on do czegoś na kształt wojny domowej: „Wspieranie rządów prawa dzisiaj nie będzie miało znaczenia, jeśli potem dojdzie do powszechnych, otwartych niepokojów obywatelskich, które podważą legitymację całego systemu politycznego. To może być kryzys, który potrwa całe pokolenie”. **N**

maciej.nowicki@newsweek.pl



BIZNES SUROGACYJNY

W fabryce dzieci

„Mamy badanie DNA państwa synów. Wynika z niego, niestety, że jeden z chłopców został podmieniony”

TEKST ANETTE DOWIDEIT, DMYTRO DRABYK, ILYA GRIDNEFF,
ALFRED HACKENSBERGER I EMILY SCHULTHEIS

Z usług kijowskiej kliniki surogacyjnej Biotexcom korzystają rocznie setki europejskich par, w tym kilkadziesiąt z Polski. Międzynarodowe śledztwo ujawnia, że regularnie może tam dochodzić do podmiany dzieci, fałszowania wyników badań DNA i złego traktowania matek zastępczych.

CO JEST NIE TAK?

MIEĆ DZIECKO. ANKE FEUERBACH MÓWI, że trudno wyjaśnić komuś, kto

tego wszystkiego nie doświadczył, co dzieje się w głowie, gdy to życzenie staje się coraz bardziej odległe. Kiedy ciało nie współpracuje, nie skutkują kuracje hormonalne, sztuczne zapłodnienie. Co jest z nami nie tak? Inni mogą mieć dzieci, dlaczego my nie możemy?

Ona i jej mąż Ingo, oboje po trzydziestce, odnoszący sukcesy zawodowe, w końcu zdecydowali się na krok etycznie kontrowersyjny i w Niemczech – podobnie jak w wielu innych krajach Europy – zakazany. Wynajęli surogatkę. Macieć

obcej kobiety w obcym kraju, aby nosiła dla nich dziecko. Dziś Anke mówi wprost: „Gdybyśmy z mężem wiedzieli, co się stanie... On by nigdy na to nie poszedł”.

Feuerbachowie, którzy występują tu pod zmienionym nazwiskiem, skorzystali z pomocy kijowskiej firmy Biotexcom. Przed wojną przychodziło tam na świat około 1000 dzieci rocznie. Kilkadziesiąt dla par z nad Wisły, którymi zajmują się konsultanci biegli mówiący po polsku.

Jednak firma ma na koncie rażące błędy, które nigdy nie powinny mieć miej-



sca w tak wrażliwym etycznie biznesie. Przez pół roku „Welt am Sonntag” wraz z Politico i przy wsparciu innych mediów – w tym tygodnika „Newsweek” – badały, jak często w kijowskiej firmie dochodziło do takich wypadków i dlaczego. Reportery rozmawiali z około tuzinem klientów z kilku krajów, z organizacjami pomocowymi, matkami zastępczymi oraz ze śledczymi z ukraińskiej Prokuratury Generalnej.

STANDARD CZY VIP?

PODZAS ZBIERANIA INFORMACJI WYŁONIŁ SIĘ NAM OBRAZ FIRMY, za którą stoi potężny człowiek. Jego biznes mimo ujawnionych spraw i oficjalnego śledztwa dalej świetnie się kręci. Feuerbachowie, gdy natrafili na Biotexcom, nie mieli o tym pojęcia.

Trzy lata temu, gdy wyczerpali już wszystkie inne możliwości, Anke po raz pierwszy powiedziała to słowo: surrogacja. Wahał się. Nie tak wyobrażał sobie zostanie ojcem.

A gdyby tak można było mieć dziecko, które byłoby podobne do niej i jej męża? Anke czytała o macierzyństwie zastępczym w sieci, drukowała świadectwa

innych par, broszury organizacji pomocowych i kładła je na stole obok męża. Początkowo był poirytowany, dochodziło do kłótni. Ale w końcu uległ. Wieczory spędzali przy laptopach, studiując strony internetowe agencji surogacyjnych. Większość budziła ich wątpliwości, ale jednej chcieli się przyjrzeć.

Strona Biotexcomu wydawała się wykonana lepiej niż inne, a oferta kliniki przejrzysta: klienci mogą wybierać spośród trzech wariantów, od standardowego po pakiet VIP, w którym można nawet określić płeć dziecka. Prosty wariant, na który zdecydowali się Feuerbachowie, kosztował ok. 35 tys. euro. Dziś jest o 5 tys. euro droższy.

Opiekunka klientów mówiąca po niemiecku wyjaśniła sceptycznej jeszcze parze, jak wygląda cały proces: pani Feuerbach otrzyma zastrzyki hormonalne w Niemczech, następnie poleci z mężem do Kijowa, gdzie w klinice Biotexcomu zostaną pobrane od niej jajeczka i zapłodnione w laboratorium spermą jej męża. Zarodki dostanie jedna z ukraińskich surrogatek, które ma w swojej bazie firma.

Opłata dla matki zastępczej jest wliczona w cenę całego kontraktu. Dostanie

około 20 tys. euro w kilku ratach – poinformowała doradczyni. W czasie ciąży para będzie na bieżąco informowana o postępach oraz dostanie zdjęcia USG dziecka. Na chwilę przed porodem Biotexcom zorganizuje Feuerbachom kolejny wyjazd do Kijowa i zakwateruje ich w pensjonacie lub w prywatnym mieszkaniu, aby mogli tam czekać na narodziny dziecka. Klinika weźmie też na siebie wszystkie formalności.

Anke mówi, że rozmowa ich uspokoiła. Bali się, że zrobią coś w Niemczech nielegalnego, że zostaną złapani i w najgorszym wypadku dziecko zostanie im odebrane. Doradczyni mówiła jednak przekonująco: w klinice rodzi się rocznie ponad setka dzieci dla niemieckich rodziców i wszystko idzie gładko. Gwarantowała, że dziecko wróci do domu wraz z rodzicami i na sto procent dostanie niemiecki paszport, mimo że biznes surogacyjny jest zaledwie tolerowany przez niemieckie i ukraińskie władze.

Amerykańska firma badawcza Global Market Insights szacuje, że w 2022 r. pary na całym świecie wydały na matki zastępcze i agencje pośrednictwa łącznie 14 mld dolarów, a suma ta z roku na rok rośnie.

W samych Niemczech około jedna na dziesięć par jest mimowolnie bezdzietna. Podobnie jest w Polsce.

Są dwa powody, dla których Ukraina jest tak ważnym rynkiem macierzyństwa zastępczego. Jeszcze przed wojną wiele kobiet żyło tam w tak wielkiej biedzie, że chętnie wynajmowały swoje ciała na kilka miesięcy, a przeszkody biurowe były niewielkie. Ukraińskie przepisy uważa się za jedne z najbardziej sprzyjających surogacji na świecie – to matka intencyjna, czyli klientka agencji, a nie matka biologiczna, czyli surogatka, zostaje wpisana do dokumentów.

Państwa, z których pochodzą klientki ukraińskich agencji, przysyłają na to oko. Jeżeli para z Niemiec czy Polski pojawi się w Kijowie z dzieckiem urodzonym w Ukrainie i przedstawi niezbędne dokumenty, urzędnicy nie będą zadawać dodatkowych pytań.

BIZNES SIĘ KRĘCI

KIJOWSKA SIEDZIBA BIOTEXCOMU znajduje się w spokojnej dzielnicy mieszkalnej. Brama prowadzi pod górę do kompleksu budynków: administracji, oddziałów i „kliniki”, gdzie w nowoczesnych jak na ukraińskie standardy gabinetach wszczepia się embriony zagranicznych par matkom zastępczym.

W grudniowy dzień ubiegłego roku, kiedy nasi reporterzy odwiedzają Biotexcom z kamerami, w klinice jest gwaro. Około 30 kobiet w ciąży czeka w holu na badania kontrolne. Sam szef Albert Toczyłowski pokazuje laboratorium i stacje chłodnicze, w których przechowywane są zarodki, potem magazyn spermy w piwnicy. Mówi, że pomimo wojny biznes znów się rozkręca. Tylko na marzec zaplanowano 30 porodów.

W marcu 2020 roku Feuerbachowie są zadowoleni. Już kilka dni po zapłodnieniu jajeczek otrzymują e-maila: znaleziono odpowiednią matkę zastępczą! Jest po trzydziestce i ma syna w szkole podstawowej (posiadanie własnych dzieci jest warunkiem koniecznym do zostania matką zastępczą w Ukrainie – oficjalnie, ze względów zdrowotnych, nieoficjalnie, aby kobietom nie było zbyt trudno rozstać się z dzieckiem po porodzie). Su-



Klientka Kliniki Biotexcom Tania, której zarodki zostały skradzione

rogatka ma na imię Lina i pochodzi z miasteczka pod Kijowem.

Wkrótce przychodzi kolejny e-mail: czy Feuerbachowie brali pod uwagę posiadanie bliźniąt? Na USG Liny widać dwie pulsujące kropki, bicie serc dwójki dzieci. Za urodzenie drugiego dziecka Lina ma otrzymać dodatkowo równowartość 3 tys. euro. Para na to przystaje.

Kiedy nadchodzi termin porodu, para jedzie do Kijowa i zajmuje pokój w pensjonacie należącym do Biotexcomu. Mieszkają tam podobne im pary: z Włoch, Anglii, Azji, a także inna para z Niemiec.

Lina rodzi zdrowe dzieci, Feuerbachowie nadają chłopcom imiona Anton i Louis. Nie poznają Liny osobiście, a ona nie ogląda dzieci po ich urodzeniu – mówi się, że tak jest łatwiej dla wszystkich.

Takiemu postępowaniu od dawna przyglądają się organizacje praw człowieka w Ukrainie. Bronią praw matek zastępczych i krytykują Biotexcom za to, jak traktuje kobiety. Po przebytych ciążach, jak mówi Maryna Legenka z ukraińskiej La Strady, firma zostawia kobiety same sobie, nawet jeżeli ciąży wpłynęły na ich zdrowie.

TYLKO DWA MAJĄ PRZEŻYĆ

REPORTERZY DOCIERAJĄ DO KILKU MATEK zastępczych związanych niegdyś z Biotexcomem. Tatiana Szułyńska, która szukała pomocy w La Stradzie, ma około 30 lat i mieszka w starym gospodarstwie w Czernihowie na północ

od Kijowa. W 2014 roku nosiła bliźnięta dla włoskiej pary i otrzymała za to równowartość 9 tys. euro – znacznie mniej niż to, co powiedziano Feuerbachom. Dlaczego? Jak tłumaczy La Strada i jak opisują to matki zastępcze, Biotexcom negocjuje z każdą kobietą indywidualnie. Najpierw firma oferuje równowartość 8 tys. euro, a potem, jeśli kobiety są sprytne, mogą wynegocjować nawet 10 tys., a czasem 12 tys. euro. Organizacja uważa jednak za mało prawdopodobne, żeby matka zastępcza Feuerbachów rzeczywiście otrzymała 20 tys. euro.

Tatiana opowiada, że Biotexcom wszczepił w jej macicę cztery embriony, a gdy wszystkie cztery się zagnieździły, zabił dwa z nich śmiertelnym zastrzykiem, bo tylko dwa miały przeżyć. Ale największy problem – jak mówi – zaczął się po urodzeniu bliźniaków. Usmiercone zarodki zostały zbyt późno usunięte, jej macica oraz jajniki musiały zostać wycięte, a kobieta zaraziła się żółtaczką typu C. Od Biotexcomu nie otrzymała żadnego odszkodowania.

Feuerbachowie nie mieli pojęcia o takich historiach. Ledwo przylecieli do Kijowa, a pielęgniarka z Biotexcomu wkłada im dzieci w ramiona. Po kilku dniach dostają teczkę z aktami urodzenia obu chłopców i zrzeczeniem praw do nich Liny. Jadą do ambasady, gdzie spotykają drugą niemiecką parę z dwoma chłopcami. Kilka minut później otrzymują paszporty dla dwójki dzieci.



Trzy tygodnie później Anke otrzymuje e-mail. Nie pochodzi z konta Biotexcomu, ale z prywatnej skrzynki pracownika, którego znają z pobytu w firmie. „Przykro mi, że muszę to powiedzieć. Mamy badanie DNA państwa synów. Wynika z niego, niestety, że jeden z chłopców został podmieniony”.

PRZYPADEK?

TEST WYKONANO DWA RAZY: ICH ANTON ZOSTAŁ NAJWYRAŹNIEJ PODMIENIONY zaraz po urodzeniu z Jannisem, jednym z dwóch synów innej niemieckiej rodziny.

To, co brzmi jak odosobniony przypadek, prawdopodobnie nim nie jest. Podczas zbierania materiałów zespół reporterów natknął się na listy z nazwiskami kilkuset par, które były klientami Biotexcomu w ostatnich latach: z USA, Niemiec i innych krajów Europy. Około tuzina zgodziło się porozmawiać. Historie niektórych brzmią jak horror.

Tania, która mieszka w Los Angeles, sześć lat temu wysłała z mężem do Biotexcomu zapłodnione jajeczka, ale w przeciwieństwie do Feuerbachów wybrana dla nich matka zastępcza nie zaszła w ciążę przy pierwszej próbie. – Potem przed długi czas nikt nie odpowiadał na nasze e-maile – opowiada Tania.

W końcu jej mąż, który musiał pojechać do Kijowa w interesach, wybrał się do kliniki. – Rozpytywał wszystkich, w końcu jeden z kierowników zajrzał do komputera, a potem powiedział: „Ach tak, jeste-

ście tą parą, która oddała swoje embriony Włochom!”. Męża zamurowało, zwróciliśmy się do Interpolu – opowiada Tania.

Dochodzenie na razie nie przyniosło żadnych rezultatów. Władze nie chcą odpowiedzieć dziennikarzom na pytania dotyczące sprawy. Tania i jej mąż nadal nie wiedzą, co stało się z ich embrionami – czy być może we Włoszech żyje dziecko z ich materiałem genetycznym?

Niemiecka klientka Anna-Lena, która również chce podać tylko swoje imię, opowiada o podobnych doświadczeniach.

BEZ EMPATII

SAM EVERINGHAM Z SYDNEY ZAŁOŻYŁ DZIESIĘĆ LAT TEMU firmę Growing Families, która doradza parom, a także samotnym mężczyznom z całego świata, którzy chcą zostać ojcami, prowadzi ich krok po kroku w tym emocjonalnie i prawnie delikatnym procesie. Ogólnie odradza parom Biotexcom.

– Z naszego punktu widzenia ta firma to fabryka dzieci, która działa bez większej empatii i w której dziwne historie zdarzają się cały czas – mówi.

Ponad dekadę temu zachodziło podejrzenie, że Biotexcom po prostu sprzedaje zagranicznym klientom ukraińskie niemowlęta, a nie dzieci urodzone z materiału genetycznego, który dostarczyły pary. Przypadek, który wzbudził te podejrzenia, miał miejsce w 2011 roku. Małżeństwu z Włoch za pośrednictwem Biotexcomu urodził się syn, którego włoskie media ochrzciły potem imie-

niem Tommy. Kiedy rodzice zarejestrowali Tommy'ego w lokalnym urzędzie w Brescii, pracownica biura spraw wewnętrznych nabrała podejrzeń: blond dziecko, które w niczym nie przypominało rodziców i urodzone w Kijowie? Policja zażądała testu DNA rodziców i dziecka.

Test wykazał, że Tommy nie był z nimi spokrewniony, chociaż ojciec wysłał swoją spermę do Biotexcomu. Dla pary konsekwencje były dramatyczne: władze odebrały im Tommy'ego i został on umieszczony w rodzinie zastępczej. Rodzice adopcyjni przez lata walczyli o niego w wielu instancjach. Bez powodzenia.

Sprawa trafiła na pierwsze strony gazet we Włoszech i w Ukrainie. W 2016 roku tamtejsza policja i prokuratura wszczęły śledztwo przeciwko firmie. Zarzut: handel ludźmi. Ponieważ Tommy nie był biologicznym synem Włochów, w świetle prawa para kupiła cudze dziecko i wywiozła je z kraju.

Toczyłowski, który podczas śledztwa przebywał tymczasowo w areszcie domowym w swojej willi w Kijowie, twierdził w wywiadach, że był to godny pożałowania odosobniony przypadek, błąd pracownika, który prawdopodobnie podmienił probówkę. Ostatecznie sprawa nie miała żadnych konsekwencji prawnych.

Jest jeden człowiek, który do dziś nie wierzy w fatalny odosobniony przypadek. To Jurij Kowalczyk, który prowadził śledztwo przeciwko Biotexcomowi i Toczyłowskiemu.

NACISKI

NASI REPORTERZY SPOTYKAJĄ SIĘ Z KOWALCZUKIEM w Kijowie w grudniu ubiegłego roku, wkrótce po wizycie w Biotexcomie. Przez rok, jak opowiada, on i zespół badali firmę. Podejrzewali, że Biotexcom, przynajmniej w przeszłości, często sprzedawał ukraińskie dzieci parom, zamiast misternie tworzyć je w probówce z materiałem genetycznym klientów i wykorzystywać zarodki matki zastępczej. Być może, jak podejrzewali śledczy, odbywało się to bez wiedzy ich klientów. Ale może nie.

– Aby udowodnić, że klienci mogą nie być genetycznie spokrewnieni ze swoimi dziećmi, potrzebowalibyśmy testów

Amerykańska firma badawcza Global Market Insights szacuje, że w 2022 r. pary na całym świecie wydały na matki zastępcze i agencje pośrednictwa 14 mld dolarów

DNA. Ale rodziny były rozproszone po całym świecie – opowiada Kowalczyk. – Były rozmowy z władzami Hiszpanii, Włoch i Wielkiej Brytanii o rozpoczęciu dochodzeń w 200 podejrzanych przypadkach, ale ostatecznie nie podjęto żadnych działań – mówi.

Mimo to ukraińscy śledczy zebrali tyle materiałów, że byli pewni, iż mogą postawić zarzuty. Chodziło na przykład o uchylanie się od płacenia podatków albo o to, że zamiast do matek zastępczych, zgodnie z umową, duża część pieniędzy należnych kobietom płynęła do kieszeni założyciela firmy.

– Wtedy Toczyłowski i jego adwokat poprosili o spotkanie. Powiedzieli mi, że jeżeli skieruję sprawę do sądu, przestanę pracować w prokuraturze – opowiada Kowalczyk. Wkrótce został odsunięty od sprawy.

Na jego pracę miało być ponad 100 skarg od wpływowych Ukraińców, w tym od członków parlamentu, o których wiadomo było, że znają Toczyłowskiego. Prokurator został zwolniony ze służby, a jego czterech współpracowników odsunięto od sprawy i przeniesiono. We wrześniu 2018 roku parlament uchwalił nowelizację ustawy, za którą lobbował Toczyłowski. Usunięto z kodeksu karnego zdanie, że za handel ludźmi uchodzi też wywiezienie z kraju „w ramach innego nielegalnego porozumienia biznesowego”. Śledczy Kowalczyk jest przekonany, że założyciel Biotexcomu miał wpływowych przyjaciół w parlamencie.

ALBERT MANN

PRZED LATY DZIENNIKARZE UKRAIŃSKIEJ PLATFORMY SLIDSTVO USTALILI, że przed Biotexcomem Toczyłowski założył inną firmę, która również zajmowała się macierzyństwem zastępczym: Biotex z siedzibą w Mołdawii. Ale że tam surogacja była zakazana, firma twierdziła, że pracuje w Rosji. Aby udowodnić, że jednak działała w Mołdawii, gdzie matki zastępcze można zatrudnić wyjątkowo tanio, dwóch reporterów podało się za jej klientów.

W Kiszyniowie spotkali się z dwiema osobami odpowiedzialnymi za firmę: Włoszką i Niemcem o nazwisku Albert

Mann. Oferta dotyczyła możliwości posiadania dziecka za 30 tys. euro, i to bez oddania materiału genetycznego przez ojca.

Po rewelacjach dziennikarzy firma zaprzestała działalności. Kilka miesięcy później, w 2010 roku, Biotexcom otworzył siedzibę w Kijowie. Adres e-mail był taki sam jak u mołdawskiego poprzednika. Dyrektorem zarządzającym nie był już Albert Mann, lecz Albert Toczyłowski, ale to ta sama osoba. Dlaczego obecny szef Biotexcomu wybrał wtedy niemie-

” **Kierownik zajrzał do komputera i powiedział: „Ach tak, jesteście tą parą, która oddała swoje embriony Włochom!”. Męża zamurowało, zwróciliśmy się do Interpolu**

TANIA Z LOS ANGELES

cko brzmiące nazwisko? Toczyłowski, urodzony w 1976 roku jako syn dyrektora cyrku we wschodniej Ukrainie, przez kilka lat mieszkał z rodziną w Kolonii i ma niemieckie obywatelstwo.

Zapytany o śledztwo przeciwko niemu, Toczyłowski nie wydaje się zaniepokojony. – Mówiłem to wiele razy: przypadek włoskiej pary był tragicznym wypadkiem indywidualnym, błędem ludzkim – opowiada.

Prokuratorzy od początku mieli swoją agendę. – Tak naprawdę nie interesowało ich to, czy dzieci są genetycznie dopasowane do swoich rodziców. Interesowało ich to, czy płaciliśmy wystarczająco duże podatki. Chcieli po prostu wydebić pieniądze z naszej firmy – mówi. Jak zapewnia, to nie on wywierał presję na prokuraturę, było odwrotnie. Kazano mu sprzedać firmę biznesmenom bliskim

wysokim rangą prokuratorom znacznie poniżej wartości rynkowej – w przeciwnym razie zagrożono mu 15 latami więzienia.

Śledczy Kowalczyk twierdzi, że to kłamstwo.

A co Toczyłowski ma do powiedzenia o sprawie Feuerbachów? Nie potrafi tego wyjaśnić, o tym konkretnym przypadku nie słyszał. – W naszej klinice standardowo wykonujemy testy DNA, więc pomyłki są niemożliwe – przekonuje.

Dla oceny prawdziwości jego słów ważne jest jedno: testy DNA robi Biotexcom lub laboratorium, któremu to zleca. Ale żaden organ nadzorczy nie sprawdza, czy są prawidłowe. Nie robią tego również ambasady krajów, do których trafiają dzieci. Ukraińska La Strada od lat domaga się wprowadzenia ustawy, która wymagałaby od władz oficjalnego sprawdzania testów. Bezskutecznie.

WSZYSTKO IM POWIEMY

PO OTRZYMANIU E-MAILA FEUERBACHOWIE WPADAJĄ W PANIKĘ. Szczęście w nieszczęściu, znają rodzinę, w której jest ich drugi, prawdziwy syn. Ona też otrzymała identyczną wiadomość.

Szybko dochodzą do porozumienia – podmiarki nie wolno zgłaszać do żadnych władz. Kto wie, czy dzieci, których tak pragnęli, nie trafią do rodzin zastępczych. Następnego dnia Feuerbachowie pakują czterotygodniowe dzieci do samochodu i jadą do drugiej rodziny na drugi koniec Niemiec. Wprowadzają się na kilka dni do pokoju gościnnego drugiej rodziny. Podmienione dzieci stopniowo przyzwyczajają się do prawdziwych rodziców.

Po powrocie do domu Feuerbachowie zachowują ostrożność. Po pierwsze, zmieniają pediatrę, bo poprzedni na pewno zauważyłby, że Anton nie jest tym samym dzieckiem co na ostatniej wizycie.

Dzisiaj chłopcy nie wiedzą jeszcze, jak przyszli na świat. Anke zapewnia, że później wszystko im opowiedzą. – Pokażemy im album niemowlęcy z pierwszych dni życia. I będziemy musieli powiedzieć: To, Anton, inny chłopiec, to nie jesteś ty – mówi Anke. **N**

WSPÓLPRACA: VIRGINIA KIRST, JAKUB KORUS, TIM STINAUER

NIE TYLKO BIZNES

Mikołaj Kunica

Jest interes do zrobienia



Mija pół wieku, a kultowy skecz Kabaretu Dudek okazuje się nieść prawdy uniwersalne, choć trzymając się literalnie biznesowej rozmowy Kuby Goldberga z Benkiem Rappaportem, prawda ta wybrzmiewa nieco à rebours. Interes, jaki proponuje Rappaport, wymaga głębszej znajomości handlowej materii. Otóż Friedmann ma dysponować wekslem Szapira z żyrem Glasza, którego rewindkatorem jest Barmsztajn. Weksel daje 20 procent prowizji na franko loco, a towar jest u Lutmana. W tym dealu pojawia się szkopuł: towar jest zajęty przez Honigmanna z powodu weksla Reuberga. Za ten weksel można dostać gwarancję od jego teścia Rozencwajga, tyle tylko że weksel przepisany został na Rozencwajgówką, a ona jest chora... i tu, jak się okazuje, jest pies pogrzebany. Potem rezolucyjny Kuba dopytuje głównie o to, ile na całym interesie można stracić, bo przecież wiadomo, jak się zarobi, to się zarobi. Ważniejsze, „ile trzeba mieć, żeby ryzykować w razie, że się straci?”.

Wygląda na to, że od tamtych czasów – a realia tej historii odnoszą się do okresu międzywojennego – tak wiele w istocie nie uległo zmianie. Inwestycyjny kabaret kręci się w najlepsze, o czym świadczą dane opublikowane właśnie przez rynkowego nadzorcę, czyli Komisję Nadzoru Finansowego. Ostrzegam, wyliczenia komisji są brutalne i wielu potencjalnych inwestorów mogą pozbawić resztki złudzeń. Ze statystyk KNF wynika, że coraz więcej osób próbujących swoich sił w spekulacjach na rynku walutowym ponosi straty. W 2022 r. pod kreską znalazło się ponad 79 proc. aktywnych klientów domów i biur maklerskich spekulujących na rynku Forex. Rok wcześniej ten odsetek sięgał 71,9 proc. Tyle, jeśli chodzi o relacje przegranych do wygrywających.

A o jakich stratach mowa? Tu też nie ma dobrych wiadomości. Średnia wtopa przypadająca na gracza tracącego na rynku walutowym to 17 570 zł, co w porównaniu z poprzednim okresem oznacza wzrost o ponad 3 tys. zł. Jeśli odnieść to do tempa utraty wartości pieniądza w czasie, to i na tym polu statystyczny przegrany również poległ. Jak wylicza KNF, łącznie ponad 112 tys. osób, rzucając rękawicę niewidzialnej ręce forexowego rynku, straciło prawie 2 mld zł. A co z wynikiem co piątego śmiałka, który z potyczki wychodził zwycięsko? Statystycznie

do zgarnięcia w 2022 r. było na głowę 17 444 zł. Biorąc po uwagę, że ok. 30 tys. graczy udało się zbierać łącznie 520 mln złotych, jak na dłoni widać, że przynajmniej dla krajowych graczy (to ich wyniki opisują dane KNF) jest to gra o sumie ujemnej, a zwycięzcą jest przede wszystkim żyjące z prowizji kasyno. Swoją drogą – w kasynie jest coraz tłoczniej. Przed 2020 r. liczba aktywnych klientów na rynku Forex nie przekraczała 50 tys., w 2021 r. było ich blisko 112 tys., a w ubiegłym roku – ponad 142 tys.

Są jednak rzeczy bezpieczniejsze od wyścigów z walutową ruletką. Ba, są nawet takie rynki, na których można przegrać, ale ostatecznie i tak wygrać. Zainteresowanym polecam produkcję rolną i poszerzenie kompetencji farmerskich. Jeszcze kilka dni temu wydawało się, że krajowi producenci zbóż zostaną z pełnymi magazynami, gdyż niesprzedane zapasy zbliżały

Są rzeczy bezpieczniejsze od wyścigów z walutową ruletką. Ba, są nawet takie rynki, na których można przegrać, ale ostatecznie i tak wygrać

się do poziomu 4 mln ton. Oczywiście, ziarno można było sprzedać, ale ze stratą, bo krajową produkcję wyparł import ukraińskiego surowca. Wcześniej rząd namawiał farmerów do zwiększonych wysiłków na odciążeniu zbożowym, więc zrobił się polityczny problem. Żaden polityk nie ma ochoty na wyborczym przednówku na blokady dróg, płonące opony i podobne atrakcje. A rolnik nie jest w ciemnię bity i z dymisji nawet jednego z najbardziej zaufanych ludzi Nowogrodzkiej się nie wyżywi. Dlatego z tym niesprzedawalnym zbożem trzeba było pilnie podziałać. Na wysokości zadania stanął szef składającego rezygnację (wina Unii) ministra rolnictwa premier Morawiecki, który „o tym, jak nie szkodzić lokalnym rynkom i ciężko pracującym rolnikom”, rozmawiał z przewodniczącą Komisji Europejskiej oraz komisarzem ds. rynku wewnętrznego. Efekt spektakularny. Polscy rolnicy dostaną z Brukseli blisko 30 mln euro na wyrównywanie strat, a nasz rząd będzie mógł podwoić tę kwotę. Wniosek? Zawsze jest interes do zrobienia. Trzeba tylko obstawiać zboże, a nie obce waluty. **N**

TYKAJĄCA BOMBA BANKOWA

PAWLAK, FRANKI I

Dlaczego kredytobiorcy walutowi mają ponosić koszty ratowania sektora bankowego? A gdzie są właściciele banków, którzy pozwolili na podejmowanie wysokiego ryzyka, brali dywidendy i nie potrafili doprowadzić do ugody z klientami? – pyta ekonomista DR BOGUSŁAW GRABOWSKI

ROZMAWIA KONRAD SADURSKI ILUSTRACJA PAWEŁ KUCZYŃSKI



KARGUL



NEWSWEEK: Jak do tego doszło, że za sprawą walutowych kredytów hipotecznych znaleźliśmy się w sytuacji, która zagraża stabilności sektora bankowego?

BOGUSŁAW GRABOWSKI: Pomysłodawcą i wykonawcą udzielania kredytów denominowanych i indeksowanych we frankach był sektor bankowy. Banki szukają sposobów zdobycia nowych klientów i niekiedy podążają za ich potrzebami. Ale przecież to nie z powodu tysięcy ludzi pukających do bankowych okienek stworzyły te kredyty. Wymyśliły je tak jak wiele innych produktów – na przykład polisolokaty czy lokaty jednodniowe – dla maksymalizacji zysku i osiągnięcia przewagi konkurencyjnej nad innymi bankami.

Nie wiem, który zaczął udzielać tych kredytów jako pierwszy. Ale to nie działo się przez przypadek, każdy następny bank, który wprowadzał ten kredyt, musiał być bardzo zdeterminowany. Przygotował analizy ryzyka, nowe rozwiązania księgowe, dostosował system informatyczny oraz przeszkolił dział sprzedaży i marketingu. To były duże koszty, a w perspektywie po wielokroć większe dochody od nowych klientów – taki był pierwotny motyw. Wina banków jest ewidentna, pytanie, czy to było działanie z premedytacją.

Jakie są okoliczności łagodzące?

– Trzeba dostrzec szerszy kontekst i oceniać podejmowane w tamtym czasie decyzje na podstawie ówczesnej wiedzy. Przyczyna wprowadzenia tych kredytów była prosta – podstawowe stopy procentowe banku centralnego Szwajcarii były znacznie niższe niż Narodowego Banku Polskiego. Oprocentowanie kredytów we frankach było więc dużo niższe niż złotych.

W tamtym czasie kurs franka do euro, czyli do głównej waluty, z którą nasza gospodarka jest powiązana, głównie poprzez gospodarkę niemiecką, był w miarę sztywny. Szwajcarski bank narodowy dbał o to, by nie ulegał zbyt dużym wahaniom. A złoty w tamtym czasie, na przełomie wieku, zyskiwał na wartości do innych walut. To normalne zjawisko, gdy słabiej rozwinięta polska gospodarka nadganiała dystans do gospodarek wyżej rozwiniętych. Ten proces nawet przyspieszył po wejściu Polski do Unii. Banki mogły więc przypuszczać, że będzie postępować silne wzmocnienie złotego w stosunku do franka i nie będzie specjalnych zagrożeń dla spłaty tych kredytów. Miesięczna rata była niższa, więc można było ich udzielać nawet klientom, którzy nie mieli zdolności, by dostać kredyt w złotych. A ci, którzy taką mieli, mogli brać kredyty o większej wartości w walucie. Przy okazji banki pozaszywały w umowach dodatkowe marże w sposób nie za bardzo widoczny dla klienta – zmuszały ich do kupowania franków po bieżącym kursie, który same ustalały. To był produkt samograj. Tylko że nad tym kredytem wisiało niestety dodatkowe ryzyko, ryzyko kursu walutowego. Banki na wszelki wypadek przerzuciły je w całości na klienta.

Nie powinny zadziałać wtedy jakieś bezpieczniki?

– Organy państwa nadzorujące instytucje finansowe, czyli Komisja Nadzoru Bankowego (potem przekształcona w Komisję Nadzoru Finansowego) czy Urząd Ochrony Konkurencji i Konsumentów, na początku w ogóle nie reagowały. A to w nadzorze finansowym powinno zasiadać kilku najwybitniejszych

ekonomistów, którzy mają jeździć po całym świecie, szkolić się i podpatrywać innych, by z wyprzedzeniem zabezpieczać nas i zgromadzone w bankach nasze oszczędności przed potencjalnym zagrożeniem. A nie reagować, gdy to ryzyko już się ziści.

Pomijane przez bankowców, ekonomistów i czołowych polityków ryzyko osłabienia złotego wybuchło, gdy w 2008 r. w USA zaczął się kryzys finansowy, który rozlał się na cały świat. Państwa przejmowały niewypłacalne banki, rosło ich zadłużenie, upadła Grecja. A u nas miesięczne raty kredytów we frankach gwałtownie wzrosły, w historii Polski nie było tak gwałtownego wzrostu wartości kapitału do spłaty. Ludzie nagle zobaczyli, że wzięli kilka lat wcześniej kredyt walutowy na mieszkanie warte 300 tys. zł i ono było mniej więcej tyle samo warte, ale mają do spłaty dwa razy większą kwotę. To była wielka konsternacja. Ale gdzie były wcześniej zarządy banków, ich rady nadzorcze, przecież one mają obowiązek odpowiadać i zarządzać podejmowanym ryzykiem, muszą wiedzieć, jak to robić.

Bank, jak każda inna firma, nastawiony jest na zysk, on jest tym większy, im większe podejmuje ryzyko. Kontrolowany przez irlandzki AIB Bank Zachodni WBK jako jeden z nielicznych nie udzielał kredytów walutowych, ale zaczął, gdy przyszedł do niego prezes Mateusz Morawiecki i powiedział: „Nie możemy być graczem, który gra tylko na jednej połowie boiska”.

– Widocznie przekonał swoją radę nadzorczą, by podjąć to ryzyko. Ja byłem prezesem banku, później prezesem firmy zarządzającej aktywami, którego właścicielami był fundusz amerykański Enterprise Investors. Na każdym spotkaniu z radą nadzorczą dostawałem pytanie: panie prezesie, dlaczego nie wprowadzacie takiego funduszu jak np. Idea TFI, przecież on tak bardzo dobrze się sprzedaje. Tłumaczyłem swojej radzie nadzorczej, że ten produkt niesie ze sobą zbyt duże ryzyko, a polski nadzór finansowy nie reaguje, bo działa dopiero, jak mleko się rozleje. Idea TFI wkrótce po tym upadła.

Ale podobne dyskusje toczą się na całym świecie, bo tak teraz wygląda sektor finansowy. Jeżeli bank jest notowany na giełdzie, to rada nadzorcza ocenia zarząd po wysokości zysku i cenie jego akcji. Jeśli prezes nie chce angażować się w ryzykowne przedsięwzięcia, to ma mniejszy zysk i krótkookresowe wyceny giełdowe jego banku spadają poniżej tych konkurencji. Wtedy często wylatuje na zbity pysk, zanim to ryzyko się zmaterializuje i okaże się, że prezes jednak działał rozsądnie.

Komisja Nadzoru Bankowego jeszcze w 2005 r. mówiła, że trzeba ograniczyć kredyty walutowe. Wtedy wiele banków i niektórzy politycy, m.in. Przemysław Gosiewski i minister finansów w ówczesnym rządzie PiS Zyta Gilowska, protestowali, że nie należy ograniczać wolności wyboru konsumentów.

– Nadzór finansowy zaczął sobie zdawać sprawę z tego, że wraz ze wzrostem liczby kredytów rośnie też ryzyko systemowe dla stabilności sektora bankowego. Wydawał bankom różne rekomendacje, które nie miały charakteru obligatoryjnego. W końcu zabronił udzielania klientom kredytów w walucie, w której nie zarabiają, ale na to wszystko było już za późno.



**BANKI WYMYŚLIŁY KREDYTY
I PRZERZUCIŁY RYZYKO
WALUTOWE NA KLIENTÓW,
ZAWIEDLI KNF, UOKIK,
I POLITYCY, A TERAZ JAROSŁAW
KACZYŃSKI MÓWI LUDZIOM:
IDŹCIE SOBIE DO SĄDU. TO POSZLI**

DR BOGUSŁAW GRABOWSKI

Politycy PiS wzięli jeszcze na sztandary franki w kampanii wyborczej w 2015 r. Wtedy koszty rozwiązania problemu szacowano na 40-60 mld zł. Kto miałby je ponieść? No oczywiście pazerny sektor bankowy i my to spowodujemy – machali szabelką politycy. A prezydent Andrzej Duda mówił, cytując: „Niech mi nikt nie powie, że nie da się przewalutować kredytów po kursie, po jakim były udzielone”. Przecież to były jakieś brednie. A później były tylko jakieś rachityczne ruchy, jak miliard złotych dla tych klientów, którzy stali się niewypłacalni i nie mogą

spłacać kredytów. To było zero-jedynkowe myślenie, bo jak ktoś był spauperyzowany ponad wszelką miarę i pluł krwią, by spłacać kredyt, to już nie mógł liczyć na wsparcie. Nie widać, by ktoś w ogóle czuł się odpowiedzialny za tę sytuację. Banki wymyśliły kredyty i przerzuciły ryzyko walutowe na klientów, zawiodły instytucje nadzoru, bo nie uchroniły nas przed kryzysem, i planę dali politycy. A na końcu szef wszystkich polityków, czyli Jarosław Kaczyński, mówi ludziom: wiem, że to nie zadziałało, ale teraz sobie idźcie do sądu. No to ludzie poszli.

I wygrywają ponad 90 proc. spraw.

– I trzeba to powiedzieć otwartym tekstem: drodzy kredytobiorcy, tylko dzięki temu wygrywacie z bankami w sądach, bo Polska jest członkiem Unii Europejskiej i sędziowie mogą zadawać pytania do Trybunału Sprawiedliwości UE, jak rozumieć unijne prawo konsumenckie, a wy możecie się odwoływać do Europejskiego Trybunału Praw Człowieka. Ale samo unieważnienie umowy w sądzie nie daje automatycznie żadnej korzyści kredytobiorcy. Dlatego że bank, czyli strona, która doprowadziła klienta do krzywdy, teraz chce go ukarać za to, że wystąpił do sądu, więc mu mówi, że ma słono zapłacić za użytkowany kapitał.

Co będzie, jeśli TSUE uzna tak, jak zapowiedział w lutym jego rzecznik generalny, że banki nie mogą domagać się zapłaty za użytkowanie kapitału? KNF szacuje, że to może kosztować banki 100 mld zł.

– Problem z frankami powoli słabł, bo od ponad dekady nie udzielano już kredytów walutowych, więc spadała łączna wartość tych pozostających do spłaty. A wraz z tym potencjalne skutki dla klientów i gospodarki. Ale nad sektorem bankowym zawisło nowe ogromne ryzyko, tym razem prawne. I teraz to jest prosta piłka – jak jeszcze zdarzy się coś na świecie, co sprawi, że złoty będzie się gwałtownie osłabiał do franka, to potężne koszty poniosą kredytobiorcy albo banki. Trzeciej możliwości nie ma.

Czasu jest niewiele, bo TSUE wyda wyrok jeszcze w tym roku. Co należałoby zrobić?

– Po pierwsze, KNF powinna przymusić banki, które mają kredyty frankowe, do natychmiastowych ugód z klientami na ogromną skalę. Nadzór powinien podnieść oceny ryzyka związanego z tymi kredytami i tworzenia rezerw na ewentualne procesy sądowe, by ekonomicznie nakłonić banki do oferowania korzystniejszych warunków ugód.

Z kredytów frankowych trzeba zdjąć ryzyko walutowe – należy je więc przewalutować na złote. Szef KNF Jacek Jastrzębski odgrzał swój pomysł sprzed dwóch lat i proponuje, by banki przeliczyły kredyt po kursie z dnia jego udzielania. A potem klient miałby go spłacać tak, jakby od początku pożyczył złote. Ale chyba pan Jastrzębski zapomniał, że znaczną część kredytów frankowych banki udzielały osobom, które nie miały dostatecznej zdolności kredytowej, by dostać kredyt takiej wartości w złotych. Innymi słowy, albo wcale bank nie pożyczylby im tytuł złotych, albo znacznie mniejszą kwotę. Propozycja KNF brzmi więc absurdalnie – będziemy szacowali, jakie mielibyście koszty obsługi kredytu w złotych, którego byście w takiej wysokości nie dostali, bo banki nie mogłyby wtedy wam go udzielić, gdyby działały zgodnie ze swoimi regulacjami kredytowymi i naszymi rekomendacjami!

To co pan proponuje?

– Proponuję, by klient spłacał tylko kredyt złotowy w takiej wysokości, w jakiej mógłby go wówczas dostać. Czyli, żeby wartość przewalutowanego na złote kredytu na dzień jego udzielenia była zmniejszona do poziomu jego zdolności dla kredytu złotowego. Dopiero to byłoby sprawiedliwe, bez tego pokrzywdzeni zostali-by podwójnie pokrzywdzeni.

Należy przygotować też przepisy, które pozwolą ludziom domagać się od banków przewalutowania kredytów walutowych na złote według tej zmodyfikowanej zasady. I wtedy niech sami decydują: chcą spłacać dalej kredyt walutowy czy złotowy.

Taki wybór ma dawać projekt ustawy, którą KNF przygotowuje – jak mówił przewodniczący – na czarna godzinę. Miałby on zamykać klientom drogę do sądów. A tam leży już 120 tys. pozwów przeciwko bankom i ta liczba szybko rośnie. Czy ustawa może zamknąć drogę do sądowych rozstrzygnięć pozostałym 240 tys. klientów spłacających kredyty?

– A czy ten pomysł jest w ogóle zgodny z konstytucją? Nie jestem prawnikiem, ale sądzę, że taka ingerencja w umowy cywilnoprawne i ustawowy zakaz rozstrzygania sporów cywilnych na drodze sądowej nie mają wiele wspólnego z zasadą państwa prawnego.

Kwestię kredytów trzeba rozwiązać natychmiast, bo od dłuższego czasu jesteśmy w stanie poważnych turbulencji gospodarczych i finansowych na świecie, mieliśmy covid, jest wojna. Ale możemy mieć nieporównywalnie większe problemy związane z wyzwaniem dla rynku paliw, ze zmianami klimatu i potężnymi migracjami ludności, przez potencjalne kolejne konflikty wynikające ze zmian geopolitycznych.

Przecież przez niespełna 10 lat koszt rozwiązania problemu kredytów walutowych podwoił się do 100 mld zł, a w tym czasie kapitały banków nie podwoiły się, PKB też się nie podwoił.

Spłacający kredyty złote powiedzą: no dobrze, ale frankowicze mogli kupić większe mieszkanie lub dom niż ja.

– Oczywiście, wielu będzie tak mówić. To jest podstawowy przyczynek całego zła i braku rozwiązania – to nie prawo, ale publiczny osąd jest ważniejszy, nie prawo, ale moje emocje. To jest myślenie chłopca folwarcznego, które dostrzegam w KNF, w zarządach banków, w sądach, radach nadzorczych i u posłów w Sejmie. Przecież w naszym kraju wybrano na drugą kadencję prezydenta, który łamie konstytucję. Ale nawet niektórzy moi znajomi bankowcy patrzą na mnie jak na idiotę i mówią: „Człowieku, ale ten frankowicz dostałby za dużo, on byłby uprzywilejowany. To tak, jakby poparzył się kawą w restauracji i dostał 100 milionów dolarów odszkodowania”. Odpowia-

dam, że dokładnie tak. Na plastikowych torebkach w jednej z olbrzymich sieci handlowych w USA jest napisane, by nie nakładać ich na głowę dzieciom ani nie dawać im ich do zabawy, bo się mogą dusić. Ale to nie dlatego, że tam wymiar sprawiedliwości jest taki głupi i ludzie nieświadomi – jak zdarzyła się tragedia, to firma musi napisać ostrzeżenie, by tego nie robić, bo zapłaciła słoną karę. Bo w USA funkcjonuje instytucja kary odstraszałającej.

Tak wygląda państwo prawa, tak wygląda prymat prawa. A u nas? Frankowicz za bardzo by zyskał w stosunku do mnie. I wpędzi to sektor bankowy w ogromne straty. A kto za to zapłaci? Podatnicy. Z takim podejściem okazuje się, że prawo wisi na płocie między Kargulem a Pawlakiem.

Wierzy pan, że uda się rozbroić tę bombę?

– Obawiam się, że w kwestii kredytów walutowych będzie stosowana „psycho-technika”.

Mamy tu potężny konflikt interesów. Państwo z jednej strony ma być reprezentantem kredytobiorców frankowych, bo oni są obywatelami i wyborcami. Ale jest też właścicielem połowy sektora bankowego, w tym również banków, które są wystawione na ryzyko potencjalnych kosztów i potrzeby dokapitalizowania. Państwo jest więc jednocześnie twórcą i tworzywem. A niestety u nas idea państwa praworządnego upadła. Przecież teraz sektor bankowy wini sędziów, że suma ich rozstrzygnięć może osłabić zdolność do kredytowania gospodarki. Czyli sędziowie, rozstrzygając sprawę Kowalskiego przeciwko bankowi X lub Z, mają myśleć: „Boże, ja za chwilę doprowadzę do katastrofy, bo może sektor bankowy upadnie albo przynajmniej ograniczy podaż kredytu? Czyli ja decyduję o tempie rozwoju gospodarki polskiej?!”. Może sędziowie również dlatego – bo chcą usilnie wierzyć, że nie z powodu braku kompetencji – wysyłają tyle pytań do TSUE.

A dlaczego to kredytobiorcy mają ponosić koszty ratowania sektora bankowego? Przecież bardzo, a gdzie są właściciele banków, którzy pozwolili na podejmowanie wysokiego ryzyka i brali dywidendy, nie potrafili przewidzieć jego skutków ani doprowadzić do ugody z klientami? Jak tak robisz, to w przyszłości musisz liczyć się z tym, że będziesz musiał dokapitalizować swój bank. Wśród tych właścicieli jest też państwo. Państwo, które dodatkowo zawiodło w efektywnym wykonywaniu zadań przez takie jego instytucje jak KNF i UOKiK.

Mamy problem do rozwiązania, który może kosztować nawet 100 mld zł i zagrozić stabilności banków. Wszyscy zastanawiają się i kłóć, kto powinien za to zapłacić – banki, kredytobiorcy, podatnicy. A czy ktoś powinien zostać za to ukarany?



**JEŚLI PREZES BANKU
NIE CHCE ANGAŻOWAĆ
SIĘ W RYZYKOWNE
PRZEDSIĘWZIĘCIA,
TO MA MNIJSZY ZYSK
I WTEDY CZĘSTO WYLATUJE
NA ZBITY PYSK, ZANIM
OKAŻE SIĘ, ŻE JEDNAK
DZIAŁAŁ ROZSĄDNI**

– W nowoczesnym, współczesnym państwie zapewne tak. Ale Polska takim państwem nie była i, tym bardziej teraz, nie jest. Nadzór właścicielski nad bankami jest bardzo iluzoryczny, szczególnie w zakresie zarządzania ryzykiem. Kredyty frankowe nie są przecież wyjątkiem. Wystarczy popatrzeć, jak ogromne straty poniósł w ubiegłym roku sektor bankowy na nieudolnym zarządzaniu ryzykiem stopy procentowej w zakresie portfela obligacji. A tego ryzyka nie mógł przenieść na swoich klientów. Polecam przyjrzeć się bankowym prognozom stóp procentowych na 2022 r. zawartym w budżetach tych banków przyjmowanych pod koniec 2021 r. To katastrofa.

Za nieefektywne funkcjonowanie swoich instytucji i urzędników państwo nigdy nie ponosiło poważniejszej odpowiedzialności. Także sądy do tego nie dopuszczały w swoich orzeczeniach. Ale, co gorsza, teraz państwo, zamiast przyczynić się do rozwiązania problemu kredytów walutowych, przetrzącało jeszcze dodatkowe koszty na sektor bankowy, bo to „krwio pijcy”. Wprowadzono więc podatek bankowy i inne, tylko po to, by realizować zachcianki polityczne prezesa Kaczyńskiego i jego partii. I walczą z problemem kredytów hipotecyjnych jak z inflacją. Zamiast ją ograniczać, to ją maskują poprzez zamrażanie niektórych cen albo dopłacanie ludziom do rachunków za prąd i gaz,

a więc zwiększają nasz dług publiczny. Jeżeli kredytobiorcy złotowi mieliby mieć problem z wyższymi stopami procentowymi, to je zamrażają, a jak to będzie dłużej trwać, to mówią, że będą dawali kredyt na 2 proc. A jak kredyty walutowe nie dotyczą ich elektoratu, to nic z nimi nie zrobią.

A czy Polacy czują się odpowiedzialni za swoje wybory polityczne przy urnach, które decydują o tym, że nasze państwo jest tak nieefektywne i nie ponosi za to odpowiedzialności? Pytanie chyba retoryczne.

Kwintesencją tego, o czym mówię, jest wymiana zdań na wstępnej rozprawie TSUE w Luksemburgu. Gdy szef KNF przestrzegł, że od wyroku Trybunału może zależeć stabilność sektora bankowego w Polsce, jeden z sędziów mu odpowiedział: czy to oznacza, że cały sektor działał w oparciu o niedozwolone praktyki? **N**

konrad.sadurski@newsweek.pl

BOGUSŁAW GRABOWSKI BYŁ CZŁONKIEM RADY POLITYKI PIENIĘŻNEJ, PREZESEM LG PETROBANKU, PTE SKARBIEC-EMERYTURA, SKARBIEC AMH. WCHODZIŁ W SKŁAD POWOŁANEJ PRZEZ PREMIERA DONALDA TUSKA RADY GOSPODARCZEJ

AUTOR SPŁACA KREDYT WALUTOWY

REKLAMA



POBIERZ APLIKACJĘ
ONET AUDIO

Słuchaj podcastów **RADIA 357**
w **Onet Audio**



DYMISJA MINISTRA ROLNICTWA I CO DALEJ?

Kurczę, mamy problem

Nie tylko zboże. Polski i europejski rynek zalewają kurczaki ze wschodu. Spory o rolnictwo wywołane nieudolnym zarządzaniem **importem mogą wpłynąć na relacje z Ukrainą**

TEKST RADOŚLAW OMACHEL

Jednym z najważniejszych punktów ubiegłotygodniowej wizyty prezydenta Wołodymyra Zełenskiego w Warszawie było polsko-ukraińskie forum gospodarcze, na którym obok polityków pojawili się przedstawiciele biznesu. Obydwaj prezydenci wygłosili przemówienia, głos zabrali przedstawiciele ukraińskich firm. Ale w rozmowach kuluarowych dominowały dwa tematy: notorycznie zakorkowana i skorumpowana granica i ukraińskie zboże, które

zasypało polskie silosy, doprowadzając do kryzysu politycznego i ostrych protestów plantatorów zbóż. Podobne problemy będą mieć niedługo hodowcy drobiu.

HEGEMON ZE WSCHODU

ZDANIE: „NIE MARTWCIE SIĘ, PRZYCHODZIMY W POKOJU” brzmi jak cytat z filmu o bliskich spotkaniach trzeciego stopnia, ale te właśnie słowa rzucił w wywiadzie z branżowym serwisem portalspozywczy.pl John C. Rich, szef rady nadzorczej MHP Agroindustrialnyj Holding. Był paż-

dziernik 2022 roku, właśnie miało pół roku od otwarcia unijnej granicy dla ukraińskich towarów. Europejska branża drobiarska zaczynała się obawiać, czy poradzi sobie z konkurencją ze wschodu. I czy wynikające ze współczucia dla napadniętego kraju, odciętego od swoich tradycyjnych rynków zbytu w Azji i Afryce, polityczne decyzje nie staną się wkrótce kością niezgody między Unią a Ukrainą. Parametry biznesowe MHP, największego ukraińskiego producenta kurczaków, są bowiem iście kosmiczne.

Choć spółka zarejestrowana jest na Cyprze, to jej faktyczna centrala mieści się w eleganckim biurze pod Kijowem. Zarząd jest dziś międzynarodowy, ale firmę kontroluje jej założyciel Jurij Kosiuk. MHP dysponuje obecnie arealem upraw wynoszącym 370 tys. hektarów. To licząc z grubszą tyle, co cała Francja, dwa razy więcej niż Włochy i trzy razy więcej niż cały areal upraw nasiennych w Polsce. MHP to potentat, który w Unii Europejskiej nie ma odpowiednika, a Kosiuk to jeden z głównych beneficjentów zniesienia ograniczeń handlowych w obrocie z UE, które po naszej stronie granicy doprowadziło do protestów i dymisji szefa resortu rolnictwa.

Minister Henryk Kowalczyk, ostatnio w randze wicepremiera, do odejścia został zmuszony. Sztab polityczny PiS dzień na dymisję wybrał nieprzypadkowo, w ubiegłą środę media zajęte były relacjonowaniem wizyty prezydenta Zełenskigo. Ze swojej przygody w resorcie rolnictwa Kowalczyk zapamięta przede wszystkim końcówkę: 18 marca trzeba go było ewakuować z targów rolnych w Kielcach w obawie przed rozjuszonym tłumem rolników. Kilka dni później rolnicy obrzucili go jajkami na forum gospodarczym w Rzeszowie. Nie mogą mu zapomnieć, że rok temu namawiał ich do kupowania drogich nawozów, choć niedługo potem ich ceny spadły. A w czerwcu przekonywał rolników, żeby nie spieszyli się ze sprzedażą zboża po żniwach, bo ceny pozostaną wysokie. Tymczasem od września ceny w punktach skupu spadły o połowę. Ale przede wszystkim nie zapomną mu nieudolności w zarządzaniu importem z Ukrainy.

MINISTER MÓWIŁ: NIE SPRZEDAWAĆ
30 MAJA 2022 ROKU, TRZY MIESIĄCE PO ROSYJSKIEJ NAPAŚCI NA UKRAINĘ, Unia Europejska zniosła cła na towary rolne z tego kraju. Ten gest, wprowadzony równoległe z sankcjami na Rosję, miał wesprzeć ukraiński sektor rolny, jeden z fundamentów tamtejszej gospodarki, duszonej przez rosyjską agresję. Ukraińskie firmy rolne żyją z eksportu, głównie do Azji i Afryki, a blokada czarnomorskich portów przez rosyjską flotę sku-

tecnie ten handel zahamowała. Wiosną w ukraińskich silosach zalegało aż 19 mln ton zbóż, czyli dwa razy więcej, niż wynosi cały polski eksport tej kategorii towarów.

Zgodnie z planem UE ukraińskie zboże miało przede wszystkim przejechać przez Polskę do polskich i niemieckich portów i tam, po załadowaniu na statki, trafić do czekającej na towar klienteli z Afryki i Azji. Tyle że polski rząd nie zapewnił wystarczającej liczby wagonów, a propozycja wybudowania po pol-

” Przy obecnych cenach pasz absolutne minimum kosztów wyprodukowania 1 kg fileta z kurczaka to 18 zł, co oznacza, że w sklepie cena powinna wynosić minimum 22 zł. Tymczasem w sieciach handlowych pojawiają się prowadzane z Ukrainy filety w cenie 12-13 zł za 1 kg

PAWEŁ PODSTAWKA, SZEF KRAJOWEJ FEDERACJI HODOWCÓW DROBIU I PRODUCENTÓW JAJ

skiej stronie granicy silosów zbożowych, rzucona przez Joe Bidena, pozostała bez konkretnej odpowiedzi. Kilkanaście polskich firm handlujących zbożem, węsząc interes w postaci taniego zboża z Ukrainy, zaczęło je skupować, lokując towar także w magazynach państwowych firm takich jak Elewarr.

W połowie ubiegłego roku ceny zbóż szły ostro w górę i to pomimo rosnącego importu. Według wstępnych danych Ministerstwa Rolnictwa do Polski trafi-

ło w ubiegłym roku o 56 proc. więcej zboża niż rok wcześniej, a za połowę tego wzrostu odpowiada Ukraina. Szczytowy poziom ceny osiągnęły we wrześniu, kiedy pszenica po 1500-1700 zł za tonę była o prawie 60 proc. droższa niż rok wcześniej. Hossa trwała jednak krótko. Po żniwach polscy rolnicy ruszyli do punktów skupu, ale okazało się, że magazyny są pełne. Także na międzynarodowych rynkach ceny zaczęły spadać, bo widmo głodu wywołanego rosyjską agresją na Ukrainę minęło. Dziś polskie punkty skupu za tonę pszenicy płacą 870-1020 zł. Swoje straty finansowe plantatorzy wyceniają na 10 mld zł.

A kolejnymi ofiarami importowego bałaganu będą hodowcy drobiu.

KOŚĆ NIEZGODY

O UKRAIŃSKICH KURCZAKACH W POLSCE, ALE I INNYCH KRAJACH UE głośno było już kilka lat temu. W 2016 roku, w trakcie negocjacji handlowych między Unią a Ukrainą, strony wynegociowały kontyngent bezcłowego importu pełnowartościowego mięsa drobiowego do UE. Mięso niepełnowartościowe, na przykład filety z kością, towar nieprodukowany w Unii, z ceł zwolnione było permanentnie. Tak się akurat złożyło, że w Ukrainie, także w zakładach MHP, w trakcie rozbioru tuszki na kawałki w filecie pozostawiano kawałek kości. Dzięki temu obok kontyngentu bezcłowego do UE płynęła fala tysięcy ton filetów z kością. W Polsce trafiały one bezpośrednio na rynek detaliczny, na Zachodzie raczej do dalszej obróbki, a potem do przemysłu przetwórczego. Albo były wysyłane dalej w świat, już jako towar unijny. Dopiero w 2019 roku, po trzech latach legislacyjnych przepychanek, luka w prawie została załatwana, a import uszczelniony.

Teraz za sprawą zwolnień celnych z maja 2022 roku problem wrócił.

Z danych AVEC, europejskiego stowarzyszenia firm drobiarskich, wynika, że w ciągu dwóch pierwszych miesięcy 2023 roku import mięsa drobiowego z Ukrainy wzrósł o 64 proc. Tyle że to dane dotyczące całej UE. Największy udział w imporcie ze wschodu, mniej więcej połowę, ma Holandia, czyli kraj, który przepakuje

Prezydent Ukrainy Wołodymyr Zełenski podczas wizyty w Polsce, Warszawa, 5 kwietnia 2023 r.



i przetwarza mięso i wysyła je dalej w świat. Na drugim miejscu jest Polska, potem długo nikt i Węgry. Jeszcze szybciej wzrósł import jaj. W styczniu i w lutym na teren UE wjechało aż 2500 razy więcej jaj z Ukrainy niż rok wcześniej.

Skala importu jest już na tyle duża, że zaczyna wpływać na rynek, szczególnie polski. Polska jest bowiem drugim w UE producentem mięsa drobiowego i jego największym wewnątrzunijnym eksporterem. W ubiegłym roku wystaliśmy za granicę drób wart w sumie ponad 10 mld zł. Ale w branży czuć już obawy, że złota era polskiego drobiarstwa skończy się równie nagle jak hossą na zbożu.

KONIEC HOSSY

RZESZOWSKIE ZAKŁADY DROBIARSKIE RES-DROB to firma z 70-letnią tradycją. Jeden z największych przetwórców drobiu w kraju dający pracę 267 pracownikom. Tak było do połowy marca, kiedy rzeszowski sąd ogłosił upadłość Res-Drobu. Powodem był drastyczny wzrost kosztów obsługi długu (znacznie przekraczającego 100 mln zł) z powodu podwyżek stóp procentowych.

Na dodatek w Europie nadal szaleje grypa ptaków, w Polsce w szczycie epidemii w 2021 roku utylizacji poddano ponad 10 mln sztuk kurcząt i indyków. – Zapowiadanych od dwóch lat odszkodowań za utracone stada nie wypłacono do dziś – mówi Andrzej Danielak, prezes Polskiego Związku Zrzeszeń Hodowców i Producentów Drobiu.

Po tym jak w ubiegłym roku z powodu wojennej paniki Chińczycy огоłocili światowe rynki ze zbóż, ceny pasz wzrosły drastycznie, a to 60-70 proc. kosztów utrzymania drobiowych ferm. O dziwo, pomimo napływu milionów ton taniego ukraińskiego zboża zakwalifikowanego jako techniczne, choć takiej kategorii w rolnictwie nie ma, ceny pasz spadły w ostatnich miesiącach jedynie symbolicznie, góra o kilka procent. Branżowi zwolennicy teorii spiskowych twierdzą, że sytuacja pachnie znową cenową. UOKiK nie reaguje.

Do niedawna problem rosnących cen produkcji maskowały rosnące ceny mięsa drobiowego i jaj. Ale w przetwórnictwie i w sklepach od kilkunastu tygodni w dużych ilościach pojawia się

towar, z którym cenowo konkurować nie sposób.

DUMPING CENOWY

– **W POLSCE DO WYPRODUKOWANIA 1 KG MIĘSA DROBIOWEGO** zużywa się mniej więcej 1,6 kg paszy – tłumaczy Paweł Podstawka, szef Krajowej Federacji Hodowców Drobiu i Producentów Jaj. – Przy obecnych cenach pasz absolutne minimum kosztów wyprodukowania 1 kg fileta to 18 zł, co oznacza, że w sklepie, po doliczeniu marży handlowej, cena powinna wynosić minimum 22 zł. Tymczasem na półkach sieci handlowych pojawiają się filety w cenie 12-13 zł za 1 kg. To aberracja – mówi Paweł Podstawka.

Ów tani towar to import z Ukrainy, produkowany z użyciem tanich pasz przez firmy takie jak MHP, które mają wręcz nieograniczony dostęp do zbóż. Polscy producenci zwracają uwagę, że towar importowany, nie tylko z Ukrainy, ale też z Brazylii, wytwarzany jest według innych standardów, poza kontrolą unijnego systemu sanitarnego. Niewykluczone, że z użyciem niedozwolonych na terenie UE środków farmakologicznych. Rodzimi lekarze weterynarii przyznają, że z braku środków jedynie kilka procent wjeżdżającego do Polski mięsa poddawane jest badaniom. – To pokłosie politycznych decyzji o otwarciu granic, które nie zostały poprzedzone analizami skutków gospodarczych – mówi Andrzej Danielak. – O dziwo, sieci handlowe, które jeszcze do niedawna chwaliły się wycofywaniem z półek jaj pochodzących od niosek z chowu klatkowego, teraz nie mają nic przeciwko handlowaniu mięsem produkowanym poza unijnym systemem, który niekoniecznie gwarantuje zwierzętom dobre warunki – dodaje Danielak.

Branża drobiarska już rok temu informowała resort rolnictwa o ryzykach związanych z otwarciem granicy. – Nie dostaliśmy odpowiedzi – mówi Paweł Podstawka.

Janusz Wojciechowski, unijny komisarz rolnictwa rekomendowany na to stanowisko przez PiS, zdecydowany obrońca interesu polskich rolników, w ostatnich tygodniach ucichł, nie zabiera głosu. Ursula von der Leyen, szefowa

Komisji Europejskiej, w ubiegłym tygodniu zapowiedziała utrzymanie zwolnień celnych dla producentów z Ukrainy do końca 2024 roku. Zapowiedziała też wprowadzenie działań osłonowych dla rolników z krajów pierwszej linii, takich jak Polska, które przyjęły zdecydowanie największą ilość tanich ukraińskich towarów. Ale konkretów nadal brak. Robert Telus, polityk PiS, dotychczasowy szef sejmowej komisji rolnictwa, który tuż przed świętami zastąpił Kowalczyka w fotelu ministra, prosi rolników o 100 dni spokoju. Szkoła w tym, że jako szef sejmowej komisji popierał działania Kowalczyka i zapewniał mu parlamentarne wsparcie. A protesty trwają. Na Zamojszczyźnie rolnicy założyli stowarzyszenie Oszukana Wieś i zapowiadają eskalację protestów.

Bierność resortu rolnictwa w tej sprawie zadziwia. Tym bardziej że w obli-

czu planowanej integracji Ukrainy z UE i usankcjonowania otwarcia unijnych granic dla ukraińskiej żywności producenci ze wschodu siłą rzeczy staną się dla polskich rolników trudnym konkurentem.

WALKA Z WIATRAKAMI

W LIPCU 2021 ROKU, KILKA MIESIĘCY PRZED WYBUCEM WOJNY, Ukraina zliberalizowała obrót ziemią rolną. W dużej mierze pod kątem inwestorów z USA czy Holandii, którzy szukają możliwości budowy holdingów eksportowych na rynek Azji i Afryki. Ukraińskie media relacjonowały niedawno, że Mykoła Solski, ukraiński minister rolnictwa, dwa tygodnie temu na zamkniętym spotkaniu zapowiedział budowę co najmniej kilku dużych grup spożywczych. Tyle że z myślą o rynku europejskim. O tym, że integracja Ukrainy z UE, z jej bezkresnymi

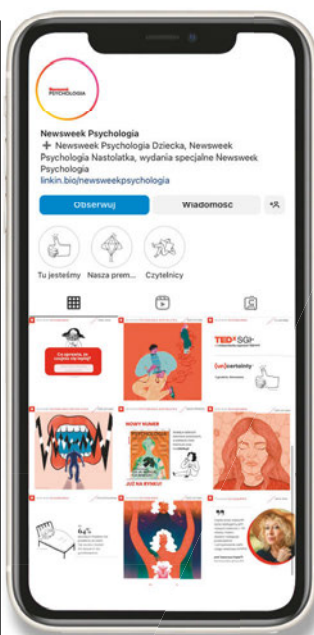
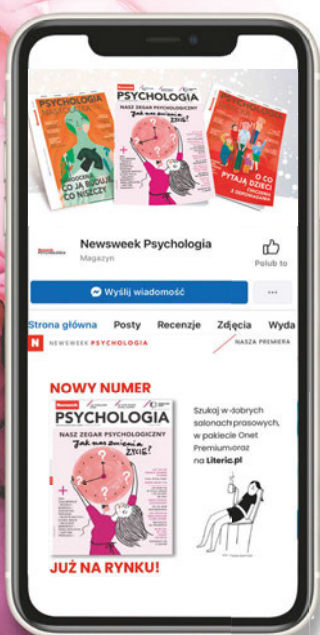
czarnoziemami, tanią energią i niskimi kosztami pracy, będzie wyzwaniem dla europejskiego rolnictwa, wiadomo od lat. – Blokowanie granicy nie jest żadnym rozwiązaniem – mówi Jacek Piechota, były wicepremier, obecnie szef Polsko-Ukraińskiej Izby Gospodarczej. I przekonuje, że polskie i ukraińskie rolnictwo niekoniecznie musi ze sobą konkurować, ale też się uzupełniać. – Oni mają duży potencjał w produkcji zbóż i roślin oleistych, my w produkcji mięsa. Mamy doświadczenie z rynku UE, którego im brakuje. Warto zachęcać polskich rolników do inwestowania w ukraińskie rolnictwo, bo jeśli nie zrobimy tego my, to Ukraińcy zrobią interes z kim innym – mówi Piechota.

Chętnych na zagospodarowanie ukraińskiej ziemi nie zabraknie. **N**

radoslaw.omachel@newsweek.pl

REKLAMA

NEWSWEEK PSYCHOLOGIA ONLINE!



JUŻ TERAZ ZNAJDZIESZ NAS
na FACEBOOKU i INSTAGRAMIE



ZAOBSERWUJ NASZ PROFIL
@newsweekpsychologia
i bądź na bieżąco ze swoimi
ulubionymi treściami
psychologicznymi

Nietypowe roboty

Samobieżne odkurzacze i automatyczne kosiarki przestały już dziwić. Ale roboty mają wiele innych zastosowań



SZTUCZNY GEKKON

HB1 nie ma porywającej nazwy, ale jeśli prototyp firmy Hausbots wejdzie do produkcji, będzie chyba pierwszym robotem zdolnym wspinać się po różnych powierzchniach niczym gekkon. To zasługa mechanizmu przysaskowego zdolnego unieść ciężar do 42 kg. Wystarczy założyć myjkę czy szczotkę i można zastąpić alpinistów w czyszczeniu okien albo kominów.

Cena nieznaną

<https://hausbots.com/hb1/>



GITAMINI: WÓZEK NA ZAKUPY

Owszem, są tańsze torby, a nawet całe wózki na zakupy. Ale żaden z nich nie jeździ za właścicielem jak pies i nie parkuje oraz nie podjeżdża na polecenie ze smartfona. Z bazaru czy sklepu takim wózkiem można przywieźć nawet 10 kg zakupów.

Cena 2475 dol.

<https://shop.piaggiofastforward.com/gitamini>



PARKINGOWY DO PRZYCZEP

Jeśli widzieliście na lotnisku holownik do samolotu, to od razu zrozumiecie, czym jest Trailer Valet: to holownik stworzony z myślą o podciąganiu przyczep. Na pewno dociągnie przyczepę z łodzią czy kempingiem tam, gdzie samochodem ciężko byłoby wjechać.

Cena 2625 dol.

<https://trailervalet.com/shop/rvr3/>

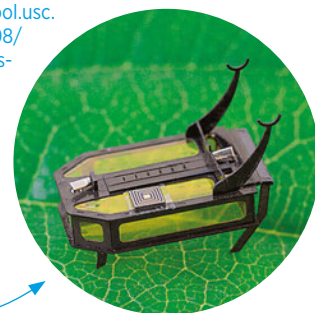


ŻUCZEK NA ALKOHOL

RoBeetle to na razie koncept stworzony na University of Southern California. Ważący 88 mg robocik napędzany jest spalaniem alkoholem i oficjalnie jest najmniejszym mikrorobotem na świecie.

Cena nieznaną

<https://viterbischool.usc.edu/news/2020/08/viterbi-researchers-create-the-lightest-smallest-fully-autonomous-crawling-microbot-reported-to-date/>



DRUKARKA NA KÓŁKACH

Rysowanie na podłodze może nie jest potrzebne każdemu, ale projektantom, inżynierom czy budowlańcom na pewno się przydaje. Potentat druku, HP, stworzył prototyp drukarki na kółkach, która przeniesie na posadzkę dowolny wzór, omijając przy tym wszelkie przeszkody.

Cena nieznaną

www.hp.com/us-en/printers/site-print/layout-robot.html

POLSKA

Newsweek

TRENDY PRZYSZŁOŚCI

Elektryzujące
elektryki

Gadżety do e-aut

Przywileje dla
elektromobilnych

Elektromobilność

Auta, które rozpalają wyobraźnię

Elektryzujące elektryki



Wraz z nadejściem 2035 roku w Europie nowe auta z tradycyjnym napędem nie będą już sprzedawane, co oznacza, że przyszłość motoryzacji będzie elektryczna. Nie jest to jednak powód do zmartwień – już dziś producenci pokazują, że bez pomruków benzynowych silników może nadal być ekscytująco

TEKST ŁUKASZ WALKIEWICZ

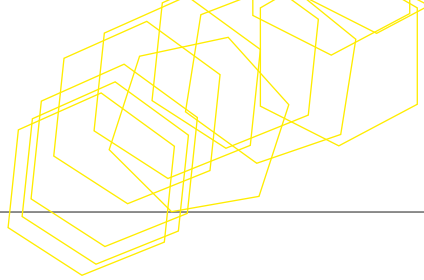
Szlachcic pod napięciem

ROLLS-ROYCE kojarzy się z luksusem i przepychem, a markę znają nawet ci, którzy nie do końca interesują się motoryzacją. Spectre to pierwszy w pełni elektryczny samochód z charakterystyczną figurką Spirit of Ecstasy na masce, a jego projektanci i inżynierowie podchodzą do wprowadzenia go na rynek niezwykle ambitnie. Napędzane prądem prototypy tego auta przejechały dotąd odległość równą 62 okrążeniom kuli ziemskiej (2 mln km!) w najbardziej wymagających warunkach, obejmujących jazdy z wysokimi prędkościami po torze wyścigowym, poruszanie się po ośnieżonych drogach północnej Szwecji czy nierównych, pełnych kurzu roz-

palonych trasach w RPA. Wstępnie wiadomo, że napęd rolls-royce'a Spectre będzie dysponował mocą około 600 KM i maksymalnym momentem obrotowym na poziomie 900 Nm. Deklarowany zasięg to 520 km według normy WLTP, a pierwsze egzemplarze trafią do klientów w czwartym kwartale 2023 roku.

Maserati, czyli włoski klasyk

TA WŁOSKA MARKA słynie nie tylko z pięknych linii nadwozia, ale też przesywającego brzmienia potężnych, spalinowych silników. Czasy jednak się zmieniają i Włosi stawiają na elektromobilność. Maserati GranTurismo Folgore w swoich trzewiach nie kryje ośmiu czy dwuna-



stu cylindrów, ale elektryczny układ napędowy rodem z Formuły E. Instalacja o napięciu 800 V pozwala na bardzo szybkie ładowanie, a trzy silniki elektryczne generują łącznie 761 KM i gigantyczny moment obrotowy 1350 Nm, który wędruje na wszystkie cztery koła. Maserati poświęciło sporo uwagi rozkładowi mas między osiami i nisko położonemu środkowi ciężkości, co przekłada się na doskonale sportowe prowadzenie. To luksusowe coupé potrafi osiągnąć setkę w 2,7 s i rozpędzić się maksymalnie do 320 km/h. Zasięg wynosi 450 km w cyklu mieszanym (WLTP).

Elektryczny bolid

ASPARK OWL nie jest szeroko znany, ale z najmocniejszymi elektrykami popularnych marek zdecydowanie wygrywa, jeżeli chodzi o dynamikę, moc i wydajność układu napędowego. Aspark pochodzi z Japonii, ale samochód produkują włoscy magicy z Manifattura Automobili Torino. Model Owl wyposażono w aż cztery silniki elektryczne, z których każdy obsługuje jedno koło tego bolidu. Łączna moc układu napędowego to niemal 2000 KM, a maksymalny moment obrotowy sięga niewyobrażalnych 2000 Nm. Akumulator nie jest szczególnie pojemny (69 kWh), ale ze względu na doskonałe



parametry aerodynamiczne i niską wagę auto w cyklu WLTP jest w stanie podobno pokonać 400 km na jednym ładowaniu. To najlepiej przyspieszające auto świata, jakie można kupić. Potrzebuje zaledwie 1,75 sekundy, żeby osiągnąć na liczniku pierwszą setkę, w czym jest lepszy nawet od bolidów F1. Prędkość maksymalna to 400 km/h. Model Aspark Owl powstał tylko w 50 egzemplarzach, a cena jednego przekracza 3 mln dol.

Demon z Chorwacji

MATE RIMAC przez wielu uważany jest za geniusza inżynierii. Chorwat swoimi projektami już dawno dał się poznać fanom motoryzacji na całym świecie. Teraz postawił na elektromobilność i to w najbardziej wyczynowym wydaniu. Rimac Nevera to bolid minimalnie wolniejszy od wspomnianego asparka, ale i tak ten samochód jest istnym demonem. Wyposażono go w cztery silniki elektryczne (po jednym na każde koło), które łącznie generują 1887 KM i aż 2360 Nm maksymalne-



go momentu obrotowego. Pozwala to uzyskać 100 km/h w czasie 1,97 s, natomiast 200 km/h pojazd osiąga po zaledwie 5,8 s. Duży pakiet akumulatorów o pojemności 130 kWh umożliwia pokonanie nawet 550 km na jednym ładowaniu. Cała zaplanowana produkcja to jedynie 150 egzemplarzy. Cena za sztukę? „Zaledwie” 2,2 mln dol.

200 km/h w... pięć sekund

PININFARINA BATISTA jest kolejnym przykładem, że Włosi potrafią produkować samochody elektryczne. To bolid, w którym każde z czterech kół ma swój silnik elektryczny, a ich łączna moc to 1899 KM. W efekcie samochód ten jest w stanie uzyskać 100 km/h po zaledwie 1,86 s. Szczególnie imponuje w tym przypadku to, że 200 km/h auto osiąga po... 4,75 s. I przyspiesza dalej aż do 350 km/h. Deklarowany zasięg WLTP wynosi tu do 476 km, które można uzyskać dzięki zastosowaniu



akumulatorów o pojemności aż 130 kWh. Produkcja, jak w przypadku innych hipersportowych elektryków, jest ściśle limitowana. Właściciele znajdzie tylko 150 egzemplarzy, a każdy z nich kosztuje 2,25 mln dol.

SUV od Elona Muska

TESLA MODEL X może nie jest tak szybka jak prezentowane wyżej auta, ale to prawdopodobnie najbardziej funkcjonalny elektryczny i dodatkowo ponadprzeciętnie dynamiczny samochód, jaki obecnie istnieje. To przecież nadal duży SUV z potężnym bagażnikiem i mnóstwem miejsca w środku. Auto korzysta z dokładnie tego samego układu napędowego, co Tesla Model S Plaid. Czyli trzy silniki, moc na poziomie 1020 KM i taki sam maksymalny



moment obrotowy. Ze względu na wyższe nadwozie przyspieszenie jest nieco gorsze, ale wystarczające, aby zastrydzić wszystkie inne SUV-y ze spalinowym napędem – Tesla Model X Plaid uzyskuje 100 km/h w zaledwie 2,6 s. Prędkość maksymalna jak na auto o rodzinnych konotacjach jest aż nieprzyzwoita, bo wynosi 262 km/h. Z kolei deklarowany przez producenta zasięg to 543 km. Ten model także można zamówić w Polsce za 683 990 zł, a czas oczekiwania wynosi około trzech miesięcy.


Szalony Brytyjczyk

LOTUS EVIJA to kompletnie szalony hipersamochód. Jest najmocniejszym elektrykiem świata, bo zastosowany w tym modelu układ napędowy, składający się z czterech silników elektrycznych, wytwarza półtora megawata mocy, czyli dokładnie 2011 KM. Jak na tak dużą moc auto jest jednak zaskakująco „powolne”, o ile możemy uznać, że



2,9 sekundy do 100 km/h to zły wynik. Z kolei jego prędkość maksymalna to „godne” 322 km/h. Silniki czerpią energię z pakietu akumulatorów o pojemności 75 kWh, co powinno wystarczyć na przejechanie dystansu 346 km bez konieczności używania ładowarki. Lotus zamierza wyprodukować tylko 130 egzemplarzy tego modelu. Nieoficjalna cena jest szacowana na ok. 2,6 mln dol. za sztukę.

Morderca Tesli?

LUCID AIR zdążył się już dorobić przydomka Tesla Killer. To raczej wątpliwe, że ta świeża na rynku motoryzacyjnym marka ma w tej chwili potencjał, aby zagrozić motoryzycznemu imperium Elona Muska, ale nie zmienia to faktu, że model Lucid Air Sapphire jest autem sporo mocniejszym od Tesli Model S Plaid. Trzysilnikowy układ napędowy generuje tu moc 1200 KM, co wystarcza, żeby auto rozpędziło się do 100 km/h w czasie 1,95 s i potrafiło gnać nawet 330 km/h. Pod podłogą umieszczono solidny pakiet akumulatorów o pojemności 118 kWh, który według twórców wystarcza na przejechanie nawet 643 kilometrów. Cena to około 250 tys. dol. Brzmi jak okazja! 



FOT. MATERIAŁY PRASOWE (4)

EQE

DLA CIEBIE. DLA TWOICH ZMYŚLÓW. W PEŁNI ELEKTRYCZNY EQE.

Wjedź w nową erę mobilności z elektrycznym EQE. Z zasięgiem aż do 670km i pakietem korzyści: atrakcyjny Leasing 102,9%*, najnowszy Wallbox Mercedes-Benz w cenie auta oraz usługa ładowania Mercedes Me Charge.

Więcej informacji na: www.mercedes-benz.pl/eqe



EQE 350+: łączne zużycie energii: 15,6 kWh/100 km; emisja CO₂ 0 g/km

*Promocyjny Leasing w Mercedes-Benz Leasing Polska sp. z o.o., przeznaczony dla firm. Prezentowany koszt procentowy umowy 102,9% uzyskiwany jest przy następujących parametrach kalkulacji: okres umowy 24 miesiące, wpłata wstępna 25% ceny pojazdu, wartość końcowa 19%, stała stopa oprocentowania. Powyższe wyliczenie jest przykładowe i nie stanowi oferty w rozumieniu Kodeksu Cywilnego. Zawarcie umowy oraz jej warunki uzależnione są od wyniku oceny sytuacji finansowej Klienta oraz jego zdolności do zaciągania i regulowania zobowiązań. Zapytaj Doradców Handlowych w Autoryzowanym Salonie Mercedes-Benz o więcej szczegółów nt. produktu finansowego i dostępności pojazdów w ramach akcji promocyjnej.

Niezbędne dla posiadaczy
elektrycznych aut

Gadżety dla elektromobilnych

Właściciele samochodów z napędem elektrycznym często mogą potrzebować zupełnie innych gadżetów niż ci poruszający się pojazdami benzynowymi. Kable i ładowarki to podstawa, ale nawet wyglądające na pozór tak samo jak tradycyjne opony czy boksy bagażowe w przypadku elektryków muszą spełniać określone warunki

TEKST ALBERT MARKOWICZ



Rynek aut elektrycznych w Polsce rośnie, a wraz z nim rynek szeroko pojmowanych gadżetów i akcesoriów im dedykowanych. Niektóre z nich mają kluczowe znaczenie dla wydajności i bezpieczeństwa jazdy, niektóre charakter praktyczny, a jeszcze inne stanowią po prostu uzupełniający dodatek.

Jakie opony do elektryków?

WYBÓR ODPWIEDNIICH OPON MA DUŻE ZNACZENIE.

Opony mają wpływ na bezpieczeństwo jazdy, jej dynamikę, a także wygodę podczas przemieszczania się (choćby pod kątem emitowanego przez nie hałasu). To wszystko brzmi jak banał i wydaje się oczywiste, ale w przypadku posiadaczy aut elektrycznych nabiera nowego i bardzo istotnego znaczenia. Fani elektromobilności muszą bowiem zwrócić szczególną uwagę na ogumienie swoich pojazdów.

Przede wszystkim samochody elektryczne (ale też i hybrydy) są przeważnie cięższe od swoich tradycyjnych odpowiedników za sprawą zastosowanych w nich dużych baterii. Większa waga przekłada się na dłuższą drogę hamowania, szybsze (nawet o 30 proc.) zużycie opon niż w pojazdach spalinowych oraz inne zachowania na śliskiej nawierzchni.



Kolejnym aspektem jest kwestia oporu toczenia opon. Ważne, aby był on jak najniższy. Powód jest bardzo prosty – niższy opór oznacza niższe zużycie energii, co z kolei zwiększa zasięg, czyli odległość, jaką przejedziemy na jednym ładowaniu. W tym celu producenci opon do elektryków stosują specjalne mieszanki gumowe, mało agresywne bieżniki czy nadają oponom odpowiednie aerodynamiczne wykończenie. Wszystkie te konstrukcyjne zmiany zapewniają też większą żywotność oraz przyczepność.

Aut elektryczne z założenia są znacznie cichsze od pojazdów z silnikiem spalinowym, co z kolei, z perspektywy kierowcy i pasażerów, może uwypuklić hałas generowany przez tarcie opon o podłoże. Na ten problem również znalazł się sposób, czego dobrym przykładem jest np. technologia ContiSilent stosowana w oponach Continental – wewnętrzny amortyzator opony z pianki poliuretanowej przymocowany jest

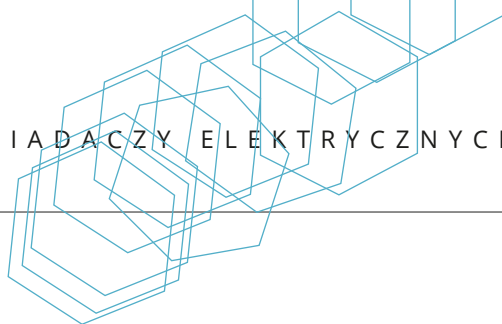
do wewnętrznej powierzchni bieżnika, aby amortyzować drogę i blokować przenoszenie wibracji przez koło do wnętrza kabiny.

Obecnie opony do aut elektrycznych, często też w różnych niestandardowych rozmiarach dostępne już są w ofertach wielu najpopularniejszych producentów, znajdziemy je m.in. u Michelin, Bridgestone'a, Nokiana, Pirello czy właśnie Continental.

Co z tym ładowaniem?

KWESTIE UZUPEŁNIANIA BATERII, zasięgu pojazdu i dostępu do stacji ładowania są często tymi, które najbardziej niepokoją kierowców zastanawiających się nad przesiadką na elektryka. Punktów ładowania rokrocznie w Polsce przybywa, a według badań Power Dot do 2025 roku ma ich powstać u nas około 10 tysięcy. Wciąż jednak najtańszym i najwygodniejszym sposobem ładowania auta elektrycznego jest zasilanie go w domu.

Producenci opon do elektryków stosują specjalne mieszanki gumowe, mało agresywne bieżniki czy nadają oponom odpowiednie, aerodynamiczne wykończenie



Możemy w tym celu skorzystać ze zwykłego gniazdka w garażu, ale bardziej efektywnym rozwiązaniem będzie instalacja tzw. wallboksa, czyli domowej stacji do ładowania. Urządzenie możemy zamontować w garażu lub nawet na zewnętrznej ścianie domu (wiele modeli odpornych jest na warunki atmosferyczne), lecz musimy w tym przypadku liczyć się z wydaniem nawet kilku tysięcy złotych. W jaki sposób inwestycja ta nam się opłaci? Sprzęty o dużej mocy (np. 22 kW) pozwolą nam szybciej naładować auto, mogą sprawić, że jeżeli posiadamy instalację fotowoltaiczną, staną się one odbiornikiem energii wyprodukowanej przez panele. Zastosowane w nich zabezpieczenia, np. przed upływem prądu stałego, nie tylko chronią baterię i wpływają na

Wciąż jednak najtańszym i najwygodniejszym sposobem ładowania auta elektrycznego jest zasilanie go w domu



Wallboks, czyli domowa stacja do ładowania auta

jej długowieczność, ale pomogą też obniżyć koszty samego ładowania. Wiele nowoczesnych wallboksów, np. firm Lektri czy Autel, posiada także wbudowane moduły wi-fi i Bluetooth, które rozszerzają ich możliwości o funkcje smart. Dzięki temu możemy za pomocą aplikacji w smartfonie zdalnie sprawdzać stopień naładowania auta i monitorować cały proces zasilania czy zgłaszać błędy i problemy techniczne.

Dużym segmentem rynku akcesoriów dedykowanych elektrycznym pojazdom są też różnego rodzaju przejściówki i przenośne ładowarki, które łączą w sobie mobilność z dużą mocą ładowania. Możemy podłączyć je do domowego gniazdka 230 V lub spakować do bagażnika i po prostu wozić wszędzie ze sobą. Są kompaktowe, nie wymagają instalacji i stanowią tańszą alternatywę dla wallboksów, zwłaszcza jeżeli instalacja stacjonarnej stacji wiązałaby się z koniecznością modernizacji domowej elektryki.

Dodatki, które również robią różnicę

CHOĆ ODPOWIEDNIE OPONY ORAZ AKCESORIA DO ŁADOWANIA to najważniejsze elementy wyposażenia aut elektrycznych, na wydajność jazdy tymi pojazdami mogą mieć też wpływ inne dodatki, które montujemy w samochodzie. Na przykład bagażniki dachowe, rowery i różnego rodzaju boksy bagażowe do elektryków na pierwszy rzut oka nie różnią się zbytnio od tych stosowanych w autach spalinowych, jednak również muszą posiadać kilka istotnych cech. Przede wszystkim chodzi o ich aerodynamiczność podczas jazdy, co ponownie przekłada się na zużycie energii i zasięg auta. Tym bardziej że z tego typu gadżetów zwykle korzystamy, wybierając się w dłuższe trasy.

W ofertach takich marek jak Thule, Taurus czy Westfalia znajdziemy całą gamę dodatków zwiększających pakowność naszego elektryka, zaprojektowanych tak, aby stawiały minimalny opór powietrza. Opływowe boksy dachowe, systemy bagażników bazowych wykonane z lekkiego aluminium do przewożenia rowerów czy wreszcie boksy bagażowe montowane na hak z tyłu samochodu. To rozwiązanie zresztą może przynieść też ciekawe rezultaty – w testach przeprowadzonych przez Thule okazało się, że przewożenie ładunku z tyłu auta zapewnia nawet lepszą aerodynamikę niż w przypadku braku jakichkolwiek elementów zamontowanych na pojeździe. Użyty do testów elektryczny volkswagen ID4 z boksem bagażowym na haku osiągnął w ten sposób zasięg większy o pięć procent niż pojazd bez dodatkowego systemu bagażowego. **N**

Continental 
The Future in Motion



Bezpieczeństwo w stylu premium

NOWOŚĆ Continental PremiumContact 7

Poczuj komfort jazdy na najwyższym poziomie

- Doskonale prowadzenie na mokrych i suchych drogach
- Bezpieczeństwo i komfort przy każdym rodzaju napędu – spalinowym, hybrydowym i elektrycznym
- Mieszanka **Red Chili™** sprawiająca, że hamowanie nigdy nie było tak przewidywalne



Opony, na których możesz polegać

Więcej na [continental.pl](https://www.continental.pl)





Przywileje dla elektryków

Auto z wtyczką może więcej

W salonach motoryzacyjnych marek przybywa modeli zasilanych prądem. Trudno się dziwić, bo na kierowców e-samochodów czeka wiele udogodnień

TEKST KAROLINA BRZEZIŃSKA

W pierwszych trzech kwartałach 2022 roku w państwach Unii Europejskiej zarejestrowano ok. 717 tys. aut osobowych typu Battery Electric Vehicle (BEV) – podaje Europejskie Stowarzyszenie Producentów Samochodów. To o ponad jedną czwartą więcej niż w tym samym okresie ubiegłego roku. Trudno się dziwić – elektryki są szybkie, przyjemne w prowadzeniu i ciche. Ale niestety też dość drogie, by zachęcić masowo kierowców do przesiadki. Z tego powodu wiele krajów wprowadza specjalne ulgi podatkowe i dopłaty. Do największych entuzjastów samochodów elektrycznych należą Norwegowie. Tamtejszy parlament zdecydował, że narodowym celem będzie sprzedaż wyłącznie bezemisyjnych samochodów już w 2025 roku. Ceny elektryków są tam na tym samym poziomie co ceny samochodów spalinowych. Skutek? Już w ubiegłym roku pojazdy elektryczne zdobyły aż 79,2 proc. udziału w rynku motoryzacyjnym.

Dla kogo „Mój elektryk”?

W POLSCE MOŻNA SIĘ UBIEGAĆ O DOPŁATĘ z Narodowego Funduszu Ochrony Środowiska i Gospodarki Wodnej w programie „Mój elektryk”. Skorzystać z niej mogą zarówno osoby fizyczne, jak i przedsiębiorcy. O wysokości dofinansowania decyduje kilka czynników, pomaga m.in. Karta Dużej Rodziny czy zadeklarowany roczny przebieg. Podstawowy warunek: samochód musi być nowy. Jest jeszcze jeden haczyk – nie możemy go sprzedać przez dwa lata od uzyskania dotacji.

Tyle na dobry początek. Kolejne udogodnienie dla elektryka docenią kierowcy z dużych miast. Jazda po buspasie w Warszawie czy Krakowie może mocno skrócić czas dojazdu do celu (w Polsce nie jest przy tym wymagane do tego żadne dodatkowe oznaczenie samochodu, trzeba jednak liczyć się z kontrolą drogową). Podobnie jest z parkowaniem w płatnych strefach na drogach publicznych – elektryki mogą parkować za darmo. Jeśli spojrzeć na ceny parkowania np. w stolicy, gdzie opłaty rosną z roku na rok, to niebagatelna oszczędność.

Wjazd grozi mandatem

W WIELU EUROPEJSKICH MIASTACH sukcesywnie wprowadzane są strefy czystego transportu (SCT). I nic nie wskazuje na to, by ten trend się zatrzymał. W Berlinie już od 15 lat musimy liczyć się z obostrzeniami dotyczącymi wjazdu do centrum samochodem z konwencjonalnym silnikiem – szczególnie aut, które w układach wydechowych nie posiadają filtra cząstek stałych. Aby więc wjechać do centrum stolicy Niemiec, trzeba spełniać określone wymogi norm

FOT. ING STUDIO 1985 - STOCKADOBEE.COM

Do największych entuzjastów aut elektrycznych należą Norwegowie. Już w 2025 r. mają tam być sprzedawane wyłącznie bezemisyjne samochody

emisji, a nasz samochód musi mieć specjalne oznaczenie. O to w ogóle nie powinni się martwić kierowcy e-samochodów. Podobnie jest w wielu innych dużych miastach Europy: Londynie, Paryżu czy Mediolanie. Wjazd do takiej strefy bez uprawnienia grozi wysokimi karami.

W polskich miastach nie ma jeszcze takich ograniczeń, ale i to wkrótce się zmieni. Pierwszą w naszym kraju strefę czystego transportu ma mieć Kraków. Wymogi SCT zaczęną tu obowiązywać 1 lipca 2024 roku. Według wyliczeń urzędu miasta od 2026 roku do Krakowa nie będzie mogło

wjechać około 20 proc. lokalnych aut. Z kolei Warszawa i Wrocław rozpoczęły konsultacje społeczne w sprawie utworzenia czystych stref.

Przepustka do prędkości

ŻEBY OŻYWIĆ SŁABNĄCĄ SPRZEDAŻ aut elektrycznych, austriacki rząd postanowił, że w pewnych okolicznościach elektryki będą miały wyższy limit prędkości niż tradycyjne samochody. Na większości tamtejszych autostrad kierowcy muszą zdjąć nogę z gazu przy 130 km/godz. na liczniku. Są jednak miejsca, w których (ze względu na środowiskowe ograniczenie prędkości) limity są surowsze. To m.in. wyznaczone odcinki autostrad i ekspresówek w Tyrolu (stałe ograniczenie prędkości do 100 km/godz.), Styrii, Karyntii i Vorarlbergu. Limity dotyczą jednak tylko samochodów z silnikiem konwencjonalnym. Elektryki i auta z napędem wodorowym nie muszą się do nich stosować. Od 2021 roku z tego przywileju korzystać mogą również elektryki z zagranicy, wcześniej przepis odnosił się tylko do Austriaków. Na szczęście zostało to zmienione po interwencji Komisji Europejskiej. **N**

REKLAMA

Stworzone z myślą o pracy w każdym terenie, przyjazne środowisku i ekonomiczne w użytkowaniu.

- Prędkość do 60 km/h
- Zasięg do 100 km na jednym ładowaniu
- Napęd 2WD lub 4x4
- Wersja 2- lub 4-osobowa
- Homologacja dopuszczająca do ruchu po drogach publicznych

 biuro@zefirutv.pl

 506 517 715

 www.zefirutv.pl





Technologia LED wpływa na poprawę bezpieczeństwa na drogach

Zielona układanka

Już co dziesiąta osoba planująca kupno samochodu zainteresowana jest elektrykiem. Co oferuje jej rynek? Sprawdzamy

W Polsce rośnie sprzedaż aut elektrycznych. W ciągu ostatnich sześciu lat z 12 do 42 proc. wzrosła liczba osób zainteresowanych zakupem auta z zielonym napędem – wynika z najnowszego raportu „Barometr nowej mobilności 2022/23” opracowanego przez Polskie Stowarzyszenie Pojazdów Elektrycznych. Według prognoz stowarzyszenia tylko w tym roku liczba nowych rejestracji samochodów bezemisyjnych może sięgnąć 25 tys. Zdaniem ekspertów internetowej platformy sprzedaży Carsmile już co dziesiąta osoba planująca kupno auta jest zainteresowana elektrykiem. Na co może liczyć?

Oferta aut na wtyczkę zwiększyła się na polskim rynku o ponad jedną trzecią w ciągu ostatnich 12 miesięcy. W salonach można dziś wybierać spośród 108 modeli samochodów BEV (w pełni elektrycznych) i 92 hybryd plug-in. W raporcie „Barometr nowej mobilności” opracowanym przez PSPA czytamy, że ponad 55 proc. zelektryfikowanej oferty nad Wisłą należy do trzech globalnych koncernów:

Stellantis (28,4 proc. udziału w rynku), Volkswagen (17,4 proc.), Mercedes-Benz Group (11,9 proc.).

Niemal 82 proc. już zarejestrowanych w Polsce e-aut pochodzi z salonów dealerskich, a tylko 18 proc. z importu, najczęściej z Niemiec i Francji. Najtańsze na rynku nowe elektryki kosztują od 97 do 135 tys. zł (bez uwzględnienia dopłat z programu

„Mój elektryk” czy Karty Dużej Rodziny). W rankingu „Top 10 najtańszych aut elektrycznych” przygotowanym przez rankomat.pl prym wiodą Smart EQ fortwo, Dacia Spring Cargo oraz Fiat 500. Natomiast elektryka z drugiej ręki można mieć za 25 tys. zł.

Eauta wyposażane są w coraz bardziej pojemne akumulatory i oferują coraz większe zasięgi na jednym ładowaniu. Średni zasięg osobowych elektryków wynosi 430 km, najlepsze przejeżdżają ponad 700 km. Problemem jest sieć ładowarek – w 2022 roku było ok. 5 tys. ogólnodostępnych punktów ładowania. Według prognoz ich liczba ma wzrosnąć do ponad 42 tys. w 2025 roku. ●

Agnieszka Rakowska

ŚWIATŁA W E-AUTACH – NOWE MOŻLIWOŚCI

Łukasz Zwoliński, Technical Leader Lighting w KEY

Dzisiejsze światła to już nie tylko punkty świecące, lecz coś więcej. Głównie dzięki technologii LED, która pozwala nie tylko na oszczędzanie energii, wydłużenie żywotności, ale także na poprawę jakości oświetlenia, a co za tym idzie – bezpieczeństwa na drodze.

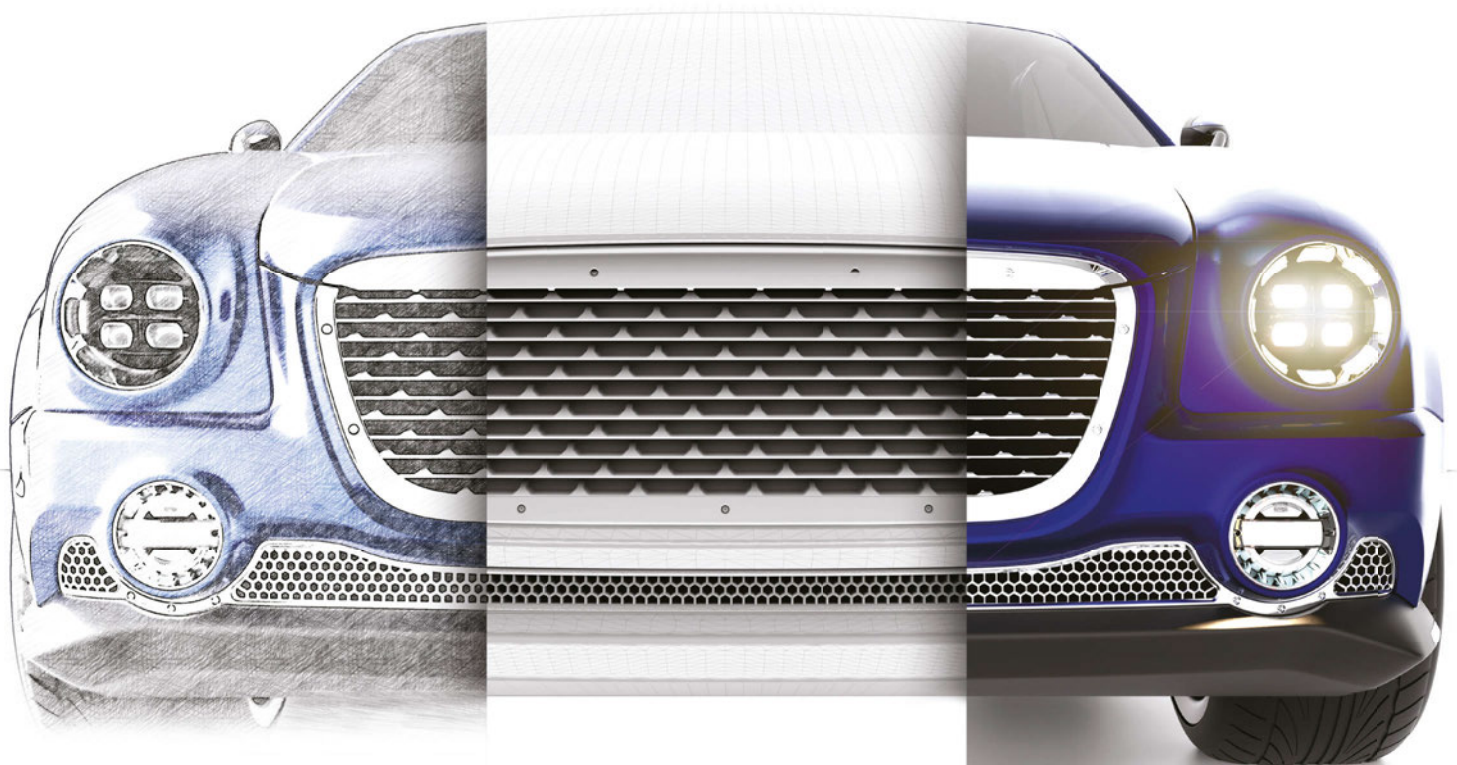
Ponadto technologia ta stanowi przełom w zakresie możliwości stylistycznych, zarówno pod względem kształtu danej funkcji sygnalizacyjnej, jak i wyglądu powierzchni emitującej światło. Coraz częstsze stają się sterowanie lampami za pomocą magistrali CAN, co daje dużo większe możliwości stosowania różnego rodzaju animacji: to już

nie tylko tzw. pływające kierunkowskazy czy powitalne animacje. Popularne jest również wykorzystanie lamp jako wskaźnik stanu ładowania baterii w samochodach elektrycznych. Powoli pojawiają się również rozwiązania, które umożliwią użytkownikowi pojazdu zdefiniowanie własnej animacji za pomocą smartfona i odpowiedniej aplikacji.



CUTTING EDGE SOLUTIONS

PRAWDOPODOBNIENIE
ZAPROJEKTOWALIŚMY
TWÓJ SAMOCHÓD...



CAD - ENGINEERING - SOFTWARE

WWW. KEY-CES .COM

DNI PRACY I WEEKENDY

JAK POLUBIĆ PONIEDZIAŁKI

Kiepski humor, złe samopoczucie, kłopoty ze zdrowiem. Tego częściej doświadczamy w poniedziałki niż w inne dni tygodnia. Naukowcy mają kilka pomysłów, jak nie dać się poniedziałkowej chandrze

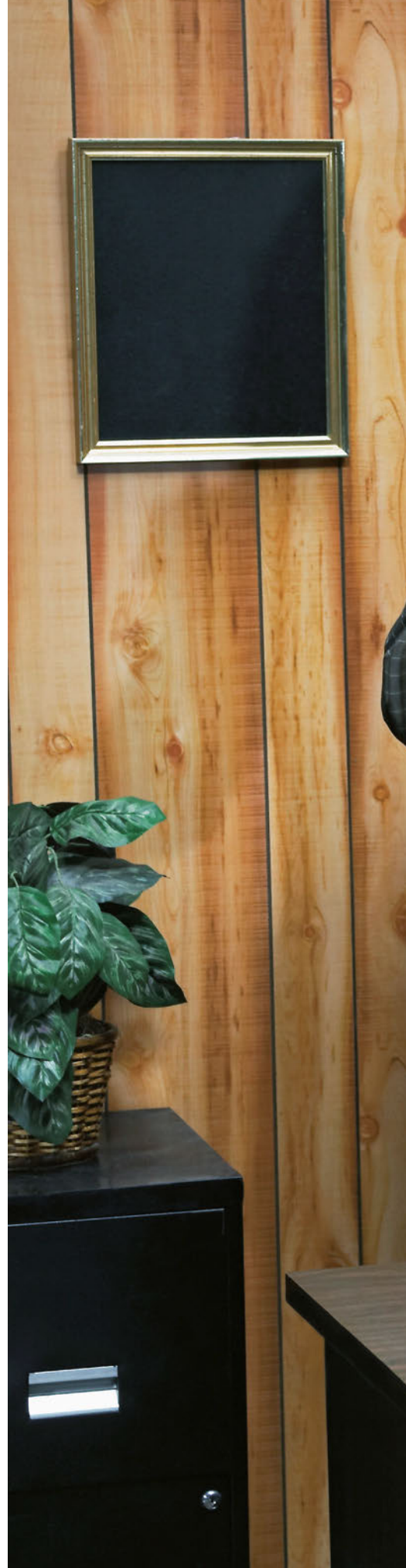
TEKST DOROTA ROMANOWSKA

Na szczęście poniedziałek jest tylko raz w tygodniu” – mawiał kot Garfield, bohater słynnej kreskówki. A gdy był w wyjątkowo złym nastroju, dodawał: „Moje życie to jeden wielki poniedziałek”.

Garfield bez wątpienia nie jest osamotniony w swojej niechęci do poniedziałków. Nie wiadomo jednak, ile osób nie lubi pierwszego dnia tygodnia. – Nie bardzo wiem, jak takie badanie należałoby przeprowadzić. Gdybyśmy zapytali ludzi wprost, czy lubią poniedziałek, to pewnie mało kto odpowiedziałby „tak”. Nikt przecież nie lubi wracać do obowiązków, bardziej cenimy sobie możliwość odpoczynania, przyjemności – mówi dr Ewa Jarczevska-Gerc, psycholożka z Uniwersytetu SWPS. I przekonuje, że można sprawić, aby pierwszy dzień po weekendzie był prawie tak samo dobry jak pozostałe dni tygodnia.

SPOŁECZNY JET LAG

KILKA LAT TEMU NA PORTALU LINKEDIN można było wziąć udział w ankiecie dotyczącej samopoczucia w pracy. Aż 80 proc. respondentów odpowiedziało, że już w niedzielę odczuwa lęk i niepokój. Uświadamiają sobie wtedy, jak wiele spraw do



FOT. TROY AOSSEY/STONE/GETTY IMAGES



załatwienia czeka ich w poniedziałek. Spotkania, zebrania, lista nieprzeczytanych e-maili jeszcze z piątku. Serce zaczyna mocniej bić, pojawia się uczucie rozdrażnienia i napięcia, a wieczorem trudno jest zasnąć.

Ten lęk przed nadchodzącym tygodniem zakłóca spokojny sen z niedzieli na poniedziałek, ale jest jeszcze jedna przyczyna niewyspania – w piątek i sobotę chodzimy spać później niż w pozostałe dni, a w sobotę i niedzielę wylegujemy się do południa. Tę zmianę godzin snu i czuwania eksperci nazywają społecznym jet lagiem. Zjawisko to może dotyczyć nawet ponad 60 proc. pracowników, wynika z ankiety przeprowadzonej w 2017 r. na stronie aplikacji do medytacji, snu i relaksu o nazwie Calm.

Społeczny jet lag źle wpływa na zdrowie. Najbardziej skrajnym tego przykładem są pracownicy zmianowi. Naukowcy już dawno odkryli, że ludzie, którzy pracują w nocy, są bardziej narażeni na cukrzycę, problemy z sercem, a nawet nowotwory. Ale zagrożeni są nie tylko oni. Z badań wynika, że nawet niewielkie różnice w godzinach snu i czuwania mogą powodować problemy zdrowotne. Dr Till Roenneberg z Uniwersytetu Ludwika i Maksymiliana w Monachium wykazał, że opóźnienie wynoszące zaledwie jedną godzinę zwiększa prawdopodobieństwo otyłości o około jedną trzecią. Wyniki badania, w którym wzięło udział 65 tys. Europejczyków, uczony opublikował na łamach „Current Biology”.

NA CHOROBOWYM

BRAK REGENERUJĄCEGO SNU SPRAWIA, że w poniedziałki ludzie mają kiepski humor, dowiedli naukowcy z instytutów badawczych w Niemczech i Austrii, którzy przez dwa tygodnie obserwowali 87 pracowników. Na łamach „Journal of Organizational Behavior” wykazali, że nastrój badanych i poziom energii poprawiały się wraz z kolejnymi dniami tygodnia pracy. Najwyższe były w piątek, a następnie gwałtownie obniżały się w poniedziałek. Pod tym względem mieszkańcy różnych regionów świata nie różnią się między sobą. Ming-Chang Tsai z Academia Sinica na Tajwanie poddał analizie badania przeprowadzone w 46 krajach dotyczące samopoczucia w poszczególne dni tygodnia. Ustalił, że poniedziałek jest dniem, który ludzie najrzadziej nazywają „dobrym dniem”. Poniedziałków nie lubią także inwestorzy, którzy w pierwszym dniu tygodnia są bardziej ostrożni niż w pozostałych dniach, częściej unikają ryzyka i dokonują znacznie bezpieczniejszych inwestycji.

BLUE MONDAY

NA PONIEDZIAŁEK PRZYPADA AŻ JEDNA TRZECIA ZWOLNIEŃ lekarskich, a najczęstszą ich przyczyną są problemy z układem mięśniowo-szkieletowym, infekcje wirusowe i choroby związane ze stresem. To wynik badania z 2008 r., które przeprowadziła firma konsultingowa Mercer.

Dziesięć lat później niewiele się zmieniło. Na podstawie analizy danych z 2018 r. dotyczących prawie 10 tys. pracowników ELAS Occupational Health, firma w Wielkiej Brytanii działająca w obszarze medycyny pracy, ustaliła, że dwa razy więcej osób chorowało w poniedziałki niż w piątki. Wyjątkiem był wtorek 2 stycznia, który zajął pierwsze miejsce pod względem nieobecności, czyli pierwszy dzień pracy po Nowym Roku, oraz środa 28 lutego, która zajęła siódme miejsce w tym rankingu. W tym drugim przypadku przyczyną absencji była „Bestia ze Wschodu”, czyli polarne masy powietrza kontynentalnego, które napłynęły do Wielkiej Brytanii. Temperatura o poranku spadła wtedy do minus 20 stopni i nawet w najcieplejszym momencie dnia było 10 stopni poniżej zera. Pogoda raczej niespotykana na Wyspach.

Analiza ta, jak również kilka innych badań, nie wykazały, aby trzeci poniedziałek stycznia, zwany Blue Monday, był najbardziej przygnębiającym dniem w roku, za jaki uchodził przez kilkanaście lat. Naukowcem, który o tym przekonywał, był

Cliff Arnall, psycholog prowadzący zajęcia na Uniwersytecie Cardiff. A do takiego wniosku doprowadziły go obliczenia na podstawie wzoru matematycznego, który sam opracował. Wzór uwzględniał pogodę, długi po świętach Bożego Narodzenia, poziom motywacji i niedotrzymywanie postanowień noworocznych, czyli czynniki, które wpływają na nastrój.

Szybko okazało się jednak, że obliczenia Arnalla nie mają nic wspólnego z nauką. A co gorsza, uznano, że nazwa Blue Monday jest krzywdząca dla osób cierpiących na depresję i postrzegania ich przez społeczeństwo, bo sugeruje, że to krótkotrwała choroba. W 2018 r. Arnall dostrzegł szkodliwość tego określenia i sam zaczął obalać mit o Blue Monday,

ale wiele osób twierdziło, że w tym dniu czuje się naprawdę źle.

Naukowcom nie dawało to spokoju. Jedni uważali, że po weekendzie ludzie powinni być wypoczęci i naładowani energią i w poniedziałki pracować lepiej oraz lepiej radzić sobie ze stresem, a w miarę upływu tygodnia być bardziej zmęczeni. Inni uczeni twierdzili, że źle znosimy poniedziałki, bo nie dość, że musimy wrócić do pracy po dwudniowym odpoczynku, to jeszcze pięć dni dzieli nas od kolejnej weekendowej przerwy, a nastrój poprawia się nam dopiero w piątek po południu.

Aby sprawdzić, która z tych teorii bardziej oddaje rzeczywistość, naukowcy z uniwersytetu w Hajfie i University of South Florida poprosili grupę pracowników, aby codzienne wypełniali ankietę.

Pytali w niej o stres, jakiego doświadczają w pracy, i o to, jak bardzo lubią swoją pracę. W badaniu wzięły udział tylko te osoby, które pracowały od poniedziałku do piątku, bez weekendów i wieczorów.

**NA PONIEDZIAŁEK
PRZYPADA AŻ JEDNA
TRZECIA ZWOLNIEŃ
LEKARSKICH,
A NAJCZĘSTSZĄ ICH
PRZYZYNĄ SĄ PROBLEMY
Z UKŁADEM MIĘŚNIOWO-
SZKIELETOWYM, INFEKCJE
WIRUSOWE I CHOROBY
ZWIĄZANE ZE STRESEM**

Okazało się, że na początku tygodnia pracownicy mniej lubią pracę i doświadczają większego stresu, a ta niechęć do poniedziałków może brać się stąd, że mają za dużo obowiązków, są wypaleni i przepracowani. – Dlatego dobrze jest zrobić listę codziennych zadań do wykonania i przyjrzeć się, z których możemy zrezygnować. Może się okazać, że pewne rzeczy robimy z rozpędu, automatycznie, a one są zupełnie niepotrzebne – radzi dr Jarczewska-Gerc. Wyniki badań pokazują, że najbardziej wypalają się entuzjaści, czyli ludzie, którzy kochają swoją pracę. – Bo oni często tak się angażują, że nie zostawiają sobie żadnych zapasów energii. Nie dają sobie czasu, aby się zregenerować, oderwać od obowiązków – mówi dr Jarczewska-Gerc.

Zaskoczenie przyniosła analiza prawie dwóch milionów tweetów napisanych przez 200 tys. mieszkańców Londynu i San Francisco, którą przeprowadzili naukowcy z Instytutu Technologii w Kioto, a szczegóły opisali w czasopiśmie „PLOS One”. Wynika z niej, że poniedziałek wcale nie jest najgorszym dniem tygodnia, bo dużo gorzej są wtorki i środy. To w tych dniach ludzie zamieszczają na Twitterze najbardziej krytyczne i smutne komentarze, a w czwartki i piątki, gdy coraz bliżej jest do weekendu, liczba pozytywnych wpisów rośnie. Najbardziej radosnym dniem okazała się sobota, lecz w niedzielę poziom pozytywnych emocji spada.

Dlaczego już w niedzielę pogarsza nam się nastrój i zaczynamy myśleć o pracy? – Z moich obserwacji wynika, że zbyt wiele rzeczy chcemy zrobić idealnie, odkładamy je na ostatni moment i zabieramy się za nie, gdy jesteśmy totalnie zmęczeni. Nie wykonujemy innych zadań i one przechodzą nam na poniedziałek. W niedzielę jesteśmy zestresowani, bo nie tylko mamy nowe obowiązki, ale także zaległości z poprzedniego tygodnia – mówi dr Jarczewska-Gerc.

Sytuację tę świetnie tłumaczy koncepcja dotycząca stresu, którą zaproponował Stevan Hobfoll. – Jego zdaniem stres to sytuacja, w której tracimy ważne dla nas zasoby, np. energię, dobry humor czy czas, ale stresem jest także antycypacja sytuacji utraty tych zasobów. W niedzielę nie tracimy zasobów, ale przewidujemy, że te zasoby utracimy. Kiedy jednak uświadomimy sobie, że tak się dzieje, możemy zmienić swoje nastawienie do poniedziałku – mówi dr Jarczewska-Gerc.

W ZALEWIE KORTYZOLU

STRES, JAKI ODCZUWAJĄ LUDZIE W PONIEDZIAŁKI, potwierdzają badania hormonu stresu. „U pracujących poziom kortyzolu mierzony w próbkach śliny w dni powszednie, zaraz po przebudzeniu, gwałtownie wzrasta. Najwyższy jest w poniedziałki i wtorki, a najniższy w niedziele” – piszą Cristina Resche i Jolanta Burke z RCSI University of Medicine and Health Scien-

ces w Dublinie na łamach popularnonaukowego portalu The Conversation.

Zdaniem badaczek z Irlandii można obniżyć poziom kortyzolu o poranku w pierwszych dniach tygodnia. Trzeba tylko sprawić, aby ciało migdałowate nie przejęło kontroli nad mózgiem. To ono uwalnia hormon stresu i zanim jesteśmy w stanie zastanowić się, czy zagrożenie jest realne, błyskawicznie przygotowuje organizm do walki lub ucieczki. Aby tak się nie stało, trzeba uaktywnić korę przedczołową, która przeanalizuje daną sytuację i złagodzi emocjonalną reakcję na stres. Zanim więc zaczniemy się niepokoić tym, co czeka nas w poniedziałek, dobrze jest chwilę się zastanowić, czy rzeczywiście pierwszy dzień tygodnia będzie tak straszny, jak nam się wydaje. W łagodzeniu napięcia i zmniejszeniu poziomu kortyzolu może też pomóc spędzanie czasu na łonie natury. Eksperti proponują wyjść na spacer do parku z samego rana w poniedziałek albo w przerwie na lunch.

Marisa Jo Mayes, tiktokerka i założycielka start-upu Space-

time Monotasking, wspierającego osobistą produktywność, ma inny pomysł na początek tygodnia. „Jeśli nie lubisz poniedziałku, zacznij tydzień na luzie”. Ten nowy trend nazwała Bare Minimum Monday. Na TikToku zdobywa on coraz więcej zwolenników. Chodzi w nim o to, aby w poniedziałek wykonywać naprawdę niezbędne zadania. Nie planować serii spotkań ani nie załatwiać trudnych, wymagających spraw. Takie postępowanie ma zmniejszyć stres i ułatwić pracę – już bardziej intensywną – w kolejnych dniach tygodnia. A także ochronić przed wypaleniem zawodowym. – Ten trend może okazać się niebezpieczny. Nie ma bowiem magicznej różdżki, za sprawą której zniknęłyby nasze obowiązki. Gdy zrobimy sobie luźny poniedziałek,

powstaną zaległości, których w pozostałe dni tygodnia nie będziemy w stanie nadrobić – ostrzega dr Jarczewska-Gerc.

Być może lepszym rozwiązaniem byłaby sytuacja odwrotna – Maximum Effort Monday – która polegałaby na maksymalnym nadrobieniu zaległości właśnie w poniedziałek, po weekendzie, czyli teoretycznie po okresie regeneracji, a potem na spokojnej realizacji kolejnych zadań w pozostałych dniach tygodnia. – Bardzo często zaniedbania i zaległości tak się kumulują, że to właśnie one psują nam niedzielne popołudnia i wieczory, bo czujemy na plecach ciężar zbliżających się nagromadzonych zadań. „Posprzątanie” zaległości to najlepsze rozwiązanie, bo napięcie zejdzie samo, kiedy nie będziemy mieć z tyłu głowy listy niedokończonych zadań – mówi dr Jarczewska-Gerc. A wtedy może nie tylko polubimy poniedziałki, ale nawet nie będziemy mogli się ich doczekać. **N**

dorota.romanowska@newsweek.pl

Z ANALIZY DWÓCH
MILIONÓW TWEETÓW
NAPISANYCH PRZEZ
200 TYS. MIESZKAŃCÓW
LONDYNU I SAN FRANCISCO
WYNIKA, ŻE NAJBARDZIEJ
KRYTYCZNE I SMUTNE
KOMENTARZE POWSTAJĄ
WE WTORKI I W ŚRODY,
A NIE W PONIEDZIAŁKI





RODZINKA

SAMICA NIEDŹWIEDZIA POLARNEGO buduje legowisko zazwyczaj w śnieżnych zaspach i tam wydaje na świat najczęściej dwoje dzieci. Maluchy rodzą się ślepe i głuche. Ważą mniej niż kilogram i są wielkości szczura. Nie mają sierści. Ich ciało jest pokryte delikatnym puchem. Mama karmi młode mlekiem bogatym w tłuszcz. Sama w tym czasie nic nie je.

Z legowiska niedźwiadki po raz pierwszy wychodzą po około pięciu miesiącach. Ważą wtedy 10-15 kg i są wielkości domowego kota. Pierwsze dwa tygodnie rodzina spędza w pobliżu legowiska. Mama bacznie obserwuje, a maluchy przyzwyczajają się do spacerów i zabaw. Potem uczą się polować. Ich ofiarami padają głównie foki, ale niedźwiedzie polują także na ptaki, gryzonie, skorupiaki, kraby czy młode morsy.

Samica opiekuje się młodymi przez co najmniej dwa lata. Potem niedźwiadki muszą radzić sobie same.

FOT. MARTIN GREGUS/MEDIA DRUM/EAST NEWS

Dźwięk przypomina lekkie trzaskanie lub klikanie, coś jak odgłos zgniatanej folii bąbelkowej. Jest niesłyszalny dla ludzkiego ucha, ale naukowcom z uniwersytetu w Tel Awiwie udało się go nagrać i wzmacnić tak, abyśmy mogli to usłyszeć – „krzyk” wydawany przez roślinę tuż po tym, jak obetnie jej się łodygę albo pozbawi wody.

To najnowsze badanie, dowodzące, że rośliny potrafią się ze sobą komunikować i reagują na bodźce z otoczenia. Naukowcy coraz więcej wiedzą na temat zmysłów, jakimi rośliny odbierają świat, ich niesłyszanej wrażliwości na dotyk, ale też umiejętności ostrzegania się nawzajem przed niebezpieczeństwem. Dźwięki zarejestrowane w laboratorium botanicznym w Tel Awiwie wydają się właśnie reakcją na zagrożenie i próbą ostrzeżenia przed nim sąsiednich roślin.

IM GORZEJ, TYM GŁOŚNIEJ

ABY SPRAWDZIĆ, CZY ROŚLINY POTRAFIĄ WYDAWAĆ DŹWIĘKI, izraelscy naukowcy pod kierownictwem prof. Lilach Hadany, biologki ewolucyjnej, zaplanowali serię eksperymentów. Wyhodowali do nich kilkadziesiąt sadzonek dwóch roślin – tytoniu oraz pomidorów, umieszczając je najpierw w dźwiękoszczelnym tunelu foliowym, a następnie w bardziej hałaśliwej szklarni. Wokół sadzonek rozstawili mikrofony, które przesyłały zarejestrowane dźwięki do komputera. Naukowcy zainstalowali w nim algorytm sztucznej inteligencji, który wytrenowali w rozróżnianiu dźwięków, tak aby mógł wychwycić z nagrania te wydawane przez rośliny.

Teraz trzeba było jeszcze sprowokować rośliny do wydania dźwięków. Naukowcy robili to na dwa sposoby – u części roślin ucinali pojedyncze łodygi, a inne przestawiali podlewać. Następnie sprawdzali, czy mikrofony zarejestrowały jakieś nietypowe dźwięki, które algorytm rozpoznał. Okazało, że było ich mnóstwo! Jak pisze zespół prof. Hadany w naukowym periodyku „Cell”, rośliny pod wpływem negatyw-

Mówiące rośliny

Potrafia rozmawiać na różne sposoby: wykorzystują dźwięki, zapachy, a nawet impulsy elektryczne. Rośliny to prawdziwe gaduły

TEKST KATARZYNA BURDA





nych bodźców – stresorów – emitują więcej dźwięków niż rośliny pozostawione w spokoju. Program komputerowy wyliczył, że pojedyncza roślina po ucięciu łodygi wydaje 30-50 takich kliknięć na godzinę, rośliny, których nikt nie dotykał, wydawały znacznie mniej dźwięków. – Kiedy pomidory nie są pod wpływem stresorów, są bardzo ciche – mówi prof. Hadany.

Algorytm rozpracował też schemat wydawania dźwięków przez rośliny, których nie podlewano. Zaczęły one wydawać swoje „kliknięcia”, zanim doszło do dużego odwodnienia. – Częstotliwość dźwięków osiągnęła szczyt po pięciu dniach bez wody – relacjonują badacze. Dźwięki mieściły się w zakresie fal ultradźwiękowych, a więc poza zakresem słyszalności ludzkiego ucha. Jednak są to dźwięki o głośności porównywalnej z ludzką rozmową dla organizmów odbierających ultradźwięki słyszalne z około metra.

DRGAJĄCE KORZENIE

NIE BYŁ TO PIERWSZY EKSPERYMENT, w którym udało się zarejestrować takie kliknięcia. O tym, że rośliny nie są całkowicie nieme, po raz pierwszy poinformowała 10 lat temu dr Monica Gagliano z University of Western Australia. Zarejestrowała ona dźwięki wydawane przez korzenie młodych sadzonek kukurydzy. Emitowały falę o częstotliwości 220 Hz, która wywoływała wibracje w glebie. Dr Gagliano zauważyła, że korzenie innych sadzonek umieszczonych w przezroczystych naczyniach w wodzie kierują się w stronę źródła fal o tej częstotliwości.

Zespół prof. Hadany poszedł krok dalej. Izraelscy naukowcy dowiedli, że ta „mowa roślin” może rozchodzić się

w powietrzu identycznie jak odgłosy wydawane przez zwierzęta lub ludzi. I naprawdę przypomina mowę – algorytm komputerowy wykazał, że dźwięki wydawane przez rośliny odwodnione są inne niż te generowane przez roślinę, której obcięto łodygę. Umiał też rozpoznać, czy „mówi” pomidor, czy tytoń.

Naukowcy mają pewną hipotezę, w jaki sposób rośliny wydają te odgłosy. Może to być spowodowane procesem zwanym kawitacją, czyli tworzeniem się i pękaniem pęcherzyków powietrza w układzie naczyniowym rośliny. Prof. Hadany zastrzega, że nie ma dowodów na rolę komunikacyjną roślinnych kliknięć, jest jednak przekonana, że muszą one być rodzajem komunikatu dla innych roślin lub dla zwierząt. – Następne pytanie brzmi: kto lub co może je usłyszeć? – mówi prof. Hadany. Niemal na pewno rośliny słyszą siebie nawzajem, bo już wcześniej botanicy zaobserwowali, że przynajmniej niektóre rośliny są wrażliwe na wibracje powietrza – czyli efekt wywołany przez fale dźwiękowe. Tę zdolność mają np. kwiaty wytwarzane przez krzewy pomidorów czy czarnych jagód, które wydzielają nektar wyłącznie w odpowiedzi na określoną częstotliwość wibracji wytwarzanych przez skrzydła zapyłających te rośliny pszczoł. Zdaniem prof. Hadany również wiele gatunków zwierząt mogło rozwinąć ewolucyjną zdolność słyszenia „mowy roślin”, np. ómy składające na nich jaja czy zwierzęta, dla których dana roślina jest pokarmem.

Jak sądzi dr Gagliano, rośliny dzięki tym dźwiękom mogą też rozpoznawać siebie nawzajem. Badaczka przeprowadziła w 2013 r. eksperyment, w którym wykazała, że papryczki chili

rosną zdecydowanie lepiej w obecności bazylii, a ich wzrost jest zahamowany, jeśli obok rośnie koper włoski. To zależność obserwowana też od lat przez ogrodników. Zespół dr Gagliano w laboratorium próbował wyhodować nasiona chili w obecności dorosłej rośliny bazylii i kopru włoskiego. Okazało się, że nasiona w pobliżu kopru kiełkowały gorzej. Jedyne sposoby, w jaki mogły dowiedzieć się o tym niechcianym sąsiedzie, było podsłuchanie wydawanych przez niego dźwięków – uważa dr Gagliano, choć wtedy nie udało się tych dźwięków zarejestrować.

PACHNIE KATASTROFA

DR GAGLIANO NIE BEZ POWODU W SWOIM EKSPERYMENCIE odizolowała rośliny tak, żeby nie mogły się „wywęszyć”. To właśnie komunikacja zapachowa uznawana jest za ich podstawowy język. Funkcją nośników informacji pełnią w niej lotne lub przedostające się przez glebę związki chemiczne. Za ich pomocą rośliny mogą ostrzegać się przed drapieżnikami lub suszą i rozpoznawać swoje krewniaczki wśród innych roślin.

Jednym z pierwszych badań, które wykazało, że rośliny mogą komunikować się za pomocą wydzielanych substancji chemicznych, przeprowadził Richard Karban, entomolog z University of California. Na potrzeby eksperymentu zasadził na pastwisku dla bydła bylicę *Artemisia vulgaris* złożone z identycznych genetycznie sadzonek. Kiedy rośliny wyrosły, naukowiec uszkodził jedną roślinę, a następnie obserwował, jak szybko reszta bylic została zjedzona przez zwierzęta. Okazało się, że w promieniu 60 centymetrów od uszkodzonej rośliny reszta bylic w tajemniczy sposób uodporniała się na zjedzenie. Najprawdopodobniej stawały się mniej smaczne dla roślinożerców. Uczony sądzi, że uszkodzona bylica wysłała w powietrze niezidentyfikowane jeszcze lotne związki chemiczne, które „wywęszyły” jej sąsiadki, dzięki czemu mogły w porę wyprodukować związki chemiczne psujące ich smak. Dlatego zwierzęta ich nie zjadły.

Okazuje się, że zdolności do komunikowania się mają nie tylko naziemne części roślin, ale również ich korzenie. One także wydzielają do gleby związki chemiczne, które zmieniają jej skład – a to rodzaj informacji chemicznej, którą są w stanie odebrać inne rośliny. Jak dowiedli uczeni z Uniwersytetu Hebrajskiego w Jerozolimie, dzięki tym sygnałom chemicznym wydzielanym do ziemi rośliny mogą się ostrzegać o nadchodzącej suszy. Uczeni w swoim eksperymencie posadzili sześć sadzonek w stojących rzędem doniczkach tak, aby każda kolejna roślina miała połowę korzeni w jednej doniczce, a połowę w następnej. Potem przestali podlewać ziemię w pierwszej doniczce. Już po kwadransie od wyschnięcia ziemi w tej do-

niczce rośliny w pozostałych doniczkach wiedziały, co się dzieje – wszystkie zareagowały na nadchodzącą suszę. Ograniczyły parowanie wody. Wygląda na to, że czując suchą ziemię, pierwsza roślina wydzieliła do gleby substancje chemiczne, które odebrały korzenie jej sąsiadki, a ona przekazała informację dalej.

Sztukę komunikacji zapachowej rośliny opanowały do perfekcji. Potrafią wysłać zapachy stanowiące czytelną informację dla innych gatunków, np. dla owadów. Nawłoc potrafi zmienić swój zapach tak, aby odstraszyć wroga jej muszki owocówki – dowiedli entomolodzy z Penn State University. Nawłocie nie lubią się z muszkami owocowymi, bo

Algorytm komputerowy wykazał, że dźwięki wydawane przez rośliny odwodnione są inne niż generowane przez roślinę, której obcięto łodygę

muszki te składają na łodygach nawłoci jajeczka, które upośledzają wzrost rośliny. Utrudniają wytwarzanie i wysiew nasion. Nawłocie nauczyły się więc rozpoznawać zapach nadlatującego samca i wtedy wytwarzają związki zapachowe odstrasżające samice muszek. Do randki i złożenia jajeczek nie dochodzi, nawłoc jest uratowana.

GRZYBOWY INTERNET

CAŁKIEM NIEDAWNO NAUKOWCY ODKRYLI JESZCZE JEDEN RODZAJ SYGNAŁÓW, za pomocą których mogą porozumiewać się rośliny – to impulsy elektryczne podobne do tych, jakie przebiegają między neuronami w naszym mózgu. Ten rodzaj komunikacji między roślinami bada polski uczony, prof. Stanisław Karpiński ze Szkoły Głównej Gospodarstwa Wiej-

skiego. Wspólnie z naukowcami z University of Missouri ustalił on, że rośliny przekazują sobie informacje za pomocą impulsów elektrycznych przesyłanych przez liście. Takie sygnały mogą rozprzestrzeniać się między roślinami różnych gatunków. Prof. Karpiński wykazał to w eksperymencie, w którym postawił obok siebie dwie rośliny mniszka lekarskiego, a liście jednego z nich dotykały liści mimozy. Okazało się, że po przyłożeniu miedzianego drucika do listka mniszka mimoza błyskawicznie zaczęła związać listki.

Sygnały elektryczne mogą być przekazywane nie tylko przez stykające się liście, ale i przez korzenie, także te, które wcale się nie dotykają. Takim nośnikiem sygnału elektrycznego między roślinami – zwłaszcza drzewami – są bowiem nitki grzybni grzybów mikoryzowych, wchodzących z drzewami w symbiozę. Naukowcy wykazali, że różnice potencjałów między nitkami grzybów porastających korzenie drzew i całą glebę w lesie są podobne jak różnice potencjałów w ludzkim mózgu. Jak wykazał prof. Andrew Adamatzky z University of West Bristol w Anglii, niektóre sekwencje impulsów elektrycznych przebiegających przez grzyby przypominają zdania w ludzkim języku. Naukowiec naliczył około 50 słów, które wymieniają między sobą grzyby mikoryzowe – ich treść pozostaje jednak nieznana.

Znane za to są inne sygnały, które wymieniają między sobą drzewa za pomocą grzybów. To różne substancje chemiczne wydzielane przez korzenie roślin i transportowane przez grzyby. Dzięki nim rośliny mogą informować się o zagrożeniach, przesyłać sobie substancje odżywcze albo nawet zwalczać się wzajemnie. Jedną z pierwszych substancji służących roślinie do informowania innych o swojej obecności jest juglon, cząsteczka chemiczna wytwarzana przez orzech czarny i przesyłana przez niego za pomocą grzybni do okolicznych roślin. Wiadomość nie jest przyjemna – to coś w stylu „wynoście się stąd”. I rośliny się wynoszą. Ogrodnicy dobrze wiedzą, że pod orzechem czarnym nic nie rośnie. **N**

katarzyna.burda@newsweek.pl




prenumerata roczna

Newsweek^{POLSKA}

PSYCHOLOGIA DZIECKA I NASTOLATKA

Sprawdź, co zyskujesz:

- **8 wydań prasowych** dostarczanych pod wybrany adres
- roczny dostęp online do treści kilkunastu wydawców **w pakiecie**  **onet premium**

+ **KSIĄŻKA „SEXED PL. DORASTANIE W MIŁOŚCI, BEZPIECZEŃSTWIE I ZROZUMIENIU. PRZEWODNIK DLA RODZICÓW”**



Zamów za **129 zł** z bezpłatną dostawą na **Literia.pl**

Oferta limitowana

Prenumerata do potęgi

Newsweek^{POLSKA}

KRZYSZTOF GLOBISZ NA EKRANIE

ROLA ŻYCIA

Dziewięć lat po udarze Krzysztof Globisz udowadnia, że **nawet z afazją można zagrać główną rolę**. I to jak! „Prawdziwe życie aniołów” w kinach od 14 kwietnia

TEKST ARTUR ZABORSKI

Jest taki wywiad sprzed kilkunastu lat, w którym Krzysztof Globisz opowiada – jak zawsze dowcipnie, modulując głos i zmieniając jego barwę – o mężczyźnie, który pomylił swoją żonę z kapeluszem. A potem – już zupełnie poważnie – tłumaczy, że interesuje go afazja, jękanie, problemy z mową. Ten wywiad pojawia się w „Prawdziwym życiu aniołów”. – Ty już nie mów, ty sobie wszystko wykrakałeś – mówi ekranowa Agnieszka Globisz, w którą wciela się Kinga Preis. Ta scena wydarzała się naprawdę, tak jak trzy czwarte tego, co pokazuje nam w filmie Artur „Baron” Więcek.

MROCZNA STRONA GLOBISZA

USPOKAJAM: TO NIE JEST ANI LAURKA DLA GLOBISZA, ani sentymentalny obraz jego choroby. Reżyser, który od lat przyjaźni się z aktorem, wiedział, że takiego podejścia nie wybaczyliby mu ani Krzysztof, ani jego żona.

Widzowie poznają więc również mroczne strony Globisza, kiedy zaglądał do kieliszka i kiedy rodzina nie była dla niego najważniejsza. Widzimy, że Agnieszka i Krzysztof się kochają, ale ich życie również przed udarem aktora nie przypomina świata z komedii romantycznych. – Syn Globisza jest dzisiaj operatorem. I rozumie, jak działa świat kina, tak jak cała jego rodzina. Nie czepiali się, że coś, co pojawia się na ekranie, nie wydarzyło się naprawdę. Albo że wyglądało inaczej – opowiada reżyser.



Kadr z filmu „Prawdziwe życie aniołów” w reż. Artura „Barona” Więcka. Na zdjęciu Kinga Preis i Krzysztof Globisz

FOT. GRZEGORZ ZIEMIŃSKI

To film wyjątkowy – nikt wcześniej nie napisał scenariusza specjalnie dla aktora z niepełnosprawnością, a do tego Globisz gra tu siebie sprzed udaru i po nim.

– Znamy się z Krzysztofem lata, ale na początku było mnóstwo obaw. Do końca nikt z nas nie wiedział, jak będzie wyglądać ta praca – mówi Więcek, który przyznaje, że nie był pewny, jaki powinien być nastrój produkcji. We wcześniejszych filmach z cyklu anielskiego rzeczywistość była brana w nawias konwencji. Chodziło o wprowadzenie widzów w dobry nastrój, twórcy korzystali z nadal niepopularnego w Polsce gatunku zwanego feel good movie. – Już sama postać anioła na ziemi wprowadzała ten dystans – mówi „Baron” Więcek.

No ale jak wprowadzić widza w dobry nastrój, pokazując mu historię bohatera, który w 2014 r. przeszedł udar tak rozległy, że lekarze musieli walczyć o jego życie? – Kiedy Krzysztof do mnie trafił, byłem pewny, że to koniec jego kariery – mówi „Newsweekowi” dr hab. n. med. Adam Kobayashi. Tłumaczy, że poważny stan aktora wynikał z tego, że późno znalazł się w szpitalu. – Był wtedy w pracy w Warszawie, zupełnie sam. Gdyby ktoś był w pobliżu i karetkę wezwano wcześniej, wszystko mogłoby wyglądać inaczej, bo w przypadku udaru czas jest bardzo ważny. Pan Krzysztof miał masywny obrzęk mózgu i musiał być operowany – opowiada specjalista.

Zagrożenie życia było realne. Aktor spędził w szpitalu kilka miesięcy, potem była rehabilitacja. I gdy fani aktora tracili już nadzieję, że kiedykolwiek wróci do pracy, w mediach gruchnęła wiadomość, że Globisz ma wystąpić w teatrze w sztuce „Wieloryb. The Globe”, którą pierwszy raz publiczność zobaczyła w 2016 r. na festiwalu Boska Komedie. Prasa pisała o cudzie, bo aktor występuje na scenie przez bite dwie godziny. I sylabizuje słowa, które wypowiada w stronę publiczności.

POKAŻECIE, JAK TO FAJNIE JEST BYĆ PO UDARZE?

– CZY TO BYŁ CUD? – PYTAM DR. KOBAYASHIEGO. – Przy tak rozległym udarze powrót do pracy zawodowej faktycznie jest bardzo rzadki. Z reguły takie osoby są skazane na zależność od rodziny albo trafiają do zakładów opiekuńczo-leczniczych. To olbrzymie osiągnięcie. Oczywiście, pan Krzysztof jest skazany na jeden typ roli – ciężko chorej osoby. Jednak dla pacjentów po udarze i ich rodzin jest znakomitym przykładem, że powrót do zdrowia jest w jakimś stopniu możliwy – odpowiada lekarz.

Jak to się stało, że Globisz osiągnął to, co nie udaje się innym? – W walkę o zdrowie pana Krzysztofa zaangażowało się wiele osób. Cała rodzina wprowadziła wiele zmian, a on wykazał się ogromnym uporem. Pamiętajmy, że my, lekarze, walczyliśmy o to, żeby nasi pacjenci mogli chociaż sami pójść do toalety. Żeby ich partnerzy mogli wyjść z domu przynajmniej raz dziennie i zrobić zakupy. Osiągnięcie takiego etapu – kiedy można zostawić kogoś na chwilę samego w domu – jest już naprawdę dużym sukcesem. A pan Krzysztof, choć nadal ma oczywiście duży deficyt neurologiczny, zwłaszcza jeśli chodzi o zaburzenia mowy, wrócił do formy na tyle, że jest w stanie jakoś funkcjonować – dodaje specjalista.

To właśnie w „Wielorybie. The Globe” zobaczył Globisza Artur „Baron” Więcek. I już nie miał wątpliwości, że musi wrócić

do swojej anielskiej serii – wiedział, że Globisz sobie poradzi, bo – jak mówi – w teatrze nie da się oszukać. Albo się gra, albo się udaje. – A Krzys, choć nie mówił, to grał – zapewnia. Ale gdy zaczął dzielić się swoim pomysłem z innymi, z reguły słyszał sceptyczne odpowiedzi: – Nadal będziecie tacy pozytywni? Znowu zrobicie film o tym, jak to życie wam sprzyja? Pokażecie, jak to fajnie jest być po udarze? – pytali ludzie zaczepnie.

Więcek wiedział, że tym razem trzeba podejść do rzeczy bardziej serio. I odpowiedzieć sobie na pytanie, czy powrót Globisza do roli, która dała mu wielką popularność, gdy był w pełni sił, nie wywoła w nim negatywnych emocji. Zwłaszcza że reżyser chciał pokazać także sam udar.

Okazało się, że Globisz wyparł tamto doświadczenie. – Nie pamięta udaru ani niczego, co się z nim działo przez pierwsze dwa miesiące pobytu w szpitalu – mówi Więcek. – Dla nas to było błogosławieństwem, bo nie odtwarzaliśmy historii, tylko ją kreowaliśmy. On jej nie odwzorowywał, tylko stwarzał – dodaje reżyser.

Źródłem informacji była Agnieszka Globisz, która dzieliła się swoimi obserwacjami na temat Krzysztofa i na potrzeby scenariusza opowiadała, jak wygląda życie z nim teraz, kiedy aktor nie może się swobodnie komunikować.

” BYLIŚMY W STANIE SIĘ POROZUMIEĆ, BO ON MÓWI CAŁYM CIAŁEM, NAWET JEŚLI NIE OPERUJE SŁOWAMI

KINGA PREIS O PRACY Z KRZYSZTOFEM GLOBISZEM

Więcek: – Krzysiu nie jest w stanie nawet sam przeczytać scenariusza – ktoś musi zrobić to za niego. Na początku nie wiedzieliśmy nawet, czy on rozumie przebieg dramaturgiczny naszej opowieści. Rzucaliśmy się na głęboką wodę, bo wszystko to trzeba było sprawdzić w praniu.

Szybko okazało się, że Globisz świetnie rozumie swoją rolę. – Wiedział, w jakim miejscu tej historii jest, jakie emocje ma do wygrania, a także – co czuje i myśli jego postać – opowiada reżyser. Wspomina, że Globisz szybko łapał wszystkie uwagi, był w stanie robić kolejne duble, podchodzić do nich za każdym razem inaczej. – Powtarzaliśmy nie z powodu tego, że zrobił coś źle, ale dlatego, że nie był usatysfakcjonowany efektem końcowym. Dokładnie tak jak wysokiej klasy aktor. Większość dubli motywowała chęć, żeby coś wyszło lepiej. Nie chodziło o ograniczone możliwości Krzysia – mówi „Newsweekowi” Kinga Preis, ekranowa Agnieszka Globisz.

ŚWIAT POJEDYNCZYCH SŁÓW

TWÓRCY MÓWIĄ, ŻE KRZYSZTOF GLOBISZ KORZYSTAŁ Z INTUICJI i nie miał problemu ze świadomością tego, w czym bierze udział. – Inaczej nie nakręciłbym tego filmu. Nie wyobrażam sobie, że mógłbym postawić kamerę naprzeciwko kogoś, kto nie wie, co się dzieje – przyznaje Więcek.

Twórcy stanęli jednak przed masą wyzwań – od logistyki po komunikowanie się Globisza z resztą ekipy. – Pamiętam, że podczas pierwszych dni zdjęciowych byłam zdenerwowana z powodu starań, żeby móc się z Krzysiem dogadać – przyznaje Kinga Preis. – On jest bardzo komunikatywny, ale w inny sposób niż ten, do którego przywykliśmy i który rozumiemy. To świat pojedynczych słów, które trzeba właściwie usłyszeć. Krzys bardzo chciał nam to ułatwić i denerwował się, kiedy mu to nie wychodziło. Ostatecznie wszystko dobrze się skończyło. Byliśmy w stanie się porozumieć, bo on mówił całym ciałem, nawet jeśli nie operował słowami. Ale faktycznie było to niepowtarzalne doświadczenie – przyznaje aktorka.

Na powstaniu „Prawdziwego życia aniołów” najbardziej zależało chyba samemu Globiszowi. Jego żona Agnieszka jest osobą skromną i skrytą, nie opowiada publicznie o tym, jak wygląda życie z mężem po udarze. A Krzysztof chciał przekonać widzów, że nadal potrafi być szczęśliwy, że nie powinni się nad nim litować. – A ja mu jeszcze przypominałem, że dzięki tej produkcji może stworzyć rolę życia – śmieje się Więcek. – „Krzysiu, jakbyś był zdrowy, tobyś zagrał jeszcze dwie-trzy dobre role. I tyle. A tak to zrobisz coś, czego w Polsce jeszcze nikt nie zrobił i na zawsze cię zapamiętają” – tak sobie z nim żartowałem – dodaje reżyser.

Scenariusz był dopasowany do możliwości fizycznych aktora. Globisz z ekranu mówi tyle, ile naprawdę może powiedzieć, i porusza się na tyle, na ile faktycznie sam jest w stanie. – We wszystkim, co widzimy na ekranie, Krzys naprawdę brał udział – podkreśla Więcek. I wylicza, że aktor chodził po śniegu w Zakopanem, a nawet wspinał się po górach. – Był zachwycony, choć transportowanie go na plan było wyzwaniem. Wsadzanie go na sianie i zszadanie go z nich długo trwało, bo nie mógł zejść o własnych siłach. Ale humoru nie tracił – śpiewał po swojemu onomatopiecznie opery – śmieje się Więcek.

Producentka Aneta Zagórska żartobliwie mówi, że film zawdzięcza swoje powstanie też łutowi szczęścia. – Gdy przyjechaliśmy na Podhale kręcić sceny wichury, przez którą przedziera się samochód z Krzysiem, akurat trwały roztopy. Byliśmy załamani, bo nie stać nas było na dodanie tej sceny w postprodukcji. Jednak następnego dnia pogoda kompletnie się zmieniła – zaczęło wiać i sypać – opowiada. – Nakręciliśmy, co trzeba, i wróciły roztopy – śmieje się. A już poważnie dodaje: – Wcześniej nie zdawaliśmy sobie z ekipą sprawy, ile wysiłku kosztuje człowiek zrobienie kroku i wypowiedzenie jednego tylko słowa. Teraz to wiemy.

Filmowa Agnieszka mówi w pewnym momencie: „Pieprzony udar nie może wszystkiego zepsuć”. Już wiadomo, że miała rację. **N**

Artur Zaborski

O SERIALACH

Bartosz Węglarczyk

Ta prawdziwa sukcesja



Mówią, że to serial fabularny, a przecież to nieprawda – to dokumentalny zapis naszych czasów.

Przez pomyłkę zamiast pierwszego odcinka czwartego sezonu włączyłem kilka dni temu pierwszy odcinek pierwszego sezonu. Byłem zaskoczony tym, jak bardzo negatywnie pokazane były dzieci Roya, a jak pozytywnie (no, pozytywnie relatywnie do dzieci) pokazany został ich ojciec Logan.

Tak naprawdę ten serial ogląda niewielu. Nie tylko trzeba być subskrybentem HBO Max, ale trzeba się też znaleźć w podgrupie fanów takich seriali. Jest nas mało – we wszystkich serwisach streamingowych najlepiej oglądają się rzeczy masowe: superbohaterowie, seriale kryminalne, komedie romantyczne. Mówię to absolutnie neutralnie: sam jestem wielkim fanem takich produkcji.

Seriale bardziej ambitne – od „Rodziny Soprano” po „Sukcesję” właśnie – oglądają się oczywiście dobrze, czasem bardzo dobrze (patrz: „Severance” na AppleTV+), ale generalnie są to produkcje, o których się dużo mówi i rzadziej się je ogląda.

„Sukcesja” cieszy się gigantyczną popularnością wśród krytyków i ludzi, których pociąga analiza współczesnego kapitalizmu – bo o tym tak naprawdę jest ten serial. Oczywiście, nie mówię tylko o ekonomistach, ale po prostu o tych, którzy próbują zrozumieć, jakie siły społeczne rządzą dzisiejszym światem.

Nie jest tajemnicą, że „Sukcesja” jest oparta na historii rodziny Ruperta Murdocha, właściciela giganta medialnego obejmującego trzy kontynenty i stacje od Sky po Fox News. Murdoch ma dwóch synów, którzy walczą między sobą o sukcesję. Jest konserwatystą, jak Logan Roy i podobnie jak w przypadku fikcyjnego Roya również Murdoch wydaje się odwoływać do tych wartości wyłącznie z powodów koniunkturalnych.

Różni ich wiek – Murdoch ma lat 92, Roy – 85, ale w rzeczywistości Murdoch mógłby być ojcem (tak, bardzo młodym, to prawda, ale jednak ojcem) aktora Briana Coxa, który gra Logana, bo ten ma zaledwie 76 lat.

Jednak to, co ich łączy przede wszystkim, to napięcia i katastrofy rozgrywane się pomiędzy pokoleniem założycieli firm rodzinnych a ich dziećmi.

To, że synowie Murdocha nie zgadzają się z tym, jak ojciec prowadzi swoje imperium, nie jest żadną tajemnicą. Jeden z synów ma bardziej konserwatywne,

a drugi bardziej liberalne poglądy. Jeden uważa więc, że Fox News – największa telewizyjna stacja informacyjna w USA – robi fantastyczną robotę, otwarcie wspierając Donalda Trumpa i amerykańskich konserwatystów (to, że Trump z konserwatyzmem ma niewiele wspólnego, to już sprawa na oddzielny tekst), a drugi chciałby, żeby stacja próbowała chociaż zachować pozory bezstronności.

To, że ta relacja jest powtórzona w „Sukcesji”, jest zrozumiałe. Sens serialu polega na pokazaniu wojny pokoleniowej w rodzinie Royów. Co ciekawe, im dalej w serial, tym bardziej jaskrawo widać, że to Logan wie, co robi, nawet jeśli pojawiają się u niego objawy alzheimera. To jego dzieci nie mają pojęcia, co robią – zakup firmy za 10 mld dol. zamiast 6 mld dol., na jakie tę firmę wyceniał Logan, pokazuje, jak bardzo są nieprzygotowani do prowadzenia jakiegokolwiek firmy, dużej czy małej.

„Sukcesja” cieszy się gigantyczną popularnością wśród krytyków i ludzi, których pociąga analiza współczesnego kapitalizmu – bo o tym tak naprawdę jest ten serial

Czy tak wyglądają firmy rodzinne? Rozmawiałem ostatnio z osobą, która zna takie firmy. I ku mojemu zaskoczeniu okazało się, że takie napięcie między pierwszym a drugim pokoleniem w firmie jest dość powszechne. Nawet patologiczne zachowania ojca – który w „Sukcesji” skutecznie niszczy swoje dzieci, zasługując na nagrodę dla Najgorszego Ojca w Historii Ekranu (tak, uważam, że Darth Vader jest drugi, bo choć porzucił syna, to ostatecznie Luke Skywalker uratował galaktykę, więc najgorzej na jego złym ojcostwie świat nie wyszedł) – też w prawdziwym życiu się powtarzają. Dzieci właścicieli firm są poniżane i upokarzane. I nie wszystkie potrafią się temu przeciwstawić.

W tym sezonie „Sukcesji”, ostatnim w serialu, rozegra się wojna o dusze. O ile dusze dzieci Logana mnie niespecjalnie ruszają, o tyle dusza dziennikarzy Waystar Royco – jak najbardziej. Trzymam za nich kciuki równie mocno jak za dziennikarzy w koncernie Murdocha. **N**

Wojciech Engelking o nowej powieści Lee Childa

Starzy przyjaciele

Chodziło o to samo, o co chodzi dziś w serialach – pewnego rodzaju stałość. O bohatera, który będzie dla czytelnika jak stary przyjaciel. Sherlock Holmes? Fałszuje na skrzypcach i jest uzależniony od rozmaitych substancji. Philip Marlowe? Nie wylewa za kołnierz. Takim starym przyjacielem jest też Jack Reacher, bohater cyklu thrillerów Lee Childa – z tym że jego kapitał sympatii jest większy od tego, którym cieszyli się poprzednicy.

Reacher ma wszystko, co powinien mieć męski powieściowy bohater, by go w fikcyjnym świecie polubić – jest dobry w swoim fachu, lecz mało kto to docenia; pozbawiony stałego zajęcia, wie dzie żywot tułającego się od stanu do stanu w gabundę; nie ma żony, stałej dziewczyny (ceni za to przygodny seks), a gdy zabrudzi ciuchy, wyrzuca je do kosza i kupuje nowe; muzyki słucha smętnej, bo bluesa; nie wierzy w Boga i pije mnóstwo kawy. Nie ma wielu cech swoich gatunkowych poprzedników. Tworząc tę postać, Lee Child dobrze wyczuł rynek: czytelnicy zmęczeni byli kolejnymi smutasowymi kopiami Humphreya Bogarta z „Casablanki”, którzy na pytanie o narodowość odpowiadają: „Jestem pijakiem”, wiecznie tęsknią za dawno utraconą miłością i, ogólnie rzecz biorąc, popełniają odłożone w czasie samobójstwo.

Reacher jest inteligentny i ma wielki talent do liczb, ale odznacza się także fizyczną siłą i znajomością sztuk walki, o jakiej jego popkulturowi poprzednicy (może poza Zorro i Batmanem) mogliby pomarzyć.

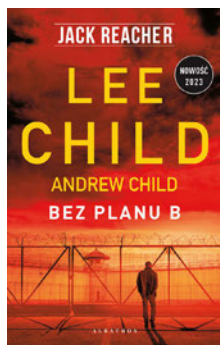
BIZNES NA PRYWATNYCH WIĘZIENIACH

POJAWIA SIĘ W POWIEŚCIACH OD ROKU 1997, więc przeżył prezydenturę Clintona, Busha juniora, Obamy i Trumpa, a w najnowszej książce Childa, „Bez planu B” – napisanej w 2022 r. w duecie z młodszym bratem, Andrew – jest w Ameryce Bidena. Prezydent nie ma jednak znaczenia – jak każdy stary, męski przyjaciel Reacher i wiecznie się starzeje, i nie starzeje się nigdy, pozostając w wieku, w którym już nie jest młody, ale jeszcze jako tako się porusza. To konieczne, by zachować jego pasję do przemieszczania się. Tym razem amerykańskie drogi niosą go do Gerrardsville w stanie Kolorado, gdzie ma ochotę zwiedzić



Lee Child przed premierą filmu „Jack Reacher: Nigdy nie wracaj”, Londyn, październik 2016 r.

Lee Child, Andrew Child
Bez planu B
Albatros



pobliskie Muzeum Wojny Secesyjnej. Traf chce, że w miasteczku został świadkiem zabójstwa, które przez miejscową policję, na bazie zeznań innego świadka, zostaje uznane za samobójstwo. Potem zaś okazuje się, że to nie pierwszy tego rodzaju wypadek w okolicy. Trop prowadzi Reachera do prywatnego więzienia w Missisipi.

Chociaż powieść dzieje się w bezczasie, by móc sprzedać egzemplarze i dziś, i za dwie dekady, gdy nikt nie będzie pamiętał, z jakimi problemami Ameryka zmagala się na początku trzeciej dekady XXI wieku – książka Childa spełnia jednak podstawowe zadanie współczesnego kryminału. Czyli opowiada o społecznym problemie, w tym przypadku są nim prywatne więzienia, lukratywny biznes przynoszący ich właścicielom 5 miliardów dolarów rocznie. Jako że to biznes, żadnemu właścicielowi nie zależy na tym, by pensjonariusz został podczas pobytu w zakładzie karnym zrehabilitowany – straci w ten sposób klienta. Co prawda w 2021 r. dostrzeżono w USA problem z tego rodzaju placówkami penitencjarnymi i Joe Biden zakazał Departamentowi Sprawiedliwości przedłużania kontraktów z nimi, ale na niewiele się to zda – większą część umów zawierają bowiem władze stanowe i nie zanoszą na to, by uległo to zmianie. Powieść Childa może więc być aktualna i za parę dekad – gdy Reacher, wciąż się nie starzejąc, będzie rozwiązywał już inne problemy. **N**

ODLOT KULTURALNY

Katarzyna Janowska
Obce ciała

Od jej twarzy nie można oderwać wzroku. Jest doskonale piękna, niczym gwiazdy włoskiego kina lat 60., i ma to coś: błysk nieokiełzanej wolności w oczach. Penélope Cruz, Clara w filmie „Bezmiar” Emanuele Crialese (właśnie wchodzi do kin), gra matkę trójki dzieci, żonę przemocowca wtłoczoną w złotą klatkę wspaniałego życia. Lata 70., mieszkanie w nowo wybudowanych apartamentowcach na przedmieściach Rzymu mogłoby być wizytówką designu tamtych lat. Ojciec, człowiek sukcesu, piękna żona oddana mężowi i dzieciom. Rodzina jak z obrazka, ale to tylko tapeta zakrywająca prawdę. Wiadomo, co chatka, to zagadka.

Jedenastoletnia córka Borghettich, Adriana, czuje się chłopcem. – Ważne jest to, co mamy w środku, czy to, jak wyglądamy? – pyta podczas lekcji w katolickiej szkole. Czuję, jakby była z innej planety, ma żal do rodziców, że źle ją zrobili. Chwile wolności przeżywa, kiedy wyobraża sobie, że wraz z mamą są gwiazdami musicalu. Dzieci mają z matką wspólny świat, tańce, zabawy. Ten świat gaśnie, kiedy do domu wraca ojciec.

Adriana marzy o miłości i znajduje ją, przechodząc przez zarośla oddzielające ich osiedle od ubogich robotniczych domków. Poznaje dziewczynę, która widzi w nim chłopca. Piękniejszego prezentu nie mógł dostać. Przed obejrzeniem filmu przeczytałam książkę reporterską Pauli Szewczyk „Ciała obce. Opowieści o transpłciowości”. Dzięki temu wiem, że ważne dla osoby przechodzącej tranżycję, czyli korektę płci, jest to, jak postrzegają ją inni. Zmiana ubioru, modulacja głosu, ale też terapia hormonalna i operacje to elementy dopasowywania. Każda tranżycja jest indywidualna i nie musi oznaczać przejścia wszystkich kroków.

Adriana z filmu „Bezmiar” nigdy się nie rozbiera przy innych, ukrywa piersi, obcina na krótko włosy. Penelope, nieszczęśliwa, zdradzana żona, gra matkę szaleńczo zakochaną w dzieciach. Rozumie i akceptuje Adrianę, ale nawet ona nie jest w stanie zgodzić się na zmianę płci. Ojciec chciałby, żeby córka była jak inne dziewczynki. Boi się inności. Próbuje wymusić to na niej siłą. To najczęstsza reakcja rodziców.

Gdy Staś z reportażu Pauli Szewczyk mówi mamie, że czuje się chłopakiem, ta odpowiada, że to tylko kompleksy i że mu przejdzie. Wpada do jego pokoju bez pukania. Kiedy chłopak pakuje się na wyjazd do znajomych, wśród których może poczuć się Stasiem, każe mu zabrać dziewczynskie bluzki i sukienki. W nocy Staś znowu przepakuje bagaż. W końcu wyprowadza się z domu.

„To proces niezależny od woli, od wychowania, kultury i wpływu otoczenia. Osoba transpłciowa nie podejmuje decyzji o zmianie płci, bo płci nie zmienia. Raczej dostosowuje według uznania: głos, wygląd, ciało czy imię. Dąży do uzgodnienia płci, którą odczuwa” – czytamy u Szewczyk.

Osoby transpłciowe początkowo czują, że coś jest nie tak, nie chcą nosić ubrań dla dziewcząt lub chłopców, nie lubią swojego wyglądu, zabaw przypisanych do danej płci. Sprawy nabierają rozpędu w okresie dojrzewania, kiedy rosną piersi, pojawia się miesiączka, chłopcom zmienia się głos, rośnie zarost. Wtedy niedopasowanie robi się naprawdę dotkliwie.

Kluczowe w tym okresie jest wsparcie najbliższych, którego na ogół nie dostają. A przecież nie trzeba wielkiej wyobraźni, żeby poczuć lęk, niepewność, zagubienie osoby, która przez wszystkich wokół jest traktowana

Przecież nie trzeba wielkiej wyobraźni, żeby poczuć lęk, niepewność, zagubienie osoby, która przez wszystkich wokół jest traktowana jak ktoś, kim nie jest

jak ktoś, kim nie jest. To tak, jakbyśmy mieli całe życie spędzić w przebraniu, które jest nam całkowicie obce. Do tego dochodzą problemy z tranżycją prawną, zmianą numeru PESEL, dowodu osobistego. Konieczne jest powództwo o ustalenie płci. Pozwanymi są rodzice osoby trans. W takim życiu nie ma miejsca na radość, bez troskę, szczęście.

– Gdy ktoś pyta, czy uda się dziecku wybić transpłciowość z głowy – tłumaczy lekarz w książce Pauli Szewczyk – to prędzej osoba transpłciowa popełni samobójstwo, niż da się namówić do życia w niezgodzie ze sobą. Dzięki tej książce mamy szansę zajrzeć w skomplikowany świat osób transpłciowych.

„Bezmiar” Emanuele Crialese to nie jest film o przemocy domowej, jak mogłoby się wydawać. Można go potraktować jako wariację artystyczną na temat „Ciała obcych”. Reżyser przymierzał się do opowiedzenia tej historii przez lata. Nie był gotowy, nie miał dość odwagi? W wieku 57 lat zdobył się na zrobienie filmu o czasie, kiedy był dziewczynką o imieniu Emanuela. Film kończy się pięknie, ale happy end w życiu zdarza się tylko niektórym. Polecam książkę i film. **N**

AVE TRZY
SA DOBRE!





N

magazyn

Newsweek^{POLSKA} PSYCHOLOGIA

W nowym numerze:

- Jakie schematy odtwarzamy w relacjach
- Jak radzić sobie, gdy ktoś przekracza nasze granice
- Czym dla młodych jest wyprowadzka z rodzinnego domu

Szukaj w salonach prasowych, na Literia.pl i czytaj w subskrypcji  onet premium

Psychologia do potęgi

Newsweek^{POLSKA}

N



prenumerata roczna

Newsweek^{POLSKA}

Sprawdź, co zyskujesz:

- nowe wydanie prasowe **co tydzień** w Twoim domu
- stały dostęp online do treści kilkunastu wydawców **w pakiecie** ● onet premium

⊕ **bon na 100 zł do księgarni językowej Preston Publishing**



Zamów za **399 zł** z bezpłatną dostawą na **Literia.pl**

Oferta limitowana

Prenumerata do potęgi

Newsweek^{POLSKA}